

HAKI I PRZYKRYWKI
Sposoby polityków,
żebyśmy zapomnieli

SKĄD SIĘ NIE BIORĄ DZIECI
600 tysięcy polskich par
zмага się z niepłodnością

BOSKA RÓŻNORODNOŚĆ
Papieskie stanowisko
w sprawie wielości religii

ZAWSZE WALENTYNKI
Historia miłości według
Andrzeja Barańskiego

Kraków 17 lutego 2019 nr 7 (3632)

cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

IAN ŚPIEWAK Wygrajmy z państwem deweloperów

W NUMERZE DODATEK
BIAŁYSTOK
1919-2019



Kiedy tylko wokół rozlegają się kroki Niemców, jakaś nieznana mu dziewczyna, której nawet w tej ciemności nie widzi, łapie go za rękę. (...) W końcu Niemcy ich wygarniają, prowadzą na Umschlagplatz, i tam, w ciągu trzech dni czekania na wywózkę, Mietek i Dziunia przeżywają wielką miłość.

Barbara Engelking, W czasie zawieszonym



pamięć leczy rany

Najlepsze teksty o najtrudniejszej relacji

Wydanie specjalne „Polska Żydowska” **już w sprzedaży** w salonach prasowych i punktach z dobrą prasą oraz w e-wydaniu na powszech.net/polskazydowska

weź, czytaj!

WSPÓŁWYDAWCA

PARTNERZY WYDANIA



KS. ADAM

Boniecki: Pragnienie największe

ONIEPŁODNOŚCI NALEŻY MÓWIĆ OSTROŻNIE. NIEprzemysłanym słowem można zranić człowieka i tak już obolałego. Jak wielkie może być pragnienie własnego dziecka, nie jest w stanie pojąć ten, kto tego nie doświadczył. Siostra Barbara Chyrowicz, kierownik Katedry Etyki Szczegółowej KUL, napisała: „To naturalne pragnienie. I jakkolwiek świadomi jesteśmy tego, że biologiczne rodzicielstwo to nie wszystko, i wskazać można szereg przykładów, w których biologiczni rodzice nie przekazali dziecku niczego więcej prócz życia, a rodzice adopcijni wszystko prócz życia, to nie może być to powodem do odrzucania wagi biologicznego rodzicielstwa”.

Temat niepłodności i jej leczenia jest więc delikatny i dlatego podjęcie go w formie rzeczowego raportu wydaje się jak najbardziej właściwe. Raport, wolny od moralnych ocen i etyczno-metafizycznych naświetleń, jest konfrontacją ze stanem rzeczy w obszarze życia niesłuchanie ważnym dla ok. 600 tys. par. Rzeczowość informacji okazuje się bardziej wstrząsająca od ogólnikowych retorycznych wywodów moralistów i polityków. Dalego raporty są dobrym punktem wyjścia do każdej poważnej debaty.

Co wynika z naszego raportu? Cytuję: „Działania systemowe w Polsce spowodowały nie tylko prywatyzację *in vitro*, ale wielu pacjentom ograniczyły dostęp do leczenia niepłodności sposobami innymi niż zapłodnienie pozaustrojowe”. Tekst Moniki Ochędowskiej wskazuje również na ignorancję w temacie płodności: „O płodności niewiele wiedzą nawet studenci kierunków medycznych”, a 90 proc. Polek diagnozuje się czerpiąc wiedzę od „doktora Google’a”.

Raport wskazuje także na niedocenienie roli psychologa, tak jeśli chodzi o związane z psychiką, stylem życia itd. przyczyny niepłodności, jak i w podejmowaniu decyzji o rozrodzie wspomaganym, świadomości „konsekwencji psychologicznych, jakie może nieść (...) szczególnie w przypadku dawstwa gamet i zarodków”.



I chociaż sporo miejsca poświęca sposobom leczenia niepłodności sposobami innymi niż zapłodnienie pozaustrojowe, któremu wyłącznie dedykowane są ośrodki komercyjne, to *in vitro* traktuje jako jeden ze sposobów zaradzania niepłodności. Taki jest stan rzeczy.

Stanowisko Kościoła w kwestii *in vitro* jest znane. O ile problem embrionów nadliczbowych, ich zagrożenia, selekcji, niszczenia jest – w kontekście nauki o godności ludzkiej przysługującej osobie od poczęcia do naturalnej śmierci – zrozumiały, najtrudniejsza do zrozumienia jest metafizyczna interpretacja aktu poczęcia. Wyrażająca stanowisko Kościoła instrukcja Kongregacji Nauki Wiary (z 1987 r.) „Donum vitae” ujmując to tak: „zapłodnienie pozaustrojowe homologiczne [dotyczące małżeństwa] dokonuje się poza ciałem małżonków za pośrednictwem działania osób trzecich (...) Powierza więc życie i tożsamość embrionów w ręce władzy lekarzy i biologów oraz ustala panowanie nad pochodzeniem i przeznaczeniem osoby ludzkiej. Tego rodzaju relacja panowania sama w sobie sprzeciwia się godności i równości (...). Poczęcie w probówce jest wynikiem czynności technicznej, która kieruje zapłodnieniem; nie jest ono ani faktycznie uzyskane, ani pozytywnie chciane jako wyraz i owoc właściwego aktu małżeńskiego. (...) Zrodzenie osoby ludzkiej jest obiektywnie pozbawione swojej właściwej doskonałości, a mianowicie bycia zwińczeniem i owocem aktu małżeńskiego, przez który małżonkowie mogą stać się współpracownikami Boga w przekazywaniu daru życia nowej osobie” (DV 5).

Dla człowieka niewierzącego wywód ten jest nie tylko trudny do przyjęcia, ale wręcz niepojęty. Spór o moralną ocenę wspomaganej prokreacji sięga samego rdzenia sporu o wizję świata, człowieka i o to, czy wiedza i technika mogą się kierować jedynie kryteriami skuteczności, i co one znaczą.

© P

TP

Dołącz do grupy dyskusyjnej „Smaki” >> powszech.net/smaki

Smaki to gotowanie, jedzenie, restauracje, przepisy, porady.

Tu dzielimy się najciekawszymi przepisami i najlepszą publicystyką o jedzeniu.

MAREK RABIJ Dziennikarz „Tygodnika Powszechnego”, który w kuchni definitywnie „włoski ma paszport na sercu”, choć fascynuje go także kuchnia Azji Południowo-Wschodniej z jej szalonymi kombinacjami smaków. Przedstawia się następująco: oliwa, pomidory, chilli, kumin, tamaryndowiec, cynamon.



PAWEŁ BRAVO Szef działu „Kraj” oraz felietonista kulinarny „Tygodnika Powszechnego”, animator akcji gastrokulturalnych, współautor książki „Kuchnia Dantego”.



MICHAŁ KUŹMIŃSKI Wicenczelny „Tygodnika Powszechnego”, twórca i wieloletni kierownik działu naukowego, autor bloga „Facet z nożem” oraz książki „Nauka w kuchni”, której fragmenty wraz z przepisami znajduje Państwo w grupie.

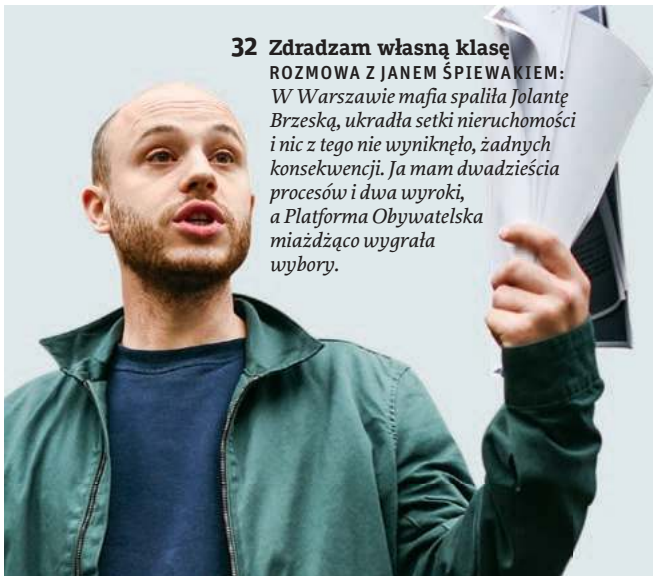


MONIKA OCHĘDOWSKA Znana z łamów „Dwutygodnika” i „Tygodnika Powszechnego”; moderatorka liczącej ponad 3,8 tys. członków grupy dyskusyjnej o książkach Book’s not dead.



32 Zdradzam własną klasę

ROZMOWA Z JANEM ŚPIEWAKIEM:
W Warszawie mafia spaliła Jolanę Brzeską, ukradła setki nieruchomości i nic z tego nie wyniknęło, żadnych konsekwencji. Ja mam dwadzieścia procesów i dwa wyroki, a Platforma Obywatelska miażdżąc wygrała wybory.

**22 Haki i przykrywki**

ANDRZEJ STANKIEWICZ
Gdyby PiS nie wpadł w kłopoty po śmierci Adamowicza i nagraniach Kaczyńskiego, Bartłomiej M. wciąż chodziłby wolny, Niesiołowski zaś mógłby uchodzić za przeciwnika prostytucji.

**38 Boska różnorodność**

PIOTR SIKORA

Papież Franciszek często robi przełomowe dla Kościoła rzeczy bez głośniejszych zapowiedzi, niejako przy okazji. Właśnie mamy do czynienia z kolejnym takim przełomem.

**50 Polak w sercu sporu o Papuę**

TOMASZ AUGUSTYNIAK

Globtroter z Olsztyna, oskarżony o próbę udziału w zamachu stanu w odległej indonezyjskiej prowincji, jest sądzony w precedensowej sprawie. W tle jest konflikt o bogactwa naturalne i papuaską niepodległość.

72 Co miesiąc walentynki

ROZMOWA Z ANDRZEJEM BARAŃSKIM:

Do 30. roku życia nie miałem pojęcia, co to miłość. Miewałem zazwyczaj miłosne, ale to nie było to. Dopiero jak poznałem Alinkę, dowiedziałem się, czym jest miłość.

**86 Las jak miasteczko**

ADAM ROBIŃSKI

Kiedy idę boso, zwierzęta nie mogą się nadziwić: Co to za człowiek? Czego chce? – mówi Marcin Kostrzyński, autor filmów przyrodniczych.

■ TEMAT TYGODNIKA ■

6 Starcie kardynałów
WOJCIECH PIĘCIAK

7-11 Wiadomości / Komentarze

20-21 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ
ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA
/ PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

22 Haki i przykrywki
ANDRZEJ STANKIEWICZ

**26 Słuch pan termometr,
a przestępcy znikną**
ROZMOWA Z MARIUSZEM SZTUKĄ,
BADACZEM ZJAWISKA RECYDYWY

28 Rezydenci u ministra
MACIEJ MÜLLER

■ ■ OPINIE

32 Zdradzam własną klasę
ROZMOWA Z JANEM ŚPIEWAKIEM

■ ■ WIARA

38 Boska różnorodność
PIOTR SIKORA

41 Siła spokoju
KAROL WILCZYŃSKI o wizycie
Franciszka na Półwyspie Arabskim

44 Gdzie jest „polski Kościół”
SZYMON HOŁOWNIA

■ ■ ŚWIAT

46 Sudan łzawi
ADAM CHAŁUPSKI: Prezydent dotąd
dławił wszelki bunt. Jak będzie teraz?

50 Polak w sercu sporu o Papuę
TOMASZ AUGUSTYNIAK

**52 Kusząca wizja nowej
„trzeciej drogi”**
PIOTR OLEKSY



JOANNA RUSINEK

12 Skąd się nie biorą dzieci
MONIKA OCHEŃDOWSKA

Parom mającym kłopot z niepłodnością zostaje praktycznie tylko jedno wyjście: *in vitro*, przeważnie za prywatne pieniądze. Dobra edukacja pozwoliłaby wielu uniknąć tego przymusu – i towarzyszącego mu etycznego dylematu.

17 Dwoje na huśtawce
ROZMOWA Z ALEKSANDRĄ DEMBIŃSKĄ

Na etapie leczenia należy zadbać o siebie i swój związek. Nie porzucajmy tych obszarów życia, które przed staraniami o dziecko były dla nas ważne.

■ FELIETONY ■

30 ANNA DZIEWIT-MELLER
71 ANDRZEJ STASIUK 85 PAWEŁ BRAVO
90 STANISŁAW MANCEWICZ
90 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: JAN ŚPIEWAK
Fotografia: ANDRZEJ HULIMKA/REPORTER
Redaktor prowadzący: PIOTR MUCHARSKI

■ ■ DODATEK SPECJALNY

55 Białystok 1919–2019
Od niepodległości do niepodległości

■ ■ HISTORIA

64 Trzydziestolatka bez własnej historii
MIKOŁAJ MIROWSKI, JAN ROJEWSKI: Polska pamięć jest podzielona na dwie historyczne opowieści o ostatnich trzech dekadach.

■ ■ NAUKA

68 Węgiel jest wszędzie
MIROSLAW DWORNICZAK

■ ■ KULTURA

72 Co miesiąc walentynki
ROZMOWA Z ANDRZEJEM BARAŃSKIM

77 Gdziekolwiek jest, jeśliś jest...
DARIUSZ KOŚCIŃSKI o spektaklu „Wyzwolenie” w Teatrze Polskim w Warszawie

80 Miliarder, ukochany potwór
JAKUB MAJMUREK o trzech serialach HBO

82 Uchodźcy z dzieciństwa
ANITA PIOTROWSKA o filmie „Kafarnaum”

84 Nagroda sprawiedliwych
LEKTOR o książce „Jerzy Turowicz. Książka do pisania”

■ ■ ZMYŚŁY

86 Las jak miasteczko
ADAM ROBIŃSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ Strona świata

Trump chce wypłatać Stany Zjednoczone z trwającej 18. rok wojny w Afganistanie i wycofać wojska z Syrii – **WOJCIECH JAGIELSKI** zauważa, że prezydent USA z Bliskiego Wschodu chce się jednak wycofać tak, by nadal tam zostać. tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

➔ 17 mgień Rosji

Zatrzymanie ogromnej partii kokainy na statku „Eser” z rosyjską załogą zainteresowało wielu – **ANNA ŁABUSZEWSKA** o jednej z największych wpadek handlarzy narkotyków w historii i milczeniu rosyjskiego MSZ. labuszevska.blog.tygodnikpowszechny.pl

WOŚ

SIĘ JEŻY wolność równość ekonomia

Co czwartek na TygodnikPowszechny.pl

f /TygodnikPowszechny ■ t /Tygodnik ■ i /Tygodnik ■ y YouTube /TygodnikPowszechny



OBRAZ
TYGODNIA

STARCIE KARDYNAŁÓW

Papież błądzi – sugeruje kardynał Müller, były prefekt Kongregacji Nauki Wiary.
Czy Müller przyjmuje rolę nowego Lutra, lidera buntu przeciw papieżowi?
– pyta kardynał Kasper, współpracownik Franciszka.

WOJCIECH PIĘCIAK

MANIFEST WIARY”: TAK KARD. GERHARD Müller – w latach 2012-17 prefekt Kongregacji Nauki Wiary (Franciszek nie powołał go na nową kadencję) – zatytułował tekst, który ukazał się równocześnie w wielu językach (także polskim) na licznych stronach internetowych poświęconych religii. Müller pisze, że wobec „szerzącego się zamętu” był proszony „z wielu stron” o „złożenie publicznego świadectwa”, dlatego przedstawia zasadnicze prawdy dotyczące wiary, Kościoła i sakramentów.

Tekst utrzymany jest w szczególnym tonie (polski przekład nie do końca oddaje klimat wersji niemieckiej): jakby autor przemawiał z mocy Urzędu Nauczycielskiego, jakby był uprawniony do wyłącznego interpretowania nauki Chrystusa i tego, co jest prawdą, a co

błędem. Choć Müller nie wymienia Franciszka, tekst odbierany jest jak polemika z decyzjami papieża, np. z adhortacją „Amoris laetitia” (o rodzinie i małżeństwie) lub z dokumentem katolicko-islamskim podpisanym niedawno przez papieża podczas podróży na Półwysep Arabski. Nie wymieniając także ich nazwy, Müller polemizuje też z wytycznymi niemieckich biskupów w sprawie przyjmowania komunii przez pary międzykonfesyjne (biskupi dopuścili to w sytuacji, gdy współmałżonek chrześcijanin nie jest katolikiem). Twierdzi, że rozwiedzeni, którzy zawarli nowy związek, oraz niekatolicy nie mogą „przyjmować owoców Eucharystii, gdyż nie przynosi im ona zbawienia”. Polemizuje z pomysłami na reformę Kościoła (jak rewizja celibatu), które zgłasza-

*Kardynał
Gerhard
Müller, jeszcze
jako prefekt
Kongregacji
Nauki Wiary,
uczestniczy
w konnej procesji
w Bad Kötzing,
Bawaria,
maj 2016 r.*

ją także niektórzy biskupi, szukający wyjścia z kryzysu, w jaki wpędziły Kościół skandale pedofilskie.

Przy czym – co charakteryzuje cały tekst – Müller nie tyle polemizuje, co twierdzi, że to jego wykładnia jest tą, której chce Chrystus. A co z tymi, którzy widzą to inaczej? Były prefekt pisze: „Milczenie o tych i innych prawdach wiary albo też nauczanie tego, co jest im przeciwne, jest najgorszym oszustwem, któremu Katechizm stanowczo się sprzeciwia. (...) To jest oszustwo Antychrysta”.

Następnego dnia po publikacji tekstu Müllera polemikę z byłym prefektem przedstawił kard. Walter Kasper – emerytowany przewodniczący Papieskiej Rady ds. Popierania Jedności Chrześcijan, współpracownik Franciszka i współtwórca „Amoris laetitia”. Jest ona bardzo ostra w tonie: Kasper zarzuca Müllerowi manipulowanie Katechizmem. Pisze, że choć jego tekst zawiera wiele zdań, którym każdy katolik „może tylko przytaknąć”, to są w nim „półprawdy” i „prywatne teologiczne przekonania”. Zarzuca Müllerowi, że występuje przeciw papieżowi. Pisze: „Byłem totalnie przerażony, gdy pod koniec manifestu przeczytałem o »oszustwie Antychrysta«. To przypomina niemal dosłownie argumentację Lutra”. Kasper pyta: „Czy za tym manifestem stoi Luter redivivus”, który chce zmieniać Kościół wbrew papieżowi? I puentuje: „Nie chce mi się w to wierzyć. Bo to mogłoby prowadzić jedynie do zamętu i podziału. To by wysadziło Kościół katolicki”.

Jak można to skomentować? Po pierwsze: zamęt już mamy (tekst Müllera powielają katolickie gazety i portale, wiele zapewne w dobrej wierze). Po drugie: gdyby sytuację oceniać w kategoriach świeckich, można by powiedzieć, że tekst Müllera to wezwanie do puczu przeciw papieżowi, który zdaniem autora popadł w herezję. Po trzecie, jest tu pewien kontekst: miesiąc temu kard. Kasper mówił agencji KNA, że są w Kościele ludzie, wrogowie papieża, którzy chcą „jak najszybciej zakończyć ten pontyfikat i chcą, jak by to powiedzieć, nowego konklawe”.

Czy tekst Müllera jest więc w gruncie rzeczy wezwaniem papieża do dymisji? Tylko jak miałby wyglądać taki pucz w Kościele w XXI stuleciu? Być może odpowiedź przyniosą najbliższe tygodnie. ©P

Polska in minus

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI



DWADZIEŚCIA SZEŚĆ TYSIĘCY WIĘCEJ ZGONÓW niż urodzeń – oto wstępny, podany właśnie przez GUS, bilans demograficzny Polski A.D. 2018. Niepokoić w nim mogą co najmniej dwie rzeczy.

Po pierwsze: że tylu Polaków (414 tys.) nie umarło w ciągu jednego roku od czasów II wojny światowej. Ten niechlubny rekord jest, przynajmniej częściowo, łatwy do wyjaśnienia: do siedemdziesiątki dobiega rocznik powojennego wyżu demograficznego. W dodatku od dwóch lat rosnąca wcześniej z roku na rok średnia długość życia Polaków stoi w miejscu.

Po drugie: że stagnacja dotknęła też polską dietę. Mimo programu „Ro-

dzina 500 plus”, którego pierwotnym celem był właśnie *baby boom*, w 2018 r. urodziło się w Polsce 388 tys. dzieci, czyli o 14 tys. mniej niż w roku poprzednim, i ledwie 6 tys. więcej niż w 2016, ostatnim, na którego bilans nie mógł mieć jeszcze wpływu program 500 plus.

Rządowi, który ubiegłoroczne dane próbował – z właściwą sobie przesadą – przedstawiać jako sukces, pozostaną teraz już tylko zakłęcia. Czyli dowodzenie, że wynik z 2018 r. jest niezły, bo spodziewano się jeszcze gorszego. Rzecz jednak w tym, że od samych takich zaklęć polski bilans demograficzny na pewno się nie poprawi. ©P

Kiedy ruszy 4 Czerwca

GRZEGORZ SCHETYNA mozolnie negocjuje koalicję, która pod egidą PO mogłaby wystartować w wyborach europejskich (uroczysta prezentacja Koalicji Europejskiej z udziałem b. premierów stanowiła symboliczny akcent). Tymczasem Donald Tusk już myśli o nadaniu nowej dynamiki działaniom opozycyjnym – momentem przełomu miałyby być obchody 30-lecia pierwszych częściowo wolnych wyborów z 1989 r. Spekuluje się, że przy tej okazji powstanie Ruch 4 Czerwca, choć nadal nie wiadomo, jaki status miałyby w rozpoczynającej się latem kampanii przed wybora-

mi do Sejmu. Z napływających sygnałów o rozmowach Tuska z grupą czołowych włodarzy miast można wnosić, że mogła to być platforma zrzeszająca samorządowców i działaczy organizacji obecnie niez zaangażowanych wprost w politykę na rzecz „szerokiego frontu” antypisowskiego.

Bez względu na to, na ile realne i dojrzałe są to plany, Donald Tusk ma zapewne jedną trafną intuicję: ta rocznica – o silnie pozytywnej konotacji, ale dotychczas bezpieczna i pomijana – czeka wciąż na zagospodarowanie. Niewykluczone, że prawem kontrastu i przekory realne znaczenie dacie 4 czerwca nada polityka historyczna PiS, która dezawuuje sukces 1989 roku. ©P PAWEŁ BRAVO

Klub Błaszczkowskiego

JESZCZE PARĘ MIESIĘCY TEMU krakowska Wisła była symbolem toczących polską piłkę chorób: faktycznie kontrolowana przez pseudokibiców, z niegospodarnym zarządem, stojąca na krawędzi bankructwa, skompromitowana negocjacjami z usiłującymi przejąć ją za grosze (zapewne w nadziei na atrakcyjne grunty w centrum Krakowa) szwedzko-kambodżańskimi inwestorami, z zawieszoną licencją na prawo gry w ekstraklasie. Dziś jednak pisze nowy rozdział własnej historii.

Wystarczyło kilka ruchów: wsparcie dla nowego prezesa klubu od kolegi niemającego dotąd nic wspólnego ze światem futbolu – przedsiębiorcy zajmującego się sztuczną

inteligencją. Nieoczekiwane doradztwo byłego prezesa Legii. Pożyczka na przetrwanie najtrudniejszych tygodni, m.in. od Jakuba Błaszczkowskiego. Akcja crowdfundingowa – drobne i spore wpłaty od setek ludzi, którym los Wisły leży na sercu.

Symbolem zmiany jest właśnie Błaszczkowski. Legenda polskiej piłki, człowiek po wielu przejściach, który pod koniec kariery wraca tam, gdzie zaczynał poważne granie – do Krakowa. W Wiśle pracuje za najniższą możliwą w przypadku zawodowego piłkarza pensję (500 zł miesięcznie), którą wydaje na stadionowe wejściówki dla domów dziecka.

Nawet jeśli zdrowie nie pozwoli mu już na zbyt wiele boiskowych lekcji futbolu, ta pozaboiskowa nie zostanie zapomniana. ©P MICHAŁ OKOŃSKI



MACIEJ FIGURSKI / FORUM

Premier z innych czasów

ZMARŁ JAN OLSZEWSKI. Był premierem ledwo pół roku. Chciałoby się powiedzieć: szkoda, bo ten epizod, a zwłaszcza dramatyczna końcówka – pierwsza publiczna bitwa o lustrację – przesłania w powszechnej świadomości nietuzinkowy życiorys XX-wiecznego aktywisty, dla którego lewicowość rymowała się z niepodległością.

Jeszcze jako licealista zdążył działać w mikołajczykowskim PSL. Potem jako adwokat brał nieustanny udział w fermentach politycznych, jakie były możliwe w szczelinach systemu autorytarnego w PRL lat 60. i 70. Przebijała przezeń modelowa inteligencka pasja do dyskusowania i pisanie programów (Klub Krzywego Koła, Polskie Porozumienie Niepodległościowe, a także NSZZ Solidarność – Olszewski współtworzył pierwszy statut związku), a zrazem „misyjne” zaangażowanie, oddawanie na rzecz wspólnoty swoich talentów i pozycji: w tym przypadku pomoc prawną i obrona w procesach politycznych. Jednocześnie był też Olszewski modelowym okazem niezdatności tego rodzaju formacji do udziału w politycznej robocie w ramach ustroju, gdzie parlament wreszcie przestał być fasadą. Do rządzenia nie wystarczyło już przekonanie, że ma się rację (czasami, owszem, ją miał). Dlatego też zostanie zapamiętany głównie jako szef nieudolnego gabinetu, który rozpaczliwie bronił się, ciskając na oślep zarzuty lustracyjne, co na długi czas skutecznie utrudniło wychodzenie z długiego cienia PRL-u.

© P. PAWEŁ BRAVO

KRAJ W SKRÓCIE

MOCNO. W tradycyjnie już dla tego pisma zjawionej jako „mocna” rozmowie z tygodnikiem „Sieci” Jarosław Kaczyński mówi, że w kwestii negocjowania z austriackim biznesmenem planów budowy wieżowca przy ul. Srebrnej „był pod pewnym naciskiem moralnym ze strony części rodziny”, a poza tym wszystko przebiegało zgodnie z prawem.

SZCZERZE. „Bo nie lubię Tadeusza Mazowieckiego” – odpowiedziała Zofia Romaszewska w radiu RMF na pytanie, dlaczego uważa, że postawienie pomnika pierwszego premiera III RP w Warszawie nie jest dobrym pomysłem.

ODWAŻNIE. Lider nowego ugrupowania Wiosna Robert Biedroń zadeklarował, że jest gotów do zawarcia koalicji z PO, jeśli ta partia „będzie miała szczęście i zostanie się do Sejmu”.

FAŁSZYWIE. Wiceminister cyfryzacji Adam Andruszkiewicz może być zamieszany w fałszowanie podpisów na listach wyborczych – ustalili dziennikarze TVN, alarmując zarazem, że śledztwo białostockiej prokuratury w tej sprawie było blokowane. „Przyzwyczailem się już do roli najbardziej atakowanego przez stare układy polityka młodego pokolenia” – skomentował Andruszkiewicz.



LUKASZ GAGULSKI / SE / EAST NEWS

NIEJASNO. „Czy pan prezydent jest teraz na nartach? Nie wiem, wie pan, no naprawdę... Wiem, gdzie jest pan prezydent, ale rzuca pan takie pytanie, czy pan prezydent jest na nartach... Pan prezydent po pierwsze nie ma urlopów, to jest służba 24 godziny na dobę. Wykonuje obowiązki zawsze, w tej chwili jest poza Warszawą, wykonuje swoje obowiązki na bieżąco” – powiedział rzecznik głowy państwa Błażej Spychalski, dodając, że „pan prezydent pracuje 24 godziny na dobę, 7 dni w tygodniu, 12 dni w miesiącu”.

Wenezuela: pat trwa

NOWE WYBORY prezydenckie są wykluczone – mówi socjalista Nicolás Maduro, który uważa się za prezydenta Wenezueli. Jego adwersarz Juan Guaidó, przewodniczący parlamentu, który w styczniu ogłosił się tymczasowym prezydentem (większość parlamentarna uważa, iż Maduro sfałszował ostatnie wybory) i został zaakceptowany przez ok. 40 państw (także Polskę i wiele krajów UE), apeluje do świata o pomoc. Guaidó wzywa też armię, by przestała popierać Maduro i otworzyła granice dla dostaw pomocy. Pierwszy transport humanitarny z USA został zablokowany na granicy z Kolumbią.

Maduro ma wsparcie Rosji, która zapowiada blokadę amerykańskiego projektu rezolucji Rady Bezpieczeństwa ONZ z żądaniem wolnych wyborów prezydenckich. Zachód uważa, że takie wybory to jedyny sposób na pokojowe wyjście z pata – gdy obie strony są zbyt silne, by przegrać, ale też zbyt słabe, by doprowadzić do rozstrzygnięcia. Podczas konferencji prasowej, na której Maduro ogłosił, że uważa pomoc humanitarną za wstęp do obcej interwencji militarnej, nagle zgąsło światło – wyłączenia prądu są powszechne.

© P. WP / EPD, DPA, AFP

Brexit: byle skończyła się niepewność...



PATRYCJA BUKALSKA Z BERKSHIRE

ZA BRYTYJCZYKAMI KOLEJNY TYDZIEŃ WYPEŁNIO-
Ny spekulacjami na temat brexitu. Te następne też nie będą inne – patową sytuacją ma znów zająć się parlament, a w kulisach trwają dyskusje nad propozycją Partii Pracy (zakłada m.in. pozostanie w unii celnej z UE). Ale nie ma wielkich nadziei, że parlamentarne i partyjne podziały uda się obejść i znaleźć sposób przełamania brexitowego impasu.

Także premier Theresa May ma za sobą serię kolejnych spotkań w Brukseli, Dublinie i Belfaście – bo to sprawa granicy między Irlandią a brytyjską Irlandią Północną blokuje porozumienie. Ale nic one nie zmieniły. Nadal niezmiennie jest jedno: jeśli Londyn nie zdecyduje się poprosić Unię o więcej czasu, Wielka Brytania opuści ją 29 marca. Z umową lub bez. Czas ucieka.

Teoretycznie wyjścia nadal są trzy: „twardy” brexit bez porozumienia, znalezienie w parlamencie kompromisu i poparcia dla umowy wynegocjowanej w Brukseli przez May lub drugie referendum. W praktyce natomiast – wszyscy chcą już to mieć za sobą. Byle skończyła się niepewność, byle już nie zadęczać się brexitem. Byle do wiosny...

© P.

Egoizm Berlina niszczy Europę

WOJCIECH PIĘCIAK



CO JESZCZE MUSI SIĘ STAĆ, CO MUSI JESZCZE uczynić prezydent Rosji, by rząd Niemiec odstąpił od swego uporu? Aby przestał popierać Gazociąg Północny, dzięki któremu Putin chce sobie zapewnić stabilny napływ twardej waluty, niezbędnej dla intensywnych zbrojeń i umacniania jego władzy. Ile wojen musi jeszcze wywołać, ile ingerencji w sprawy innych państw nakazać, ile skrytobójstw, ile szantaży, w których rolę odgrywa także gaz?

Można by użyć tu mocnych słów – o zdradzie europejskiej solidarności przez Berlin. Albo o niekonsekwencji i krótkowzroczności – bo z jednej strony rząd Merkel zakazuje niemieckim firmom sprzedaży broni za 10 mld euro do Arabii Saudyjskiej (z uzasadnieniem, że prowadzi okrutną wojnę w Jemenie), a z drugiej akceptuje taką oto konsekwencję Gazociągu Północnego, że miliardy euro za syberyjski gaz posłużą do zbrojeń rosyjskiej armii, także do produkcji rakiet wycelowanych w Warszawę, Wilno, a może i Berlin.

Można ciągnąć tę listę, tylko po co – skoro dziś nie trzeba głosu z Polski czy Litwy, bo

wyřęczają nas Niemcy. O niemal agenturalnej aktywności (bo lobbing to za słabe słowo) ekskanclerza Schrödera mówi coraz więcej uczestników niemieckiej debaty. Coraz więcej ubolewa nad „teflonowym” uporem Merkel i ostrzega przed skutkami politycznymi tego uporu dla Europy. Ale choć na stole leżą wszystkie argumenty dowodzące, że w przypadku Gazociągu Północnego straty Europy będą większe niż korzyści, to jego kolejna rura zapewne powstanie. W minionym tygodniu przez chwilę zdawało się, że prezydent Macron (być może mający dość harców rosyjskich trolli wokół „żółtych kamizelek”) opuści Merkel i umożliwi tym przyjęcie przez większość Unii tzw. dyrektywy gazowej (wymierzonej w Gazociąg), ale koniec końców, podobno po nerwowych nocnych rozmowach, stanęło w Brukseli na niby-kompromisie, który trudno tak nazwać, bo niewiele zmienia co do istoty.

I tak nowy niemiecki egoizm narodowy niszczy Wspólnotę. Chyba że nie chodzi o egoizm, lecz o coś, o czym nie wiemy. ©



AFP / EAST NEWS

NA SAHARZE I SAHELU TRWAJĄ WOJNY. W minionym tygodniu francuskie myśliwce zbombardowały konwoje dżihadystów jadące z Libii. Armia Burkina Faso, w odwecie za napad dżihadystów na wieś przy granicy z Mali, przypuściła atak, w którym miało zginąć 146 bojowników. Ostatnie miesiące przyniosły wzmożenie aktywności organizacji islamistycznych na Sahelu – w samej Burkina Faso porwano troje cudzoziemców (o jednym z nich wiadomo, że nie żyje). Jedyna dobra wiadomość to porozumienie, które rząd Republiki Środkowoafrykańskiej zawarł właśnie z oddziałami rebeliantów, formalnie kończąc sześciolletnią wojnę. Na zdjęciu: patrol w Sabhie, największym mieście południowej Libii, 9 lutego 2019 r.

© P ŻYM

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

SPOTKANIA Z OFIARAMI.

Zgodnie z poleceniem komisji przygotowującej spotkanie papieża z przewodniczącymi episkopatów w sprawie kryzysu pedofilskiego, abp Stanisław Gądecki spotkał się z ofiarami. Na razie z zaproszenia skorzystało 28 osób, ale spotkania mają odbywać się także po watykańskim szczycie. „Ból i cierpienie osób pokrzywdzonych wymagają od wszystkich – od biskupów i przełożonych zakonnych, od duchownych i świeckich – bezwarunkowego zaangażowania w proces zgłaszania, wysłuchiwanie, naprawy i zapobiegania tego rodzaju przestępstwom” – to wniosek wyciągnięty przez przewodniczącego KEP z dotychczasowych spotkań.

NAGRODA IM. KS. MUSIAŁA.

Abp Henryk Muszyński i Adam Bartosz zostali tegorocznymi laureatami Nagrody im. Księdza Stanisława Musiała, przyznawanej osobom zasłużonym dla dialogu chrześcijańsko- i polsko-żydowskiego. Teolog, biblista, prymas senior został odznaczony za twórczość, muzealnik i prezes Komitetu Opieki nad Zabytkami Kultury Żydowskiej w Tarnowie zaś – za działalność społeczną.

NAJSTARSZA ZAKONNICA ŚWIATA.

115. urodziny obchodziła 11 lutego s. André Randon. Urodzona w Alès na południu Francji, Lucille Randon (André to imię zakonne) wstąpiła do szarytek dopiero jako 40-latka. Obecnie mieszka w domu seniora w Tulonie i martwi ją fakt, że „ludzie nie potrafią żyć w zgodzie”.



Pierwsze
Radio
Informacyjne

TOMASZ AUGUSTYNIAK

opowie Agnieszce Lichnerowicz o aresztowaniu polskiego globtrottera w Papui (s. 50) w „Światopodglądzie” Radia TOK FM w czwartek 14 lutego o godz. 15.40.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań

– www.tokfm.pl

Papież: seria pomyłek

NA POKŁADZIE SAMOLOTU z Abu Zabi zapytano Franciszka o molestowanie seksualne siostr zakonnych. W dłuższą odpowiedź papież wpłótł anegdotę o tym, jak z problemem walczył Benedykt XVI. Jego zdaniem jako prefekt Kongregacji Nauki Wiary kard. Ratzinger chciał przekazać Janowi Pawłowi II informacje o żeńskim zgromadzeniu zakonnym, w którym siostry traktowano jak „seksualne niewolnice” ojca założyciela. Odszedł jednak z niczym. „Wygrała druga partia”, miał powiedzieć do sekretarzy. Do materiałów wrócił jako papież – likwidując podejrzane zgromadzenie.

Ta historia mogłaby być pierwszym potwierdzeniem krążących od dawna oskarżeń Jana Pawła II i jego otoczenia o bezczynność, a nawet blokowanie postępowań w sprawie nadużyć seksualnych. I tak ją potraktowały media. Nie była jednak do końca prawdziwa – papież połączył w „anegdotę” trzy niezwiązane ze sobą wydarzenia.

O istniejącym w jednym z państw Afryki zgromadzeniu siostr wykorzystywanych jako niewolnice seksualne mówi się od dawna, ale dochodzenie wciąż trwa. Benedykt XVI rozwiązał inny żeński zakon – Wspólnotę Kontemplacyjną św. Jana. Zrobił to jednak na krótko przed abdykacją i z innego powodu: nieposłuszeństwa siostr wobec Stolicy Apostolskiej. Co prawda założyciela wspólnoty oskarżono o nadużycia seksualne, ale informacje o tym pojawiły się dopiero dziesięć lat po jego śmierci. Sprawą, z którą Ratzinger mógł przyjąć do Jana Pawła II, i którą dokończył dopiero po swoim wyborze, były oskarżenia wobec o. Marciała Maciela Degollado, założyciela Legionistów Chrystusa. Degollado okazał się notorycznym pedofilem, wykorzystującym swoich wychowanków, a nawet własnego syna.

Franciszek ma skłonność do posługiwania się przykładami, których prawdziwości nie jest pewny. Często zaczyna wypowiedzi od słów: „Nie wiem, czy to prawda, ale...” – za co zbiera zasłużone cięgi. Trudno się też dziwić, że jego słowa znów sprowokowały wiele pytań. Nadesłane oświadczenie kard. Stanisława Dziwisza (publikujemy je na naszej stronie) jest próbą odpowiedzi, ale niewystarczającą. Szkoda tylko, że skandal wykorzystywania seksualnego siostr znowu przesunął się na dalszy plan.

© EDWARD AUGUSTYN z Watykanu

Za tydzień opublikujemy rozmowę z abp. Charlesem Scicluną, zastępcą sekretarza Kongregacji Nauki Wiary, odpowiedzialnym za walkę z nadużyciami seksualnymi w Kościele.



FELICI / FARABOLAFOTO / EAST NEWS

Generał na ołtarze

„**REALIZOWAŁ IDEAL KOŚCIOŁA** ukazany na Soborze Watykańskim II, który obecnie wspiera papież Franciszek” – powiedział o ks. Pedro Arrupem generał jezuitów ks. Arturo Sosa 5 lutego, w dzień

rozpoczęcia jego procesu beatyfikacyjnego. Urodzony w 1907 r. w Hiszpanii, studiował medycynę, ale po czterech latach wstąpił do jezuitów. Wysłany w 1938 r. na misję do Japonii, został mistrzem nowicjatu na przedmieściach Hiroszimy. 6 sierpnia 1945 r. jezuitów uratowało przed atomową falą uderzeniową wzgórze dzielące ich od miasta. Arrupe zorganizował w budynku zakonny szpital dla poparzonych.

W 1958 r. został prowincjałem w Japonii, a w 1965 r. – generałem. Ton jego działań wyznaczyły postanowienia 31. Kongregacji Generalnej: „służba wiary i promocja sprawiedliwości” – walka o byt najuboższych. Ponieważ dochodziło przy tym do ekstremów, jak polityczna działalność ks. Fernando Cardenala (Nikaragua) czy ks. Roberta Drinana (USA), nowy kurs zakonu nie podobał się Janowi Pawłowi II. Arrupe był gotów złożyć urząd. W 1981 r. doznał udaru, został sparaliżowany. Papież wyznaczył na zarządcę zakonu Paola Dezzę, z pominięciem asystentów generalnych Arrupego. Dwa lata później generał złożył rezygnację, a jezuita wybrali na jego następcę ks. Petera Hansa Kolvenbacha. Arrupe zmarł 5 lutego 1991 r.

© MACIEJ MÜLLER

Specjalizacja w Szlachetnej Paczce



ARTUR SPORNIAK

WALNE ZGROMADZENIE STOWARZYSZENIA Wiosna, prowadzącego m.in. Szlachetną Paczkę, niespodziewanie odwołało prezes Joannę Sadzik i powołało na jej miejsce ks. Grzegorza Babiarza. Media ujawniły, że wyboru prezesa dokonali ludzie związani z ks. Jackiem Stryczkiem, pomysłodawcą Szlachetnej Paczki, który w październiku 2018 r. musiał się podać do dymisji. Pracownicy odczytali tę zmianę jako jego zemstę za oskarżenia o mobbing i wystosowali dramatyczny list do walnego zgromadzenia. Nowy prezes w wypowiedziach medialnych nie potrafił tej sytuacji wytłumaczyć.

Jaki komunikat w ten sposób został wysłany do opinii publicznej? Okazuje się, że sprawująca w Wiośnie najwyższą władzę anonimowa grupa członków walnego zgromadzenia w każdej chwili może zaważyć na funkcjono-

waniu stowarzyszenia, nie tłumacząc się z niczego i dzięki swojej anonimowości publicznie za nic nie odpowiadając. Joanna Sadzik została odwołana, choć przeprowadziła z sukcesem firmę przez kryzys (Wiosna utrzymała skalę pomocy oraz zaangażowanie wolontariuszy i darczyńców na dotychczasowym poziomie).

Ksiądz Babiarz na pytanie, na ile istotne będzie to, że prezes stowarzyszenia jest księdzem, odpowiedział, że uważa się za specjalistę od rozumienia Ewangelii. „Jest to pewną gwarancją, że owe wartości będą w naszej działalności na pierwszym planie” – odpowiedział „Gościowi Niedzielnemu”. Świecki prezes nie daje zatem – zdaniem ks. Babiarza – takich gwarancji. Kłopot w tym, że jest to argument czyisto klerikalny i w dodatku mało szlachetny.

©



„MARTWA NATURA Z OWOCAMI I KASZTANAMI”

to dzieło Vincenta van Gogha – potwierdzili holenderscy eksperci po dwóch latach badań. Namalowany jesienią 1886 r. w Paryżu obraz należy obecnie do muzeum sztuki w San Francisco. Reprezentuje okres inspiracji van Gogha malarstwem flamandzkim i impresjonistami. Pod owocami odkryto ponadto portret kobiety. © MOC

Osteophagus, nie holophagus

POLSKI INTERNET grzały ostatnio dwa „gadzie newsy”: była premier obrazowała, jak ludzie polowali na dinozaury, a szwedzcy naukowcy dowiedli istnienia smoka wawelskiego. Co do pierwszego, spuśćmy kurtynę. Co do drugiego, wyjaśniamy: artykuł z „Scientific Reports” nie dotyczy potwora-kałożericy z Kroniki Ka-dłubka! Odkrytemu na Śląsku dużemu dwunożnemu drapieżnikowi sprzed ok. 200 mln lat dla żartu nadano w 2012 r. oficjalną nazwę *Smok wawelski*. W styczniowej publikacji zaś Martin Qvarnström, Per E. Ahlberg i Grzegorz Niedźwiedzki z Uniwersytetu w Upps-

li opisali badania koprolitów tego archozaura. W prześwietlonych skamieniałych odchodach znaleziono dużą ilość pogryzionych kości. Badacze doszli do wniosku, że ten kopalny gad, niczym późniejszy o 140 mln lat *Tyrannosaurus rex* (znacznie od niego większy), a inaczej niż dotąd poznane ówczesne drapieżniki, zjadał kości wraz z mięsem upolowanych zwierząt, wielokrotnie miażdżąc je zębami. *S. wawelski* i *T. rex*, osteofagi z zarania i kresu ery dinozaurów, z Polski i Ameryki Północnej – na różnych etapach ewolucji – wdrożyły więc podobną strategię żywieniową. Przypisywaną zazwyczaj ssakom (podobnie postępują hieny) – może niesłusznie?

„To tylko tyle?”. Wolne żarty!

© MACIEJ SZKLARCZYK

Telewizja Czechosłowacka przedstawia

JĘŚLI W DZIECIŃSTWIE chodzi o bezbolesne przejście ze sfery marzeń do smutniejszych realiów świata, dla dzieci wychowywanych w latach 80. niewiele było lepszych przewodników niż Václav Vorlíček – reżyser filmów dla najmłodszych, który kilka dni temu, w wieku 88 lat, zmarł w praskim szpitalu.

Jego najbardziej znanym dziełem był 13-odcinkowy serial o księżniczce Arabeli, którego akcja w połowie rozgrywa się w świecie baśni, w połowie zaś w szarej (choć wtedy dla polskich dzieci wciąż przecież innej, ciekawej) Czechosłowacji ery Gustáva Husáka.



W scenariuszu (napisanym wspólnie z Milošem Macourkiem) znalazł miejsce na magiczny pierścień czarodzieja Rumburaka, ale też na czarny humor, ironię, a nawet krótkie przypowieści o cierpieniu i śmierci.

Kiedy lektor czytał: „Telewizja Czechosłowacka przedstawia serial...” – łądowaliśmy na pół godziny w innym świecie. Niby bardziej kolorowym niż nasz, ale też niepozabawionym paradoksów. Może dlatego łatwiej było po emisji wyjść na podwórko; pomyśleć, że tak jak dzieci i rodzina Majerów z „Arabeli” mamy jeszcze czas, aby odwrócić bieg wszystkich złych zdarzeń – nawet jeśli w tym prawdziwym świecie poważna twarz generała Jaruzelskiego przypominała, że żadnych magicznych pierścieni nie ma.

© MARCIN ŻYŁA

KULTURA W SKRÓCIE

PLANETY. Mieszkająca w Berlinie polska artystka Alicja Kwade zaprezentuje swoje instalacje w Metropolitan Museum of Art. Projekt „ParaPivot” to, jak mówi Kwade, rodzaj układu planetarnego. Instalacje będzie można oglądać od kwietnia do października. To pierwsza wystawa artystki w Nowym Jorku.

PORTRETY. „Rozpoczynając w 1993 roku współpracę z »Tygodnikiem Powszechnym« nie miałam jeszcze skryzalizowanych zainteresowań fotograficznych. Debiutowałam montażami. Tymczasem redakcja potrzebowała portretów ludzi kultury, w tym pisarzy. Szybko odkryłam, że portretowanie jest dla mnie atrakcyjne zarówno przez osobisty kontakt z portretowanymi, jak też przez



DANUTA WĘGIEL

towarzyszący fotografowaniu dreszcz emocji. Ciekawość ludzi zagłuszała skutecznie lęk, że nie podołam zadaniu” – mówi Danuta Węgiel, której wystawę fotografii „Stopklatka obecności” można oglądać do końca lutego w Nowohuckim Centrum Kultury w Krakowie. Przed obiektywem artystki stanęli między innymi: Stanisław Lem, Olga Tokarczuk, Ewa Kaïm (na zdjęciu), Jerzy Pilch czy Andrzej Stasiuk. Wstęp na wystawę jest bezpłatny.

KONKRETY. Narodowe Centrum Kultury odpytało młodych o ulubione gatunki muzyczne. Najpopularniejszym gatunkiem okazał się rap – sympatię do niego deklaruje co czwarty nastolatek. Niewiele mniej osób wskazało pop, a na trzecim miejscu ulubionych gatunków uplasował się rock. Disco polo słucha 8 proc. młodych. Badania udowodniły, że duży wpływ na gust muzyczny młodzieży ma wykształcenie rodziców.

SKĄD SIĘ NIE BIORĄ DZIECI

Pary mające kłopot z niepłodnością mają praktycznie tylko jedno wyjście: in vitro, przeważnie za prywatne pieniądze. Dobra edukacja pozwoliłaby wielu uniknąć tego przymusu – i towarzyszącego mu etycznego dylematu.

TEKST **MONIKA OCHĘDOWSKA**

ILUSTRACJE **JOANNA RUSINEK**



■ „PAN się przede wszystkim źle ubiera” – usłyszą, nim zamkną się za nimi drzwi gabinetu. Maciek niepewnie poprawi obcisłe jeansy. Na refundowaną przez NFZ wizytę u lekarza polecanego na jednym z forów dla par zmagających się z niepłodnością czekali z Dagmarą dziewięć miesięcy.

Prywatyzacja *in vitro*

Niepłodność dotyczy 1,5 mln polskich par. Jeśli z tej grupy wykluczymy te, które nie planują potomstwa, oraz te, które mają już dziecko dzięki *in vitro*, zostanie ok. 600 tys. związków, które nie tylko deklarują chęć leczenia, ale szukają pomocy. 60 proc. wymaga specjalistycznego postępowania lekarskiego. Większość, jak wynika z najnowszych rekomendacji Polskiego Towarzystwa Medycyny Rozrodu i Embriologii oraz Polskiego Towarzystwa Ginekologów i Położników, nie znajduje się jednak pod opieką specjalistycznych placówek. Do referencyjnych ośrodków leczenia niepłodności w zeszłym roku zgłosiło się – jak szacuje Ministerstwo Zdrowia – tylko 2870 par, w tym 2792 pary roz-

poczęły diagnostykę. Resort zakłada, że miarą skuteczności trwającego cztery lata i wartego prawie 100 mln zł „Kompleksowego programu ochrony zdrowia prokreacyjnego w Polsce” będzie 6 tys. zdiagnozowanych par, z których w ciążę zająć ma ok. 30 proc. Program, jak tłumaczy „Tygodnikowi” przedstawiciel ministerstwa Krzysztof Jakubiak, ma zidentyfikować choroby utrudniające posiadanie potomstwa i skierować do dalszego leczenia tych, którzy nie zostali dotąd zdiagnozowani.

W praktyce oznacza to, że pod opieką ośrodków referencyjnych mogą znaleźć się tylko nieliczni. Większość par będzie musiała skorzystać z placówek prywatnych.

– W ośrodkach referencyjnych leczone są głównie pary, które nie mają problemu z płodnością i prawdopodobnie w ciągu dwóch lat regularnego współżycia doczekałyby się potomstwa bez jakiejkolwiek pomocy medycznej – ocenia Marta Górna ze Stowarzyszenia na Rzecz Leczenia Niepłodności i Wspierania Adopcji „Nasz Boćian”. – Na pomoc w ramach rządowego programu mogą też liczyć ci, których leczenie ogranicza się do zastosowania me-

tod farmakologicznych, polegających m.in. na regulacji gospodarki hormonalnej, lub metod chirurgicznych, jak udrażnianie jajowodów. Część osób po otrzymaniu diagnozy, że jedyną szansą na potomstwo jest dla nich zastosowanie metod wspomaganą reprodukcji (takich jak *in vitro*), zostaje z tą wiadomością sama i nie robi nic, bo komercyjne leczenie jest drogie. Za każdą próbę zapłodnienia pozaustrojowego płacimy od siedmiu do kilkunastu tysięcy złotych. Do tego dochodzą koszty badań i leków.

– Rządowy program ma jeden plus: wydano duże pieniądze na sprzęt – pociesza prof. Rafał Kurzawa z Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego, od 20 lat zajmujący się wyłącznie leczeniem niepłodności. Pytam więc, czy za udanymi zakupami poszła poprawa jakości leczenia niepłodności metodami niezwiązanymi z rozrodem wspomaganym medycznie? – Nie można tego stwierdzić. Ministerstwo zapewnia, że efekty poznamy po zakończeniu projektu, czyli w przyszłym roku.

Najlepsi specjaliści przenieśli się jednak do ośrodków komercyjnych, w których wykonuje się najbardziej zaawansowane →



→ procedury związane z rozrodem wspomaganym. – Ponieważ są to instytucje prywatne, nastawione wyłącznie na nierelatywizowane procedury *in vitro*, inwestycje w sprzęt, który pozwoliłby na leczenie innymi metodami, są poza ich zasięgiem – mówi prof. Kurzawa.

Słowem: działania systemowe spowodowały nie tylko prywatyzację *in vitro*, ale wielu pacjentom ograniczyły dostęp do metod leczenia niepłodności sposobami innymi niż zapłodnienie pozaustrojowe.

■ **DAGMARA I MACIEK** wychodzą z gabinetu ze skierowaniem na badania diagnostyczne i poradami dotyczącymi stylu życia. Dagmarę zaskakuje, że praca na zmiany może mieć wpływ na płodność. Dziś zdziwiłaby ją również informacja, że wykonanie zaleconych przez lekarza badań zdyskwalifikuje ich przy ubieganiu się o przyjęcie do referencyjnego ośrodka leczenia niepłodności. O cyklu miesięczkowym słyszeli ostatnio w szkole, na lekcjach biologii.

Poproszę cudowną pigułkę

Nie jest to odosobniona sytuacja. – O płodności niewiele wiedzą nawet studenci kierunków medycznych – opowiada prof. Kurzawa. – Studentki pierwszego roku medycyny zapytane o prawdopodobieństwo zajścia w ciążę po stosunku w okresie okołouwulacyjnym najczęściej mówią, że wynosi ono od 50 do 70 proc., podczas gdy prawidłowa odpowiedź to 5 do 10 proc.

– Do gabinetu przychodzą pacjentki, które nie znają siebie, swojego cyklu, rytmu płodności – potwierdza prof. Violetta Skrzypulec-Plinta, ginekolożka ze Śląskiego Uniwersytetu Medycznego. – Coraz modniejsze są natomiast usługi wróżek. Zdarza się, że pacjentki zgłaszają się po receptę na cudowną pigułkę umożliwiającą zajście w ciążę. Ich wiedza pochodzi od doktora Google'a, u którego diagnozuje się ponad 90 proc. Polaków.

Obok wróżb popularność zyskują inne niekonwencjonalne metody, za którymi stoi doskonały marketing – m.in. coaching płodności. „Do odzyskania wewnętrznej równowagi oraz rozluźnienia mięśni miednicy wykorzystuję Platformę Schumanna, innowacyjne urządzenie medyczne emitujące drgania o częstotliwości identycznej jak drgania naszej Ziemi” – pisze na swojej stronie fizjoterapeutka i coach z Wrocławia. Oprócz drgań oferuje

także masaż brzucha, dożylną terapię witaminową oraz spotkania z cyklu „Magnetyzm miłości, czyli jak przyciągnąć wymarzonego partnera w mniej niż 100 dni”.

– Oczywiście, na pewnym etapie pomoc może każdy, nawet koleżanka, z którą umówimy się na kawę – komentuje dr Izabella Grzyb, psycholog z Centrum Psychoterapii i Seksuologii Empatia. – Ale jeśli mówimy o pomocy profesjonalnej, zdecydowanie odsyłam do osób z dyplomem i rzetelnymi kwalifikacjami.

Informacje o braku dostatecznej edukacji potwierdzają ustalenia PTMRI i PTGP. Pacjenci niewiele wiedzą o profilaktyce oraz diagnostyce niepłodności, a jeśli trafią do gabinetu – oczekują natychmiastowych efektów terapii. – Dostrzegamy ogromną potrzebę edukacji – podkreśla Marta Górna z „Naszego Bociana”. – Istnieją ogólnoeuropejskie badania, z których wynika, że brak wiedzy o fizjologii utrwała nadmiernie optymistyczne przekonanie o własnej płodności.

Na ten aspekt zwraca też uwagę prof. Kurzawa. – Pacjenci zwykle wiedzą, że szkodzi palenie papierosów (przypomnijmy: obniża płodność nawet o 50 proc.), nadużywanie alkoholu czy otyłość. Natomiast istotne są jeszcze dwa elementy, o których wciąż mówi się za mało, czyli regularne współżycie oraz wiek.

Zwykle sądzimy, że najbardziej efektywne pod względem prokreacyjnym jest współżycie wyłącznie w okresie okołowulacyjnym. – To przekonanie prowadzi do sytuacji absurdalnych. Żony zawodowych kierowców potrafią jeździć za mężami, by odbyć stosunek dokładnie czternastego dnia cyklu – opowiada prof. Skrzypulec-Plinta. – Tymczasem jest to przeciwnie skuteczne: w takim stresie niebawale podnosi się poziom prolaktyny, która zajście w ciążę utrudnia.

– Najwyższy wskaźnik płodności (nawet do 25 proc.) występuje przy regularnym współżyciu – powtarza prof. Kurzawa. – Regularnym, czyli co najmniej dwa-trzy razy w tygodniu, niezależnie od dnia cyklu. Warto dodać, że para jest najbardziej płodna w pierwszym roku znajomości.

W optymalnych warunkach 70–80 proc. kobiet o prawidłowym potencjale rozrodczym zachodzi w ciążę w ciągu pierwszych sześciu miesięcy regularnego współżycia.

Ale najważniejszy czynnik to wspomniany już wiek, zarówno kobiety, jak i mężczyzny. – Pokutuje stereotyp, że

mężczyzna zawsze może zostać ojcem, a to nieprawda. U połowy par za ograniczenie płodności odpowiada czynnik męski – zaznacza prof. Kurzawa.

Przyzwyczajaliśmy się utożsamiać fizyczną atrakcyjność z płodnością. Czujemy się dobrze, wyglądamy dobrze, więc wydaje nam się, że mamy czas, by zostać rodzicami. Coraz częściej słyszymy też, że w ciążę zachodzą kobiety po 40. roku życia, co rodzi przekonanie: „dlaczego akurat ja mam mieć z tym problem?”.

– Wywiady przeprowadzone w 2014 r. wśród par, których staż małżeński nie przekroczył dwóch lat, wskazują, że współcześnie zawieranie małżeństwa nie pociąga za sobą formułowania szczególnych oczekiwań wobec związku, np. tego, czy w ogóle będziemy mieli dzieci – mówi prof. Iwona Przybył, socjolożka z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, autorka publikacji poświęconych bezdzietności i niepłodności w małżeństwie. – Młodzi traktują dziś małżeństwo głównie jako wspólnotę, która ma gwarantować miłość, poczucie bliskości, zapewnić bezpieczeństwo i stabilizację.

Obraz młodych małżeństw uzupełnia Katarzyna Krzywicka-Zdunek, współautorka badania „Świat Młodych” przeprowadzonego przez instytut IQS. – Dzisiejsi młodzi to dzieci dorabiających się rodziców, uwikłanych w kredyty, w domach których nierzadko słychać było dyskusję o tym, co musieli poświęcić, odpuścić i z jakimi wyrzeczeniami się zmierzyć, żeby im i ich dzieciom było lepiej. Młodzi nie chcą tak żyć. Obserwujemy także wzrost postaw konserwatywnych: powrót do autorytetów, chęć życia zgodnie z nauką Kościoła i wiarę w to, że przysięga małżeńska powinna być nierozrwalna. To też – wbrew pozorom – może skutkować odłożeniem decyzji o założeniu rodziny zgodnie z zasadą, że liczy się przede wszystkim jakość związku i trwałość rodziny.

Diagnozę Katarzyny Krzywickiej-Zdunek potwierdza w rozmowie z „Tygodnikiem” prof. Przybył: – Za opóźnianie zachowań matrymonialnych odpowiada nie tyle wydłużanie się procesu edukacji, sytuacja na rynku mieszkaniowym i rynku pracy, ile specyfika wytwarzania więzi w ponowoczesności, w tym także wielokrotnienie prób odnalezienia idealnej „drugiej połowy”. Pytani o najważniejszy powód pozostawania w pojedynkę single odpowiadają, że jest nim niemożność wy-

boru potencjalnego partnera życiowego z powodu wyśrubowanych wymagań.

■ **DAGMARA I MACIEK** rodzicami zapragnęli jednak zostać dość wcześnie: zaraz po ślubie, w wieku 25 lat. – Mam wrażenie, że społecznie akceptowany porządek jest przeciwny do deklarowanego, czyli najpierw ciąża, potem ślub. Fakt, że my najpierw wzięliśmy ślub, był dla moich rodziców mocno podejrzany – żartuje Dagmara. Gdy minął rok małżeństwa, a oni nadal nie spodziewali się dziecka, wesoło już nie było. „A może powinniśmy wam jednak wytłumaczyć, jak to się robi” – dowcipkował na imieninach troskliwy wujek. „Ja, gdybym mogła, miałabym trójkę – rzucała mimochodem teściowa – może ty jesteś po prostu za gruba?”. – Byłam młoda, odszczekiwałam się, zwykle kończyło się awanturą – opowiada Dagmara. – Chcieliśmy się usamodzielnąć, przeprowadziliśmy się z Łodzi do Warszawy, pracowałam na zmiany, a atmosfera w firmie bliska była tego, co dzisiaj nazwałabym mobbingiem. Jadaliśmy na mieście, nie zawsze zdrowo, oboje mieliśmy nadwagę. Poza tym ja nie lubię odpoczywać, muszę być w ciągłym ruchu, muszę mieć coś do zrobienia: zadanie, cel. Czy pomyślałam, że jestem zmęczona i spięta? Że żyję pod nieustanną presją? Nie.

Lepiej, żeby nie wiedzieli

W gabinecie terapeuty pacjentki pojawiają się zwykle po kilku latach leczenia niepłodności, często już po wdrożeniu procedury *in vitro* lub pierwszych niepowodzeniach z zastosowaniem metod wspomaganego rozrodu. – Od 10 lat współpracuję z jedną z krakowskich klinik leczenia niepłodności – opowiada dr Grzyb. – Był tam parę lat temu program, w którym pacjentom w ramach procedury *in vitro* proponowano bezpłatną konsultację psychologiczną. Skorzystała mniej niż połowa. Młodzi ludzie są przekonani, że należy być silnym, zaradnym, że wszystkim sobie radzić samemu. Być może dlatego sporo pacjentów, którzy do mnie trafiają, ma już solidne objawy depresji.

Po wygaśnięciu rządowego programu w 2016 r. refundację *in vitro* przejęły samorządy, ale tylko w kilku miastach, m.in. Częstochowie, Łodzi i Poznaniu. Większość par trafia więc do komercyj-



Pary leczące niepłodność funkcjonują w tragicznym

paradoksie – poczucie winy wywołuje nie tylko doświadczenie choroby i niespełnienie społecznej roli rodzica, ale i poddanie się napiętnowanemu leczeniu – zarówno *in vitro*, jak i naprotechnologii.

nych ośrodków leczenia niepłodności, w których bezpłatnie skorzystać można najczęściej tylko z jednej wizyty u psychologa. Biorąc pod uwagę wysokość kosztów samych procedur medycznych, wsparcie terapeutyczne to dodatkowy wydatek, którego większość par chce uniknąć. Psychologowie zaznaczają także, że klinikom niekoniecznie musi zależeć na tym, by ich klienci poddawali się terapii – istnieje ryzyko, że po przeprowadzeniu konsekwencji psychologicznych, jakie może nieść wspomagany rozród, pacjenci się wycofają.

– Wbrew pozorom lekarze coraz częściej kierują pacjentów do psychologa – uspokaja Marta Górna z „Naszego Bociana”. – A w sytuacjach takich jak dawstwo gamet i zarodków konsultacja psychologiczna powinna być obowiązkowa, ponieważ umożliwia nie tylko komfortowe, ale i świadome przejście przez proces leczenia. Mowa tu o sytuacjach, w których para korzysta z dawstwa nasienia, komórki jajowej bądź przygotowuje się do adopcji zarodka. To momenty, które wymagają przepracowania na wielu płaszczyznach. Po-

cząwszy od akceptacji uczestnictwa anonimowego dawcy czy dawców, poprzez kwestię znaczenia rodzicielstwa genetycznego, a skończywszy na zagadnieniach jawności wobec dziecka i najbliższych. Nieznajomość tożsamości biologicznych rodziców jest wyzwaniem, z którym cała rodzina będzie się musiała w przyszłości zmierzyć.

Gdyby w grę wchodziły tylko kwestie finansowe, sytuacja w referencyjnych ośrodkach leczenia niepłodności, gdzie poradę można uzyskać bezpłatnie, byłaby zdecydowanie lepsza. Tymczasem według danych NFZ (stan na koniec grudnia 2018 r.) z opieki psychologicznej skorzystało w minionym roku jedynie 16 proc. zakwalifikowanych do programu prokreacyjnego par. Wiele osób utrzymuje fakt leczenia niepłodności w tajemnicy.

■ **W ZESZŁYM ROKU** mama Krzysztofa kupiła nam pod choinkę bombki z disneyowskimi motywami, a w tym roku dostałam małego bobasa – mówi Aneta, wyjmując z torebki różowy, pulchny breloczek do kluczy. – Odkąd przekroczyłam trzydziestkę, namowy i prośby przerodziły się w pretensje. Kiedyś byłam bardziej asertywna – wspomina. Dziś pytana przez rodzinę i znajomych o to, czy stara się o dziecko, zwykle kłamie. Efekt? Zaczęto częściej dokuczać Krzyškowi. – Ja z kolei słyszę, że jestem leniwa. Zdarza mi się zarywać noce z wściekłości po spotkaniach z rodziną, unikam koleżanek w ciąży.

Wybrakowani

Problemem jest nie tylko dziurawy system, który zmusza pacjentów do korzystania z komercyjnych ośrodków inwestujących głównie w *in vitro*, ale także niedogodności wynikające z godzenia pracy zawodowej z wielokrotnymi pobytami w szpitalu: badania pokazują, że – szczególnie wśród kobiet – lęk przed utratą pracy jest w tym okresie szczególnie silny.

Nie zwraca się również uwagi, że para, która po diagnozie w referencyjnym ośrodku ostatecznie zdecyduje się na bezdzietność, pozostaje bez refundowanej opieki psychologicznej, choć z uwagi na presję społeczną potrzebuje wsparcia. Badania potwierdzają, że osoby z problemem niepłodności czują się gorsze i mniej atrakcyjne, „wybrakowane”. – Pierwszą →



NIEPŁODNOŚĆ definiowana jest przez Światową Organizację Zdrowia jako niemożność zajścia w ciążę pomimo regularnych stosunków płciowych (2-4 razy w tygodniu) przez okres 12 miesięcy bez stosowania metod antykoncepcyjnych. U zdrowych i młodych pacjentek rozpoczęcie diagnostyki w kierunku niepłodności wskazane jest po roku regularnego współżycia, ale u kobiet po 35. r.ż. już po 6 miesiącach, u pacjentek po 40. r.ż. zaś – bezpośrednio po zadeklarowaniu planów prokreacyjnych.

NAPROTECHNOLOGIA wykorzystuje metody naturalnej oceny płodności. Nie przynosi efektów m.in. u kobiet z obniżoną rezerwą jajnikową, zaawansowaną endometriozą, niedrożnościami lub ograniczeniem drożności jajowodów, a także w przypadku stwierdzenia męskiego czynnika niepłodności oraz niepłodności

nieokreślonej. W związku z brakiem wiarygodnych badań klinicznych nie jest rekomendowanym przez Polskie Towarzystwo Medycyny Rozrodu i Embriologii standardem leczenia niepłodności.

INSEMINACJA DOMACICZNA oraz zapłodnienie pozaustrojowe to metody rozrodu wspomaganego. Stosuje się je, gdy nie może dojść do naturalnego spotkania komórki jajowej i plemnika w jajowodzie. Inseminacja domaciczna jest zabiegiem, w czasie którego za pośrednictwem specjalnego cewnika do jamy macicy wprowadza się odpowiednio spreparowane nasienie. Wskazania do niej obejmują głównie sytuacje, w których niepłodność powodowana jest przez czynnik męski lub problemy ze współżyciem. Skuteczność metody waha się od kilku do kilkunastu procent na jeden cykl. Nie jest zalecana u starszych kobiet.

ZAPŁODNIENIE POZAUSTROJOWE – *in vitro* znaczy „w szkle”, gdyż do połączenia komórki jajowej i plemnika doprowadza się w warunkach laboratoryjnych. Sama metoda przeprowadzana jest różnymi technikami, których zastosowanie dobiera się do pary po zdiagnozowaniu problemów z płodnością. Ma udowodnioną najwyższą skuteczność (w Polsce średnio 32 proc.). Zgodnie z nauką Kościoła katolickiego metody rozrodu wspomaganego są moralnie niedopuszczalne, ponieważ powodują oddzielenie aktu płciowego od aktu prokreacyjnego, a sama procedura oznacza czysto instrumentalne traktowanie embrionów. Episkopat Polski podkreśla jednak, że dzieci powołane drogą *in vitro* „należy przyjąć z miłością i szacunkiem, na który zasługują tak samo jak dzieci poczęte naturalnie”.

→ reakcją na wieść o własnej niepłodności jest szok lub wyparcie – zwłaszcza w przypadku mężczyzn, opowiada prof. Przybył. – U większości niepłodnych mężczyzn następuje generalizacja, czyli przejście do postawy „jestem gorszym mężczyzną” lub wręcz „jestem nieudacznikiem”. Kobiety pod wpływem presji zwykle racjonalizują podjętą decyzję o leczeniu („to jedyne wyjście”), zaprzeczają pojawiającym się wątpliwościom natury etycznej („nie mam z tym problemu”), bagatelizują („nie jest ważne, w jaki sposób dziecko się poczyzna”), projektują („wszyscy tak robią”), tłumią poczucie konfliktu (np. poprzez zerwanie związku z Kościołem), a nawet stają się agresywne, ostro krytykując naczynia Kościoła.

Na to nakłada się izolacja od otoczenia, szczególnie gdy pojawiają się w nim dzieci. – Pomimo zmian zachodzących w świadomości społecznej, bezdzietność z konieczności, a tym bardziej z wyboru, wciąż traktowana jest jako dewiacja, odchylenie od normy, stygmat – tłumaczy prof. Przybył. – Kiedyś brak dzieci traktowano na równi z kłutwą, a niepłodność utożsamiano z karą za cudzołóstwo. Dziś kobietę, która realizuje się zawodowo „za miast” opiekować domem i rodziną, lekceważy się jako „starą pannę”, egoistkę, osobę leniwą bądź wygodną.

Stygmatyzowane są także pary korzystające z „procedury kalectwa” (Gabriela Maśłowska, PiS) czy „niegodziwej metody” (Mikołaj Pawlak, rzecznik praw dziecka), jak przedstawiciele rządu zwykli nazywać *in vitro*. Pary leczące niepłodność funkcjonują w tragicznym paradoksie – poczucie winy i napięcie wywołuje nie tylko doświadczenie choroby skutkujące niespełnieniem społecznej roli rodzica, ale i poddanie się napiętnowanemu w debacie publicznej leczeniu – zarówno *in vitro*, jak naprotechnologii. Wywołany w ten sposób stres powoduje czasem odstępowanie od terapii.

■ **ŚWIADOMOŚĆ**, że są pod opieką najlepszego lekarza i dostali konkretne zadanie do wykonania – listę badań – dodaje Dagmarze i Maćkowi pewności siebie. Na kilka miesięcy uwaga całej rodziny skupia się na młodszej siostrze Dagmarze, która właśnie się zaręczyła. Na wesele przyjadą z dwumiesięcznym Kacprem. Julka urodzi się cztery lata później, po tym, jak Dagmara zdecyduje się wreszcie zmienić pracę.

Polityka prorodzinna

Dzięki rządowemu programowi *in vitro* z lat 2013-16 na świat przyszło ponad 21 tys. dzieci – raportował pod koniec grudnia serwis OKO.press, krytykując decyzję PiS o jego rozwiązaniu. – Niestety, likwidację ułatwił powołany przez premier Kopacz następca ministra Arłukowicza, Marian Zembala – mówi prof. Kurzawa, współautor programu. – Gdyby ministrowi zależało na kontynuacji, na koniec kadencji „wrzuciłby” *in vitro* jako procedurę refundowaną do koszyka świadczeń gwarantowanych przez NFZ. Tymczasem prof. Zembala zaproponował reedycję programu tylko po to, by PiS mógł ją odrzucić. Wszyscy na tym skorzystali: PO mogło krytykować, że PiS program likwiduje, a PiS zapunktował w swoim elektoracie pozbyciem się metody nieakceptowanej ideologicznie.

Prokreacji, wbrew pozorom, nie wspiera też program Rodzina 500 plus. Jak pisali na łamach „TP” (nr 44/2018) Marek Rabij i Przemysław Wilczyński, niecałe trzy lata po wprowadzeniu flagowego pomysłu PiS zamiast obiecanego baby boomu mamy ledwie zapis demograficznych drgań. – Więcej dzieci rodzi się w krajach, w których – paradoksalnie – zachęca się kobiety do pracy zawodowej: w Islandii, Francji, Norwegii, Szwecji, Finlandii, Wielkiej Brytanii czy Danii – wylicza prof. Przybył. Jest jedno „ale” – tam konsekwentnie wprowadza się politykę rodzinną, promując trzy jej elementy: rodzicielstwo, pracę zawodową i równouprawnienie w obowiązkach rodziców.

– Ja już się boję mówić o skutkach demograficznych oraz o tym, że „musi być więcej dzieci”. A boję się, bo rządzący zrobili z urodzeń niemalże obowiązek obywatelski i patriotyczny – mówi prof. Irena E. Kotowska z Instytutu Statystyki i Demografii Szkoły Głównej Handlowej, przewodnicząca Komitetu Nauk Demograficznych PAN. – Czasami mam też wrażenie, że w opinii rządu wystarczy 500 plus, by rodziły się dzieci. Chodzi mi o zideologizowany sposób prowadzenia dyskusji: mówi się dużo o planowaniu naturalnym, zakazie antykoncepcji, a niewiele o tym, co nazywamy zdrowiem reprodukcyjnym czy prokreacyjnym. A przecież spadek płodności i rosnąca liczba osób dotkniętych niepłodnością jest faktem.

© MONIKA OCHĘDOWSKA

Dwoje na huśtawce

DR ALEKSANDRA DEMBIŃSKA, PSYCHOŁOŻKA I BIOETYCZKA:

Na etapie leczenia należy zadbać o siebie i swój związek. Nie porzucajmy tych obszarów życia, które przed staraniami o dziecko były dla nas ważne. Pomyślmy o pasjach, relacjach z ludźmi – nie wycofujmy się z nich, zamykając przed wsparciem.

MONIKA OCHĘDOWSKA: Powiedzmy wprost: niepłodność to kryzys.

ALEKSANDRA DEMBIŃSKA: To kompleks kryzysów, które dotyczą jednocześnie wielu obszarów życia. Para zmagająca się z niepłodnością przeżywa zarówno kryzys osobisty, dotyczący ważnych wartości, jak kryzys rozwojowy, ponieważ rodzina nie może wejść w swój naturalny etap związany z posiadaniem potomstwa, i kryzys egzystencjalny – pojawiają się myśli i pytania: „Dlaczego ja, dlaczego akurat my nie możemy mieć dziecka?”. Trzeba również zmierzyć się z własną śmiertelnością, ale też śmiertelnością pokoleń, bo przecież jeśli nie będziemy mieli dziecka, to nie przekażemy swoich genów dalej, jeśli ja nie zostanę matką, moja matka nie zostanie babcią itd.

Pojawia się także kryzys zdrowotny, bo jeśli chcę mieć dziecko, będę musiała poddać się badaniom, zacząć leczyć. No i do tego dochodzi kryzys rodzinny: napięcie zarówno między dwojgiem ludzi, którzy starają się o dziecko, jak i pomiędzy parą a rodziną, której reakcje i tzw. dobre rady są często źródłem dodatkowego stresu. Im dłużej trwa leczenie, tym więcej kosztów psychologicznych się pojawia, a za nimi idą coraz silniejsze wahania i spadki nastroju. Niepłodność to emocjonalny rollercoaster, dla wielu par moment zwrotny i rozstrzygający, także o dalszej relacji.

Jak ten kryzys rzutuje na związek?

W indywidualnych rozmowach, głównie z pacjentkami, problem nieporozumień w związku wybija się na pierwszy plan. Mężczyźni i kobiety inaczej doświadczają niepłodności. Powodów jest oczywiście wiele, a historie

i problemy par są indywidualne, ale pamiętajmy, że nawet jeśli przyczyna bezdzietności leży po stronie mężczyzny, to i tak kobieta w procesie leczenia jest zdecydowanie bardziej obciążona wszystkimi procedurami medycznymi.

Jeśli para potrafi być ze sobą także w trudnych momentach, to doświadczenie kryzysu może zacieśnić jej relację i sprawić, że się do siebie zbliży. Dla innych będzie to powód oddalenia, nawet rozstania. Należy uważać, by relacja nie budowała się wyłącznie wokół procesu leczenia – także dlatego, że zbyt silna koncentracja na nim działa zwrotnie na płodność. Zdarza się, że kobieta na początku leczenia ma dobre wyniki hormonalne, a w trakcie terapii z powodu stresu one się wyraźnie pogarszają.

Jaki jest pierwszy trudny moment w procesie leczenia?

Już nieudane miesiące starań o dziecko są trudne, a wybranie się do kliniki leczenia niepłodności bywa krępujące, czasem wręcz stygmatyzujące. Niepłodność jest chorobą. Jeśli chorujemy, to naturalnie chcemy się leczyć. A w Polsce prawo do leczenia niepłodności, mimo ogromnej kulturowej presji na kultywowanie wartości rodzinnych i posiadanie dzieci, nie jest oczywiste. Niezależnie od tego, jakie para ma poglądy, przekaz medialny na temat leczenia niepłodności jest tak dyskryminujący, że pary mierzą się nie tylko z poczuciem winy z powodu zgłoszenia do kliniki, ale i z lękiem przed ujawnieniem tego faktu.

Jesteśmy przygotowani – przez szkołę, nauki przedmałżeńskie – na najbardziej optymistyczny wariant płodności i nie spodziewamy się niepowodzeń. Temat ➔

→ niepłodności z kolei pojawia się zwykle w kontekście zideologizowanej dyskusji. Trzeba podkreślić, że napiętnowanie dotyczy wszystkich: zarówno par decydujących się na *in vitro*, jak i tych, które wybierają naprotechnologię.

Miałam nadzieję, że wprowadzenie ustawy o leczeniu niepłodności coś zmieni. Niestety tak się nie stało. Prawo, które powinno być dla pacjentów wsparciem, wciąż nim nie jest.

Większość par mimo wszystko podejmuje leczenie.

Proces diagnozy bywa długi i zwykle towarzyszy mu frustracja. Zanim dostaniemy pierwsze wyniki badań hormonów, mija mniej więcej miesiąc. Każdy następny etap diagnostyki i leczenia to kolejne tygodnie oczekiwania.

Zdecydowanie lepiej na tym etapie radzą sobie pary, które dostaną konkretną diagnozę i mają jasno określony cel leczenia. Trudniejszy do zaakceptowania jest brak diagnozy – tzw. niepłodność idiopatyczna, gdy para nie zachodzi w ciążę i nie wiadomo, dlaczego. Na tym etapie ważne dla samopoczucia pary jest wsparcie ze strony personelu medycznego, nie tylko informacyjne, ale i emocjonalne. Uważam, że ci, którzy pracują z parą mającą problemy z prokreacją, powinni być przeszkoleni w interwencji kryzysowej.

Nie wiemy, co jest nie tak, i pojawia się złość.

Tak, choć ona jest na tym etapie potrzebna. To pewnie zaskakujące, ale złość idzie w parze z nadzieją. Póki się złości, to oznacza, że wciąż wierzymy. To także ważny sygnał dla otoczenia – irytacja jest świadectwem tego, że para „walczy”. Otoczenie nie powinno zaprzeczać, powtarzać np., że „wszystko będzie dobrze”... Oczywiście to trudne zarówno dla lekarzy, personelu medycznego, jak i bliskich tej pary. Ale gdy wygasa irytacja, zwykle spada także nadzieja. A wtedy najczęściej pojawia się depresja.

Przytrzymajmy się zatem nadziei.

Dobrze jest dawać tę realną – pacjentom pomaga, jeśli dostają rzetelne informacje o szansach na wyleczenie. To działa uspokajająco i mobilizująco. Z kolei wzbudzenie przesadnej, nierealnej nadziei – np. powtarzanie kobiecie: „Jesteś młoda, jeszcze masz czas, urodzisz” – jest dodatkowym obciążeniem psychicznym.



Boimy się iść do psychologa,
by nie usłyszeć, że to w naszej
psychice tkwi przyczyna
niepłodności lub że nie
jesteśmy na tyle dojrzałi
emocjonalnie,
by mieć dziecko.

W trakcie leczenia pojawia się proces, który nazywa Pani wahadłem nadziei.

Doświadczenie niepłodności jest powtarzającym się doświadczaniem straty. Kobieta co miesiąc przygotowuje się na ciążę, w związku z czym każda miesiączka nie się ze sobą żałobę. Ta żałoba, mimo że jest opłakiwaniem osoby wyobrażonej, przypomina prawdziwy żal po stracie kogoś bliskiego. Ale ponieważ to żałoba po kimś, kogo nie było, para jest przekonana, że nie ma do niej prawa. To prowadzi do tłumienia i ukrywania uczuć oraz nieustannych wahań nastroju.

Nadzieja cyklicznie przeplata się z żałobą. Kobiety, których leczenie trwa długo, są z tą huśtawką nastrojów na tyle obeznane, że zaczynają odczuwać lęk przed samym jej mechanizmem – lepiej nie mieć szczególnej nadziei, bo potem znów będziemy płakać... Taki lęk pojawia się później przed każdą decyzją, wizytą u lekarza, kolejnym etapem leczenia. On jest także przyczyną wycofania, izolacji i z pewnością nie sprzyja poszukiwaniu wsparcia.

Niewiele par decyduje się w tej sytuacji na pomoc psychologiczną. Większość musi ponieść bardzo wysokie koszty leczenia, a terapia to dodatkowy wydatek. Rzadko

zgłaszamy się także na bezpłatne konsultacje.

Rozumiem ten opór. Zgłoszenie się do psychologa jest wprowadzeniem kolejnej osoby do sfery bardzo intymnej: związanej z prokreacją, z seksem. A tam i tak jest już zaangażowana spora grupa, by nie powiedzieć tłum – lekarze, pielęgniarki, panie z recepcji... Doświadczenie własnej seksualności w procesie leczenia niepłodności staje się zresztą z czasem bardzo mechaniczne, podporządkowane terminom i procedurom. Para ma poczucie, że ktoś z zewnątrz nieustannie w ich seksualność ingeruje. Kobiety opowiadają, że po pewnym czasie leczenia staje im się obojętne, przed kim się rozbierają i kto je dotyka. Zaczynają traktować swoje ciało przedmiotowo, tracą z nim kontakt. Odcinają się. A szukanie wsparcia psychologa jest w ich odczuciu przyzwoleniem na kolejne ingerencje.

Jest jeszcze coś: boimy się iść do psychologa, by nie usłyszeć, że to w naszej psychice tkwi przyczyna niepłodności, że to jakieś wydarzenie z przeszłości nas „zablokowało” lub że nie jesteśmy na tyle dojrzałi emocjonalnie, by mieć dziecko. Chciałabym uspokoić, że psychologia prokreacji i badania nad nią odchodzą od psychoanalitycznego uzasadniania niepłodności.

W przeciągu ostatnich lat znacznie rozwinęła się teoria „stresowa”, która przesunęła nacisk z wewnętrznych czynników osobowościowych, wpływających na powstanie zaburzeń płodności, na elementy środowiskowe. Wykazano istnienie zależności pomiędzy hormonami „stresowymi” a hormonami odpowiedzialnymi za prawidłowe funkcjonowanie narządów płciowych.

Po co w takim razie opowiadać o problemie kolejnej obcej osobie?

Nie wystarczy, że się leczymy?

Psycholog pomaga przemyśleć i podjąć decyzje, które spadną na nas w procesie leczenia.

Na przykład?

Powiedzmy, że para zdecyduje się na *in vitro*. Ustawa określa, że zapłodnieniu może podlegać nie więcej niż sześć żeńskich komórek, a w stymulacji powstaje ich np. dziesięć. Można je zamrozić, ale klinika zapewne zaproponuje dawstwo – jaką podejmiemy decyzję? A jeśli nie zdecydujemy się na *in vitro*, to czy bierzemy

pod uwagę adopcję? A co, jeśli w ogóle nie będziemy mogli mieć dziecka?

Proszę pamiętać, że psycholog jest trochę w opozycji do lekarza, bo będzie dbał o to, by jego pacjenci do pewnych decyzji dojrżeli. Jeśli patrzymy na proces leczenia niepłodności jak na cykliczną żalobę, musimy się zgodzić z tym, że tę żalobę trzeba przeżyć. A to trwa.

Często para jest tak wyczerpana procesem leczenia, że każda z osób w związku cierpi samotnie i brakuje sił, by wszystko przedyskutować. Gabinet daje przestrzeń do takiej rozmowy.

Zresztą my w ogóle wstydymy się rozmawiać, bo wstydymy się przyznać do leczenia. Rodzinna tajemnica zaczyna z czasem puchnąć i ciążyć. Opresyjne komentarze wychwytywane z otoczenia powodują wycofanie, a wycofanie z kolei prowadzi do tego, że pary pozostają bez wsparcia, ponieważ rodzina zwykle nie wie, że ich bliscy poddają się leczeniu, a jeżeli wie, to nie potrafi się do tego jednoznacznie ustosunkować.

Presja rodziny bywa ogromna.

Nawet gdy para dochodzi do momentu, że nie ma siły na dalsze leczenie – bywa, że rodzina tego nie akceptuje. Presja posiadania potomstwa jest tak silna, że decyzyj o zaprzestaniu leczenia jest jedną z najtrudniejszych w całym procesie. Stąd, jak wynika z przeprowadzonych przeze mnie badań, na bezdzietność ostatecznie decydują się najbardziej odważne i liberalne pary. Paradoksalnie zdarza się, że po nieudanym *in vitro* kobiety odczuwają wręcz ulgę.

Dlaczego?

Tak się boją procedur, tak intensywnie przeżywają myśl o potencjalnej ciąży i dziecku, że zakończenie starań – bez względu na osiągnięty skutek – przynosi uspokojenie.

Przyjmijmy, że się udaje i pojawia się dziecko.

Leczenie niepłodności zwiększa ryzyko depresji poporodowej. Możemy tu mówić nawet o tzw. depresji szczytu. Gdy po długim czasie osiągamy upragniony cel, którym w tym przypadku są narodziny dziecka, często nie mamy siły się cieszyć, ponieważ mnóstwo sił i energii zainwestowaliśmy już w starania. Bywa, że u rodziców pojawia się poczucie winy, bo przecież „powinniśmy być najszczęśliwsi”. Dodatkowo, jeśli leczenie było dotąd siłą napędową związku, a para podchodziła do niego zadaniowo, po narodzinach dziecka nagle pojawia się brak, pustka.

Kolejne wyzwanie okresu macierzyństwa i ojcostwa to zmierzenie się z urealnieniem własnych oczekiwań. Dziecko, na które tak długo czekaliśmy, zostało w naszych wyobrażeniach wyidealizowane. A tu zamiast uśmiechniętego, rumianego bobasa z okładek pism dla rodziców mamy nagle niemowlę, które krzyczy, płacze i choruje. Pojawia się wzmożony lęk o maleństwo, które zamiast rozwiązać wszystkie nasze problemy, generuje kolejne.

Co może pomóc w obniżeniu tego napięcia?

Już na etapie leczenia należy zadbać o siebie i swój związek. Nie porzucajmy

tych obszarów życia, które przed staraniami o dziecko były dla nas ważne. Pomyślmy o pasjach, relacjach z ludźmi – nie wycofujmy się z nich, zamykając przed wsparciem.

Dbajmy o drobne przyjemności. Bądźmy dobrzy dla swojego ciała, które jest podczas leczenia przeciążone – to mogą być techniki relaksacji, joga, *mindfulness* albo sport, ale nie narzucajmy sobie dużego reżimu. Często pytam pacjentów: jak w takiej sytuacji zadbałbyś o swojego przyjaciela? Co byś mu powiedział? Jak wsparł? Jesteśmy dla siebie zbyt surowi, krytyczni, wymagający. To samo dotyczy stosunku do partnera.

Doświadczenie niepłodności to trudna sytuacja dla obojga. Ale kryzys psychologiczny poza obciążeniem niesie szansę na rozwój, możemy go pozytywnie rozwiązać – wzmocnić siebie i partnerstwo.

©© Rozmawiała MONIKA OCHĘDOWSKA



ARCHIWUM PRYWATNE

DR ALEKSANDRA DEMBIŃSKA jest psycholożką i bioetyczką, wykładowczynią Katedry Psychologii Uniwersytetu

Pedagogicznego w Krakowie. Autorka badań nad doświadczaniem niepłodności przez kobiety, których wyniki zebrano w monografii „Psychologiczne aspekty zmagania się kobiet z niepłodnością. Wahadło nadziei”. Jest założycielką Poradni Stresu Prokreacyjnego „Nadzieja”, obejmującej opieką osoby starające się o dziecko, w czasie ciąży, jak i po niej.

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Bunchicki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabi, Mariusz Sepiolo, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Janowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frotow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmieńska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziwili-Meller, Szymon Hołownia, Jan Kłata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomasz Halik, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kozłiska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucy, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocur, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Adereit, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś, Agnieszka Sabor, Tadeusz Stawek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmieńska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA



S-NET zapewni wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”



Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIAA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.
■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak: Dwie Tory



SĄ DWIE TORY. JEDNA SPISANA I PRZETŁUMACZONA na grecki w III wieku przed wspólną erą. Oczywiście mówię tu o Pięcioksiągu, dziele Boga powstałym przed stworzeniem świata, danym ludzkości na górze Synaj. Jest też Tora druga, zwana Torą ustną. Na nią składają się wszystkie instrukcje, zasady, prawa, orzeczenia rabinackie, które od dziesiątków pokoleń są i będą przedstawiane. Wszystkie są wywiedzione z Tory pisanej.

Judaizm jest religią prawa – i te prawa muszą być znane i wyjaśnione wiernym. Gdy czytamy, że szabat ma być dniem bez pracy, to oczywiście pojawia się pytanie, czym jest praca i jakiego obszaru dotyczy. Jasnej odpowiedzi na to pytanie nie znajdziemy w Torze spisanej.

Praca, jak rozumiem, obejmuje wszystkie czynności, które związane są i były z budową Świątyni. Zakazane jest rysowanie, rozpalać ognia, czytanie świeckich książek, słuchanie radia czy oglądanie telewizji. Nie wolno uruchamiać windy (to już ukłon w stronę współczesności; winda w hotelach w Jerozolimie zatrzymuje się w sobotę na każdym piętrze.). Nie wolno jeździć samochodem. Nie wolno gotować. W starych piecach jest szabaśnik, gdzie w cieple z dnia poprzedniego grzeje się szabasowe jedzenie. Idąc do synagogi nie wolno nosić kluczy czy portfela. Klucze do domu mogą być obecne jako zapinka do paska. Nie wolno chodzić poza miasteczko, którego granice wyznacza eruw, taki rodzaj drutu rozciągnięty między domami.

Tradycja wskazuje na 39 zabronionych czynności wykonywanych w szabat. Inne prawa dotyczą domu, a inne obszaru wspólnego czy publicznego. Szabat zaczyna się w piątek wieczór kilka minut przed zachodem słońca i nakazane jest, by pani domu zapaliła świece i odmówiła specjalne błogosławieństwo. Obowiązują trzy posiłki i każdemu towarzyszą błogosławieństwa. Można złamać reguły szabatu w okolicznościach, gdy zagrożone jest ludzkie życie. Wtedy łamię się prawo z dumą, w duchu Tory.

Tora ustna reguluje, co wolno spożywać, w jakich ilościach i w jakich sytuacjach. Kiedyś pilnowałem koszerności chały, co polegało na tym, by nie używać jajek, w których widoczne już były zarodki. Istnieją też precyzyjne zasady uprawiania seksu (w Biblii zazwyczaj używa się określenia „poznać”, Adam poznał Ewę). W zasadzie zakazany jest seks pozamałżeński. Nie wolno go uprawiać dla przyjemności tylko jednego partnera. Musi być uprawiany w określonym rytmie i często mowa o nim w ketubie, małżeńskim kontrakcie. Zabronione są stosunki seksualne w okresie menstruacji przed tym, nim kobieta nie zanurzy się w mykwie.

Piszę o tym wszystkim tylko po to, by powiedzieć, że judaizm istnieje przez tysiące orzeczeń prawnych (często rabini dają wykluczające się sądy). Jest religią nie tyle wiary, jak chrześcijaństwo, ile praw i zasad, z których nadrzędną rolę odgrywają sprawiedliwość i miłosierdzie.

©

O. WACŁAW

Oszajca: Przyjdą po sprawiedliwość



EGZEGECI TWIERDZĄ, ŻE ŁUKASZ EWANGELISTA motywem przewodnim swojej Ewangelii uczynił przykazanie miłości, „ukazując je jako centralne prawo życia chrześcijańskiego, oraz relacje międzyludzkie, oparte na miłości i miłosierdziu” (jak mówi bibli-

sta, pallotyn ks. Franciszek Mickiewicz).

Z raportu Oxfam dowiadujemy się, że w skali globalnej „w ciągu ostatniej dekady majątki [miliarderów] wzrosły prawie dwukrotnie. 26 najbogatszych osób ma tyle samo, co 3,8 miliarda biedaków – mających zresztą coraz więcej problemów”. Ostatnio „najbiedniejsi stracili 11 proc. ze swoich dotychczasowych środków”, kiedy tymczasem „najbogatsi płacą naprawdę niskie podatki. Na przykład w Brazylii najbiedniejsi obywatele oddają procentowo dużo więcej niż najbogatsi mieszkańcy państwa”. Gdzie więc ci najbiedniejsi powinni szukać ratunku? Najprostsza odpowiedź: u Boga. I tak, i nie.

„Szczęśliwi, którzy teraz płaczecie, ponieważ śmiać się będziecie” oraz „Cieszcie się i skaczcie z radości w tym dniu, ponieważ wielka jest wasza zapłata w niebie”. Ładnie ta obietnica brzmi, ale czy przypadkiem nie jest na wyrost? Niebo w nagrodę? Czyli co? O odpowiedź najlepiej byłoby zapytać tych, którzy rzeczywiście przestali płakać, ale dlatego, że zabiła ich bieda. Albo tych, których zaliczono do nieużytecznych, więc śmiertelnie groźnych dla narodu, państwa, Kościoła. O niebo trzeba by zapytać żołnierzy, których politycy, a więc i wyborcy, w imię sfalszowanych najszlachetniejszych ideałów, wciąż wyprowadzają na niechybną śmierć na wojnach. Jeśli ci skrzywdzeni nigdy nie zaznają spełnienia, nie doznają szczęścia, o którym marzyli, to znaczy, że my, mający się dobrze – przepraszam za wyrażenie – pasożytujemy na ich ofierze, na śmierci, którą im wprost lub pośrednio zadaliśmy. A teraz, skoro ich nie ma, bo nie ma nieba, nie musimy poprosić ich o wybaczenie czy podziękować. Skoro zmarli po prostu przestali istnieć to tym samym stali się niewidoczni, a to ułatwia nam życie. Ich śmierć do niczego nas nie zobowiązuje. Nie niepokoi sumień i nie przymusza do podjęcia ich dziedzictwa.

Paweł Apostoł mówi: „Jeśli Chrystus jest naszą nadzieją tylko w ziemskim życiu, to jesteśmy bardziej godni pożałowania niż wszyscy ludzie”. Jak widać, Pan Bóg nie prowadzi wszechmogącej agencji ubezpieczeniowej ani firmy usługowej pod nazwą „Zrobimy to za ciebie”. Dlatego potrzebne jest nawrócenie, czyli zmiana mentalności, myślenia, widzenia rzeczywistości. Jeśli dzisiaj ginącym na naszych oczach nie okażemy miłosierdzia, jutro sami do nas przyjdą, ale już nie po miłosierdzie, tylko po sprawiedliwość. Wtedy na nic się zdadzą wszelkie mury, a tym bardziej humanitarne i zbożne deklaracje. Na nic się zdadzą modlitwy powszechne i wstawiennicze, gdyż były namawianiem Pana Boga, by zrobił to, co my powinniśmy zrobić.

©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Świadectwo: koniec i początek

*Szukać Jezusa to szukać
Logosu, Mądrości,
Sprawiedliwości,
Prawdy i Mocy Bożej,
bo tym wszystkim
jest Chrystus.*

ORYGENES



*Jestem rzeką płynącą
do Twego morza.*

KABIR



Wybrał PIOTR SIKORA



ŚWIADECTWO JEST POCZĄTKIEM ewangelizacji – stwierdził przeszło pół wieku temu święty papież Paweł VI („Ewangelii nuntiandi”, 21).

To oczywiście: bez świadectwa, i to radykalnego, nigdy nie sprowokujemy pytań, na które odpowiedź z naszej strony może być jedynie kerygmat. Czytana niedawno perykopa z Ewangelii św. Marka, opowiadająca o pierwszym rozesłaniu Dwunastu (Mk 6, 7-13), potwierdza tę zasadę. Dopisuje jednak istotne uzupełnienie: świadectwo musi być nie tylko pierwszym, ale i ostatnim słowem ewangelizacji.

Musi być jej słowem pierwszym – dlatego właśnie we wspomnianej perykopie tyle jest mowy o tym, w jaki sposób mają żyć i postępować głosiciele Ewangelii: „przykazał im, żeby nic ze sobą nie brali na drogę oprócz laski: ani chleba, ani torby, ani pieniędzy w trzosie. Ale idźcie obuci w sandały i nie wdziewajcie dwóch sukien. I mówił do nich: Gdy do jakiegoś domu wejdziecie, zostańcie tam, aż stamtąd wyjdziecie”. Jezus, posyłając Apostołów, nie formułuje precyzyjnie „spisu treści” zawierzonego im przekazu, nie wykląda kaznodziejstwa i nie sprawdza umiejętności krasomówczych. Za to – i tu jest bardzo detaliczny – zobowiązuje ich do ubóstwa, a także bezinteresowności i nie wybrzydzenia na warunki, w których się znajdują. Jako pierwszych adresatów apostołskiej misji wskazuje chorych. Mamy więc wybór ubogich odbiorców i ubogich środków. To musi pociągać – tak było i tak jest.

Zamykając jednak swoje pouczenie, Jezus mówi: „Jeśli w jakimś mieście was nie

przyjmą i nie będą was słuchać, wychodząc stamtąd strząśnijcie proch z nóg waszych na świadectwo dla nich”. Kto wie, czy nie pada tu wezwanie trudniejsze niż wymienione poprzednio? W jaki sposób „strząśnąć proch”, by stało się to świadectwem, a nie antyświadectwem?

Świadectwo chrześcijańskie jest jedno: zawsze musi być wyrazem miłości. Jezus mówi: wobec tych, którzy was nie chcą słuchać i którzy was odrzucają, macie na koniec złożyć świadectwo miłości. Wtedy owo „strząśnięcie prochu z nóg” nie będzie wcale oznaczać: „nie chcemy mieć z wami nic wspólnego” czy „brzydzimy się wami, waszymi decyzjami i sposobem życia”. Nie. Będzie raczej oznaczać: „nie chcieliśmy wam niczego zabrać”, „nie przyszliśmy do was, by zrobić interes”.

Świadectwo miłości w chwili odrzucenia – to bardzo mocne słowo. Jedno z takich słów wypowiedział wspomniany 6 lutego św. Paweł Miki, XVI-wieczny męczennik z Japonii. Przed ukrzyżowaniem powiedział: „Myślę, że skoro doszedłem do tej chwili, nikt z was nie będzie mnie podejrzewał o chęć przemilczenia prawdy. Dlatego oświadczam wam, że nie ma innej drogi zbawienia poza tą, którą podają chrześcijanie. Ponieważ ona uczy mnie wybaczać wrogom oraz wszystkim, co mnie skrzywdziło, dlatego z serca przebaczam królowi, a także wszystkim, którzy zadali mi śmierć, i proszę ich, aby ze chcieli przyjąć chrzest”.

Ważne jest świadectwo, które otwiera drzwi przepowiadaniu. Ale może ważniejsze jest to, które – gdy przepowiadanie zostało odrzucone – tych drzwi nie zatrzaskuje? ©

CZYTANIA LITURGICZNE (17 – 24 II)

6. niedziela zwykła: Jr 17, 5-8;

Ps 1; 1 Kor 15, 12. 16-20; Łk 6, 17. 20-26;

Poniedziałek: Rdz 4, 1-15. 25; Ps 50; Mk 8, 11-13;

Wtorek: Rdz 6, 5-8. 7, 1-5. 10; Ps 29; Mk 8, 14-21;

Środa: Rdz 8, 6-13. 20-22; Ps 116B; Mk 8, 22-26;

Czwartek: Rdz 9, 1-13; Ps 102; Mk 8, 27-33;

Piątek: 1 P 5, 1-4; Ps 23; Mt 16, 13-19;

Sobota: Hbr 11, 1-7; Ps 145; Mk 9, 2-13;

7. niedziela zwykła: 1 Sm 26, 2. 7-9. 12-13. 22-23;

Ps 103; 1 Kor 15, 45-49; Łk 6, 27-38.

HAKI I PRZYKRYWKI

Gdyby PiS nie wpadł w kłopoty
po śmierci Adamowicza i nagraniach Kaczyńskiego,
Bartłomiej M. wciąż chodziłby wolny, Niesiołowski zaś mógłby uchodzić
za przeciwnika prostytucji.

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Bartłomiej M., 2017 r.



NIE MA W TYM LOGIKI? NIESTETY, MOŻE być.

Pierwszy miesiąc roku wyborczego był jak trzęsienie ziemi w filmach Hitchcocka. Zaczęło się od zamordowania prezydenta Gdańska, potem była „srebrna afera” Kaczyńskiego, a jednocześnie aresztowanie Bartłomieja M., zaraz potem zaś CBA zatrzymało biznesmenów, którzy wysyłali prostytutki do posła Niesiołowskiego w zamian za pomoc w załatwianiu państwowych kontraktów.

Przypadkowe, nadzwyczajne nagromadzenie wydarzeń? Mało prawdopodobne. Nie w dzisiejszej polskiej polityce. To raczej serial, w którym niebagatelna część to reżyserowane wstawki, które mają poprowadzić fabułę w kierunku korzystnym dla obozu władzy.

Nieszczęsny styczeń

Granie tzw. przykrywkami stało się w Polsce jednym z podstawowych narzędzi uprawiania polityki.

I od dawna nie chodzi już o kształtowanie w ten sposób otoczki polityki – marketingu, wizerunku i PR. Przykrywka stała się samą esencją polskiej polityki, to ona dyktuje polityczny rytm i agendę, to wokół niej toczą się kluczowe debaty.

Czym jest przykrywka? To wydarzenie lub wypowiedź, zmieniające obraz gry. Absorbują zainteresowanie, detronizują inne informacje na czołówkach dzienników telewizyjnych, w radiach, gazetach i na portalach. Przykrywka to najcudowniejsza pasza dla internetowych trolli i hejterów. Przykrywka zaprzęta myśli, angażuje emocje i rozwiązuje języki. Jest wszędzie.

Weźmy ten styczeń, bodaj najbardziej nieszczęsny w ciągu trzech dekad polskich przemian. Na jego przykładzie można wręcz anatomicznie prześledzić przykrywkową metodę uprawiania polityki, a to dlatego, że w styczniu doszło do wydarzeń tragicznych, więc i metody przykrywkowe musiały być istnymi fajerwerkami.

To jest kluczowe: na początku musi być wydarzenie, które jest tak głośnie i niebezpieczne dla polityków, że zmusza do szybkiego oszacowania arsenału posiadanych przykrywek. Oczywiście w tym przypadku było to brutalne morderstwo prezydenta Adamowicza – bardzo szybko okazało się, że ta śmierć ma potężny ładunek polityczny, niekorzystny dla PiS.

Można się było spodziewać przykrywki, i rzeczywiście: prokuratura wypuściła →



→ przecieki sugerujące, że zamachowiec mógł planować atak na Pałac Prezydencki. Były one jednak na tyle toporne, że sam obóz władzy musiał je szybko zdementować.

Wkrótce doszło jednak do zatrzymania bliskich współpracowników Antoniego Macierewicza, w tym jego byłego rzecznika Bartłomieja M. oraz byłego posła PiS Mariusza Antoniego K. Postawiono im zarzuty korupcyjne, a M. wyładował w areszcie.

Jest mało prawdopodobne, by moment przeprowadzenia tej operacji był przypadkowy. Tajemnicą poliszynela jest to, że korupcyjne układy w resorcie obrony były główną przyczyną odwołania Macierewicza z rządu – a od tego czasu minął już rok.

Najpierw zapuszczamy naszego

Czy to znaczy, że zatrzymując sławnego Bartłomieja, PiS chciał odwrócić uwagę od pogrążonej w żałobie rodziny Adamowicza i skąpanego w czerni Gdańska? W graniu przykrywkami rzadko jest to tak proste, bo czasem przykrywka stosowana jest także uprzedzająco – jako uderzenie prewencyjne przed nadciągającymi kłopotami.

W tym sensie pan M. mógł wyładować za kratami dlatego, żeby skończyła się żałobna celebra wokół Adamowicza, a mógł także zostać poświęcony dlatego, że PiS zdawał sobie sprawę, iż „Gazeta Wyborcza” z Romanem Giertychem przygotowują taśmowy serial z udziałem Jarosława Kaczyńskiego. A może i jedno, i drugie.

Po co w tym wszystkim jeszcze Niesiołowski? Kolejny grzyb w barszczu, ale zbędny tylko na pozór. Bo jeśli PiS wystraszył się taśm – a wystraszył się – to serial zatrzymań CBA jest dobrą przykrywką. W dodatku zastosowano sprytną zasadę, zaczynając od swojego człowieka – czyli Bartłomieja M. – by potem dobrać się do symbolu antypisowskiej opozycji, czyli Niesiołowskiego. Dla PiS taka operacja to czysty zysk: pan M. już od dawna jest poza partią, a uderzenie w niego dodatkowo osłabia Macierewicza, który w PiS jest na cenzurowanym. M. za kratami to przy tym efektowe zagranie propagandowe, bo chyba każdy Polak znał macierewiczowskiego asystenta, a większość kojarzyła go właśnie jako symbol nepotyzmu i niekompetencji. Kto zatem powie, że uderzenie w Niesiołowskiego jest atakiem na opozycję, skoro najpierw zatrzymany został M.?

Najgorsze jest to,
że do przykrywania
wydarzeń czy też
odwracania uwagi
politycy wykorzystują
najpoważniejsze
instytucje w państwie.

Ta taktyka – najpierw zapuszczamy naszego, by zyskać alibi do zapuszkowania opozycyjnego – została już zresztą przez PiS przetestowana. W ten sposób w grudniu 2017 r. CBA przeprowadziło operację wobec senatora PiS Stanisława Koguta – w krajowej polityce to płotka – by następnie uderzyć w sekretarza generalnego PO Stanisława Gawłowskiego, postaci kluczowej w otoczeniu Grzegorza Schetyny.

Gdy pod koniec 2018 r. wybuchła afera KNF, nie było wyjścia: zarzuty i areszt dostał człowiek PiS Marek Chrzanowski, który prowadził korupcyjne rozmowy z miliarderem Leszkiem Czarneckim. Tyle że zaraz potem prokuratura postawiła zdumiewające zarzuty wcześniejszym zwierzchnikom KNF, z czasów Platformy. Pobity przez gangsterów ze SKOK Wołomin były wiceszef KNF Wojciech Kwaśniak dostał w istocie zarzut... chowania interesów owych gangsterów.

Wina Tuska

Przykrywanie wydarzeń ważnych mniej ważnymi (ale za to głośnymi), odwracanie uwagi, podsuwanie opinii publicznej tematów zastępczych i kontrowersyjnych ocen po to tylko, by podgrzać nastroje – to nie są wynalazki PiS. Oczywiście, partia Kaczyńskiego te metody twórczo rozwinęła, bo zbudowała niespotykane sprawny system państwowej propagandy sprzężony ze zbrojnymi zastępami speców.

Ale metodę przykrywkową wprowadził do polskiej polityki nie Kaczyński, tylko Donald Tusk.

To był podstawowy instrument w jego polityce. Tusk miał – śmiali się jego współpracownicy – nawet stałą przykrywkową metodę przedurlopową. Żeby obywałe nie podejrzewali, że się leni, zawsze przed wyjazdem na urlop udzielał jednego, dwóch wywiadów, w których trup

kładł się gęsto. Dawał w ten sposób pożywkę mediom i opinii publicznej przez kilka, a czasem nawet kilkanaście dni. Nie dało się zauważyć, że go w tym czasie po prostu nie ma – wszak jego słowa żyły. Chemiczna kastracja pederastów, *in vitro*, zmiany w finansowaniu Kościoła, wojna z dopalaczami, kolejne *exposé* i ofensywy legislacyjne, domniemane i rzeczywiste rekonstrukcje rządu – arsenał trików podpowiadanych Tuskowi przez speców od wizerunku Igora Ostachowicza był niezmierny. Zawsze gdy był w tarapatach, podrzucił opinii publicznej nowy, efektowny, zastępczy problem. Większości nigdy nie rozwiązał, ale wszak po to je ogłaszał, by nie kiwnąć palcem.

Hazardowy skandal Platformy

Tak jak dla PiS przykrywkowy mechanizm widać najpełniej po śmierci Adamowicza, tak pokazem sprawności Tuska była afera hazardowa. Ten skandal wybuchł jesienią 2009 r., po dwóch latach rządów Platformy, kiedy szefem CBA był jeszcze Mariusz Kamiński. Jego ludzie nakryli prominentnych polityków PO na podejrzanych kontaktach z biznesmenami z branży hazardowej.

Tusk w pierwszym geście wyrzucił niemal pół rządu, w tym wszystkich podejrzanych.

W ten sposób oczywiście afery nie załatwił, ale wprowadził ważny, nowy wątek – rekonstrukcję rządu jako dowód na swą srogość wobec aferzystów. Do tego zgodził się na powołanie komisji śledczej, co także można było zaprezentować jako chęć wyjaśnienia sprawy. Tyle że komisję skonstruował tak, by potem w pełni kontrolować sytuację.

Gdy polityczna gawiedź żyła tymi zagrywkami, Tusk mógł przeprowadzić operację odwołania Kamińskiego z CBA. Oczywiście, takiej dymisji nie dało się ukryć ani przykryć, zwłaszcza że Kamińskiego bronił ówczesny prezydent Lech Kaczyński. Ale niełatwo było zarzucić Tuskowi, że ukarał uczciwego glinę, by ukryć aferzystów. Wszak wyrzucił aferzystów z rządu i nasłał na nich komisję śledczą.

Triki przykrywkowe Tuska w tamtym czasie były starannie zaplanowane, co pokazywało, że naprawdę obawiał się tej afery. W dniu zeznań przed komisją śledczą ważnego świadka, ministra sportu Mirosława Drzewieckiego – swego przyjaciela umoczonego w kontakty z biznesmenami z branży hazardowej – Tusk

zorganizował specjalną konferencję prasową. Poinformował na niej, że nie będzie startował w wyborach prezydenckich w 2010 r. i ogłosił prezydenckie prawybory w PO.

Dzięki takim zagrywkom hazardowa afera nie wywołała dla Tuska żadnych negatywnych skutków politycznych.

Tak naprawdę obecny przewodniczący Rady Europejskiej zaczął tracić poparcie dopiero wówczas, gdy stał się na tyle nonszalancki, że zrezygnował z przykrywkowej ochrony. Gdy w 2014 r. wybuchła afera kelnerów z knajpy u Sowy, Tusk – inaczej niż w przypadku hazardówki – nie ściał żadnej głowy. Oczywiście bał się, że taśm jest tyle, że gdy zacznie dymisjonować jednych ministrów, to za chwilę będzie musiał wyrzucać kolejnych, a politykę personalną będą mu dyktować kelnerzy.

Z drugiej strony jednak zrezygnował z ucieczki do przodu. Miał już na stole gotowy projekt powołania komisji śledczej w sprawie działalności Antoniego Macierewicza w roli likwidatora WSI, ale nie zdecydował się na igrzyska. Tyle że taka polityka rezygnacji z przykrywek przyczyniła się do klęski wyborczej Platformy w 2015 r.

Jesteśmy idiotami

Stosowanie przykrywek opiera się na kilku zasadach. Podstawowa jest taka, że my, lud – czyli zwykli wyborcy – jesteśmy idiotami, którymi łatwo sterować. Że jesteśmy zasklepieni w swych politycznych preferencjach, więc trzeba nam tylko dać „przykrywkę”, by ukoić ewentualne wątpliwości co do linii partii. Np. wówczas, gdy brzydzący się oficjalnie biznesem prezes okazuje się deweloperem. Albo też gdy odsądzany od czci i wiary prezydent miasta z wrogiego obozu politycznego ginie tragicznie, co zawsze rodzi ryzyko nieprzewidywalnej empatii w elektoracie.

Drugie założenie jest takie, że mamy krótką pamięć. Żyjemy tu i teraz, interesujemy się tym, co się dzieje i co jest aktualne, a nie tym, co było i zostało przykryte innymi wydarzeniami. W ten sposób nie my zapominamy, o tym, co złe – to przykrywko- wcy zapominają za nas.

Po trzecie wreszcie, siłą przykrywko-wego proceduru jest słabość mediów. Za dużymi partiami stoją sympatyzujące z nimi redakcje, które są wykorzystywane w celach propagandowych. Jednocześnie dziennikarze są dziś zabiegani i ścigają się

na sekundy. Przykrywki są im podrucane, by odwrócić uwagę i skłonić do porzucenia niewygodnych tematów. Wszak do raz porzuconej kwestii nikt nie wraca.

Wyrazisty przykład: kiedy w grudniu 2016 r. pod Sejmem wybuchły protesty związane z blokowaniem obrad przez opozycję, Kaczyński, a za nim cały chór polityków PiS przekonywali, że to próba „puczu”, czyli obalenia rządu siłą. Prokuratura wszczęła nawet śledztwo w tej sprawie. Czy ktoś się nim interesuje dziś, po ponad dwóch latach, po całej serii przykrywek, przykrywek do przykrywek i ucieczce do przodu? Ja sprawdzam regularnie: prokuratura wciąż szuka puczu. Ale gdy już – oczywiście – za parę lat go nie znajdzie, czy to w ogóle będzie temat dla kogokolwiek interesujący? Nawet jeśli, to zostanie przykryty.

Piwniczka z przykrywkami

Najgorsze jest to, że do przykrywania wydarzeń czy też odwracania uwagi politycy wykorzystują najpoważniejsze instytucje w państwie.

Na pierwszy rzut oka w obyczajowej historii Niesiołowskiego najbardziej bulwersujący jest wątek osobisty: upadek konserwatywnego polityka lub też – jak kto woli – obnażenie jego hipokryzji.

Ale tak naprawdę, jeśli odejść od prostej oceny prywatnych upodobań posła – co może podniecające, ale niezbyt istotne – kluczowe okaże się coś zupełnie innego. To, jak państwo na usługach partii rozegrało tę historię, by owej partii pomóc przykryć kłopoty i uciec do przodu.

Zastanawiające są już nawet oficjalne informacje podane przez prokuraturę. Biznesowo-erotyczny proceder miał trwać w latach 2013-15 – takiego okresu dotyczą zarzuty dla biznesmenów, którzy mieli korumpować posła.

To znaczy, że Niesiołowski przestał być obsługiwany przez damy do towarzystwa trzy lata temu, wraz z końcem rządów Platformy – to naturalne, bo stracił przymioty załatwiacza. Co więcej: w jego sprawie są nagrania z podsłuchów. To znaczy, że był inwigilowany przez CBA na bieżąco, w czasie gdy organizowane były schadzki. A zatem materiał został zebrany jeszcze za czasów rządów Platformy, gdy szefem służby antykorupcyjnej był Paweł Wojtunik – co zresztą pokrywa się z moją wiedzą.

Czemu zatem prokuratura i CBA podległe Mariuszowi Kamińskiemu czekały

aż trzy lata z zatrzymaniami, zarzutami i aresztami? Bo sprawa czekała na swój moment. Nadawała się na idealną przykrywkę na czas kampanii wyborczej. Skoro rusza wyborczy rok, to znaczy, że serial przykrywkowy dopiero się rozkręci.

Smutek dinozaurów

Na taśmach kelnerów z 2014 r. – które wykończyły Platformę – znalazło się także nagranie rozmowy byłego prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego z dawnym premierem Leszkiem Millerem. Dwa dinozaury SLD, przez lata na przemian miłujące się lub szorstko przyjaźniące, narzekały, jak bardzo zmieniała się polityka od czasu ich rządów, na przełomie lat 90. i dwutysięcznych. Analizowali przykrywkowe metody Tuska z czasów afery hazardowej i żalowali, że nie pomyśleli o takich zagraniach, gdy wybuchła afera Rywina, która praktycznie złożyła ich obóz do grobu.

„Miller: – Że ja wtedy zgodziłem się na komisję śledczą, na to wszystko, co potem nastąpiło. Jakiś, k...a, amok. Przecież mogliśmy się na to nie zgodzić, no k...a.

Kwaśniewski: Ale wiesz, przez to jesteś pionierem.

Miller: [śmiech] Czuje się zaszczycony.

Kwaśniewski: Tusk (...) powinien być ci wdzięczny, mógł ominąć kilka raf...

Miller: Przeciwczył to...

Kwaśniewski: (...) Obronił się, a sprawa była między nami mówiąc poważniejsza niż wy, bo ona angażowała tyle osób z rządu, że rzeczywiście ten rząd mógł wylecieć w powietrze”.

Dziś trudno sobie wyobrazić skandal, którego nie można przykryć.

© ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „Tygodnikiem Powszechnym”.



MIROSŁAW DWORNICZAK

opowie Grzegorzowi

Chłascie o chemicznym obliczu

kosmosu (s. 68) w środę 13 lutego o godzinie

7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można

odsluchać także w podcastach na stronie

internetowej radia.

| Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

Stłucz pan termometr, a przestępcy znikną

MARIUSZ SZTUKA, BADACZ ZJAWISKA RECYDYWY:

Uniknęlibyśmy wielu powtórnych przestępstw, gdybyśmy mieli dojrzały instrument szacowania ich ryzyka.

Tyle że resort sprawiedliwości nie był nim zainteresowany.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Zajmuje się Pan przewidywaniem przyszłości.

MARIUSZ SZTUKA: Można tak powiedzieć. Przy czym chodzi o przyszłość, której wszyscy chcielibyśmy uniknąć. Od czterech lat zespół badawczy, którym kieruję, opracowuje – w ślad za krajami Europy Zachodniej i Ameryką Północną – model zarządzania ryzykiem recydywy.

Na razie to ryzyko szacujemy intuicyjnie?

W jakimś sensie tak. Były podejmowane doraźne próby wprowadzenia modelu, ale skończyło się na nomenklaturze w aktach systemu penitencjarnego. W szczerkowej, dość karykaturalnej postaci rozwiązania takie obecne są też w odniesieniu do sprawców przestępstw poddawanych dozorowi kuratorskiemu. Nie poszło za tym stworzenie instrumentu, a to mniej więcej tak, jakbyśmy kazali lekarzom mierzyć temperaturę, nie wyposażając ich w termometry.

Po śmierci Pawła Adamowicza rzadko rozmawiamy o tym, jak skuteczniej resocjalizować. Częściej padają kategoryczne stwierdzenia dotyczące wysokości poprzedniego wyroku sprawcy mordu.

Nie jestem prawnikiem, więc w dywagacje nie wejdę. Zapytam tylko: czy gdyby Stefan W. wyszedł z więzienia dwa, trzy lata później, nie zabiłby tego – albo innego – prezydenta? Ale chętniej porozmawiałbym o tym, co możemy zrobić, by jak najmniejszy odsetek takich ludzi trafił powtórnie za kraty; o tym, jak zarządzać ryzykiem recydywy, albo – inaczej mówiąc – jak zarządzać potrzebami osadzonych.

To ryzykowne, mówić o potrzebach ludzi, którzy popełnili najgorsze czyny.

Przeciwnie: ryzykowne jest koncentrowanie się wyłącznie na kategorii „ryzyka”. Bo jeśli uznamy, że naszym jedynym celem jest jego neutralizowanie, to stworzymy sobie receptę na wykluczenie albo na jakiś nowy gułag.

Gdy zaś mówimy o potrzebach osadzonych, to koncentrujemy się na tym, co w nich możemy zmienić. Dla ich i naszego dobra.

Co możemy zmienić?

Najpierw krótko o tym, czego zmienić się nie da. Nie jesteśmy w stanie wpłynąć na przestępczą przeszłość osadzonego, na to, jakie miał dzieciństwo i jakich rodziców. To są tzw. statyczne czynniki ryzyka. Na szczęście są i te dynamiczne, i je właśnie nazywamy potrzebami resocjalizacyjnymi.

Laik powie: te czynniki każdy może wymienić intuicyjnie, bez prowadzenia badań.

Wracamy do naszego porównania z termometrem: czy lepiej go mieć, czy korzystniej mierzyć poziom gorączki ręką? Podam inny przykład: dekady temu podejrzewano – właśnie na bazie intuicji i wiedzy potocznej – że palenie papierosów może się przyczyniać do powstawania zawału serca. Ale dopiero przeprowadzane przez kilkadziesiąt lat na bardzo dużej populacji słynne badania Framingham Heart Study czy Seven Countries Study pozwoliły oszacować, jaka jest korelacja między paleniem a wystąpieniem w przyszłości choroby wieńcowej.

Polski model oceny ryzyka recydywy, nad którym pracuje Pana zespół, nie jest jeszcze gotowy. Na razie musimy bazować na modelach zachodnich.

Głównie na rodzinie instrumentów LSI autorstwa kanadyjskich kryminologów Dona A. Andrews i Jamesa Bonty, autorów pracy „The Psychology of Criminal Conduct”. Możemy mówić – za tymi autorami – o tzw. centralnej ósemce, czyli czynnikach, które odznaczają się najsilniejszym związkiem z ryzykiem recydywy.

Punkt pierwszy: antyspołeczne zachowania i kryminalna przeszłość.

Chodzi nie tylko o czyny karalne, ale też np. przypadki stosowania przemocy w rodzinie. Istotny jest w tym przypadku także moment inicjacji kryminalnej: im wcześniej to następuje, tym większe prawdopodobieństwo recydywy.

Dwa: antyspołeczne cechy osobowości.

Tu z kolei dotykamy zjawiska psychopatii i antyspołecznej osobowości. Chodzi o deficyt uczuciowości wyższej, brak wyrzutów sumienia, deficyt lęku czy postawę manipulatorską.

Punkt pierwszy to czynnik statyczny, nie zmienimy niczyjej przeszłości. Podobnie może być w przypadku drugiego: wielu ekspertów uważa, że psychopatii nie da się pozbyć.

Ale wszystkie sześć pozostałych nadaje się do modyfikacji, czyli pracy z osadzonym.

Trzeci: antyspołeczne postawy i schematy poznawcze.

Chodzi głównie o towarzyszące człowiekowi, utrwalone sposoby widzenia świata i swojej sytuacji w tym świecie. Na przykład, więzień może uważać, że „praca jest tylko dla biednych”, a „szkoła tylko dla głupich”. Albo wyraża pogląd, że „wszyscy kradną”. Podobne schematy pełnią w naszej psychice zasadniczą funkcję: dzięki nim nie odczuwamy wyrzutów sumienia; oddzielają to, kim jesteśmy, od tego, jak postępujemy.

Stefan W. krzyczał, że Platforma Obywatelska go torturowała.

Musimy być ostrożni. Po pierwsze, nie wiemy, czy człowiek ten wypowiadał podobne sądy już wtedy, gdy odsiadywał wy-



WOJTEK JARGILO / REPORTER

Zakład Karny w Hrubieszowie, 2005 r.

rok. Po drugie, nie wiadomo, jaki był jego stan psychiczny. Jeśli by się okazało, że nie chorował, to wykrzywane przezeń zdanie mogłoby posłużyć za ilustrację owych schematów poznawczych.

Da się je w warunkach więziennych modyfikować?

Owszem, można próbować oduczać uciekania w iluzje. Mamy przecież możliwość prowadzenia terapii poznawczej czy behawioralno-poznawczej, które mogą przynieść zmianę postrzegania rzeczywistości, np. spiskowego myślenia czy przypisywania nadmiernej roli zrządem losu, fatum.

Czynnik czwarty: antyspoleczne, kryminalne środowisko.

Można w ramach resocjalizacji sprawić, że wyrwanie się z takiego środowiska będzie łatwiejsze. Choć to z pewnością proces trudny.

Pięć: sytuacja rodzinna i małżeństwo.

Mowa tu z jednej strony o posiadaniu osób bliskich, z drugiej o jakości relacji, zarówno w rodzinie pochodzenia, jak i w związku.

Da się w więzieniach prowadzić terapie rodzinne czy małżeńskie?

Fakt, a w dodatku takie terapie przyniosą bardzo często pozytywny skutek!

Można też – co równie istotne – sprzyjać spotkaniom osadzonego z bliskimi tak w warunkach więziennych, jak i – gdy względy ochronne na to pozwalają – poza terenem zakładu.

Szósty czynnik to sytuacja szkolna i zawodowa.

Z jednej strony chodzi o formalny poziom wykształcenia: im wyższy, tym mniejsze ryzyko recydywy. Z drugiej, posiadanie pracy bądź jej brak, ale też okoliczności towarzyszące jej wykonywaniu. Bardzo ważny jest klimat w byłym miejscu pracy osadzonego, relacje z szefostwem, współpracownikami. To samo dotyczy się szkoły, bo przecież osadzonym może być 18-latek.

„Wszyscy najwybitniejsi przedstawiciele świata nauki piszą, że nie ma skuteczniejszego narzędzia resocjalizacji niż praca (...) Kiedy przychodziłem do MS, więźniów w naszym kraju pracowało najmniej w Europie. W 2019 r. pracuje już... najwięcej” – pisał po tragedii w Gdańsku wiceminister sprawiedliwości Patryk Jaki. W innym miejscu wspominał o niskich, jego zdaniem za sprawą większego zatrudnienia, wskaźnikach recydywy.

Nie do końca rozumiem tę logikę: byli osadzeni nie wracają do więzień, bo

w nich pracowali? Gdyby tak było, rozwiązanie problemu recydywy byłoby proste: wystarczyłoby pobudować przy każdym więzieniu hale fabryczne, co zresztą obecne kierownictwo ministerstwa czyni. Ta wypowiedź dotknięta jest nadmiarem, brzmi trochę jak wywody Antona Siemionowicza Makarenki, radzieckiego pedagoga, twórcy systemu „komunistycznego wychowania”.

Zatrudnienie i jakość pracy powinniśmy traktować jako ważny czynnik wpływający na prawdopodobieństwo recydywy. Ale, po pierwsze, chodzi głównie o pracę wykonywaną przed osadzeniem, po drugie, jest to – tylko i aż – jeden z ośmiu równorzędnych czynników. Wcale nie jest powiedziane, że praca uleczy kogoś, kto ma problem z uzależnieniami, nie potrafi dogadać się z najbliższymi i jest agresywny. To myślenie magiczne.

Czynnik siódmy może wydać się zaskakujący: czas wolny i rekreacja.

Rzeczywiście, pewnie mało kto intuicyjnie przypisałby mu jakiejkolwiek znaczenie. Tymczasem okazuje się, że nieumiejętność gospodarowania czasem wolnym, brak pasji i zainteresowań w znacznym stopniu zwiększają ryzyko recydywy.

Tu otwiera się pole dla postulatów tzw. twórczej resocjalizacji: uruchamiania potencjału artystycznego, plastycznego, ale też sportowego. Polskie więzienia są coraz częściej wyposażone w konieczną infrastrukturę, i nie ogranicza się ona, jak w początkach lat 90., do podniszczonych stołów pingpongowych. Są siłownie, sale gimnastyczne.

Czynnik ostatni jest dość oczywisty: uzależnienia.

Mowa głównie o substancjach psychoaktywnych. W warunkach więziennych można dziś wpływać również na ten czynnik, oferując osadzonemu terapię uzależnień.

Co ciekawe, wśród owych ośmiu czynników nie ma chorób psychicznych.

Badania wykazały, że np. schizofrenia nie jest wcale – wbrew potocznej opinii i stereotypom – predyktorem recydywy.

Co dałby nam polski model oceny ryzyka popełnienia powtórnego przestępstwa?

Możliwość ścisłego dostosowania pracy z więźniem do jego profilu. Mówimy →

→ o polskim modelu, bo przecież coś, co stanowi zestaw czynników największego ryzyka w innym otoczeniu kulturowym, nie musi pokrywać się z naszymi realiami.

Dysponując takim narzędziem, moglibyśmy podzielić więźniów ze względu na ich potrzeby. Jeśli okaże się, że w przypadku osadzonego X wskaźnik ryzyka powrotu do przestępczości jest niewielki, nie tylko nie trzeba, ale wręcz nie wolno poddawać go resocjalizacji: to tak, jakby zdrowemu człowiekowi zaaplikować inwazyjne leczenie.

Jeśli poziom ryzyka jest znaczny, można zacząć pracę, kierując się określonym indywidualnie kompleksem potrzeb resocjalizacyjnych. Oczywiście pod warunkiem, że osadzony chce współpracować.

Zalóżmy, że owe osiem czynników daje się u nas zastosować. Czy polski system jest gotowy, by zaspokoić stojące za potrzeby więźniów?

Jeśli pyta pan o siły i środki, to myślę, że tak. Ale postawmy inne pytanie: czy komukolwiek zależy, by stworzyć model rodzimy?

Rozumiem, że chodzi o tzw. wolę polityczną. Nad kierowanym przez Pana projektem patronat objęło Ministerstwo Sprawiedliwości.

Patronat, który – jak zaznaczono w jego regulaminie – nie niesie ze sobą żadnych konsekwencji natury finansowej. Efekt jest taki, że prowadzimy badania bazując na własnych, skromnych środkach uczelnianych, co z kolei powoduje, że prace trwają długo.

Trzy lata temu byliśmy na zaawansowanym etapie rozmów z ministerstwem. Chodziło o tzw. norweski strumień finansowania. Ale rozmowy zakończyły się niczym: środki, które pierwotnie wchodziły w grę, zostały spożytkowane w znacznej mierze na wizyty studyjne Norwegów w Polsce i Polaków w Norwegii.

Z kolei jesienią 2017 r. wystąpiliśmy z inicjatywą pozyskania środków w ramach GOSPOSTRATEG, czyli strategicznego programu badań. Gdyby resort przejął – w ramach stworzonego przez nas konsorcjum – rolę lidera, szanse na dofinansowanie byłyby duże. Nic z tego nie wyszło.

Dlaczego?

Nie wiem, ale mogę się domyślać, że stoi za tym obawa.

Jaka?

„Stłucz pan termometr, a nie będziesz pan miał gorączki” – mawiał Lech Wałęsa. Proszę pamiętać, że pomiaru ryzyka i potrzeb można by dokonywać tak na początkowym etapie odsiadki, jak i na końcowym. Tym samym, choć nie taka jest jego podstawowa funkcja, mógłby to być instrument obiektywnej oceny pracy penitencjarnej. To by pokazało efekt działań resocjalizacyjnych w Polsce.

Dałoby się, dzięki stworzeniu tego modelu, uniknąć tragedii takich jak ta w Gdańsku?

Nie jestem w stanie odpowiedzieć na pytanie o Stefana W., bo nie znam jego profilu ryzyka. Choć to, co wiemy z przekazów medialnych, pozwala na ostrożną tezę: dałoby się przez te pięć lat zrobić więcej, niż zrobiono.

Mogę wypowiedzieć się bardziej ogólnie: polski model z pewnością mógłby obniżyć wskaźniki recydywy.

Gdański przypadek powinien doprowadzić do zmian w prawie?

Widać ciągoty ku temu, ale ja nie jestem zwolennikiem traktowania głównych przypadków jako impulsu do reformy. Boję się, że administracja będzie chciała pochwalić się teraz jakimś szybkim, spektakularnym efektem swoich działań.

© P Rozmawiał

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI



PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

DR HAB. MARIUSZ SZUKA jest kierownikiem Zakładu Profilaktyki Społecznej i Resocjalizacji Instytutu Pedagogiki UJ. Kieruje

projektem badawczym „Przyszłość Bez Krat. Zarządzanie ryzykiem recydywy w oparciu o wyniki syntezy metaanalizy”. W latach 1992-98 był wychowawcą więziennym.

Rezydenci u ministra

MACIEJ MÜLLER

Papier sam się nie obroni – uznali lekarze i pilnują resortu zdrowia na każdym kroku realizacji zawartego w zeszłym roku porozumienia. Z jakim skutkiem?

PROTEST TRWAŁ KILKA MIESIĘCY, Z KULMINACJĄ W PAŹDZIERNIKU 2017 r., kiedy część rezydentów – młodych lekarzy w trakcie specjalizacji finansowanej przez Ministerstwo Zdrowia – zdecydowała się podjąć głodówkę. Żądali zwiększenia do 2021 r. nakładów na ochronę zdrowia z 4,7 do 6,8 proc. PKB (poziom minimalny zalecany przez Światową Organizację Zdrowia). Zyskali sympatię – w wielu miastach odbyły się wspierające ich manifestacje.

Po miesiącu zmienili sposób protestu – wezwali lekarzy do wypowiedzania tzw. klauzuli opt-out, pozwalających na przepracowanie więcej niż dopuszczalne prawem 48 godzin tygodniowo. Braki kadrowe w ochronie zdrowia są w Polsce tak poważne, że mogłoby to sparaliżować pracę szpitali. Akcja nie spotkała się z szerokim odzewem, a rezydenci nie zyskali spodziewanej pozycji negocjacyjnej.

Protest stanowił jednak dla rządu problem polityczny. Fotel ministra stracił Konstanty Radziwiłł, a do rozmów z rezydentami przystąpił zdolniejszy od niego negocjator Łukasz Szumowski. 8 lutego 2018 r. resort zaprosił dziennikarzy na konferencję, a rezydenci potwierdzili: tak, doszliśmy do porozumienia. Minister i szefowie Porozumienia Rezydentów Ogólnopolskiego Związku Zawodowego Lekarzy uściskali się, a Szumowski otrzymał związkowy znaczek.

Diabeł w szczegółach

Miejsce entuzjazmu zajęło zdumienie, kiedy przyszło do przedstawiania ustaleń. Nie 6,8 proc. PKB w trzy lata, ale 6 proc.



PIOTR HUKAŁO / EAST NEWS

Zakończenie głodówki lekarzy rezydentów, Gdańsk, październik 2017 r.

w pięć lat. Musimy przyjąć do wiadomości realia budżetowe – tłumaczyli rezydenci.

W kolejnym punkcie lekarze odnieśli sukces: mieli od lipca zarabiać 4 tys. zł brutto, a w specjalizacjach deficytowych (np. chirurgii onkologicznej czy geriatrii) – 4,7 tys. Ci, którzy podpiszą deklarację, że po rezydenturze przepracują w Polsce dwa lata, otrzymają dodatkowo kilkaset złotych. Podwyżki obiecano też lekarzom specjalistom: do poziomu 6750 zł, ale pod warunkiem niepodejmowania pracy poza głównym miejscem zatrudnienia.

Zapowiedziano ułatwienia w codziennej pracy lekarzy (m.in. zdjęcie z nich obowiązku określania na recepcie poziomu refundacji, zatrudnianie sekretarek medycznych), a także w szkoleniu podyplomowym. Minister zobowiązał się do zwiększania liczby miejsc na studiach medycznych i przeprowadzenia reformy kształcenia w kierunku bardziej praktycznym.

Robiąc dobrą minę do złej gry – rezygnacja z hasła 6,8 proc. była symboliczna – rezydenci czekali na realizację porozumienia w kolejnych rozporządzeniach i ustawach. Szybko się okazało, że muszą stać nad ministrem jak żandarmi i pilnować każdego szczegółu.

Przykłady? Umowa wspomina o lekarzach, a nie o lekarzach dentystach. Ich porozumienie więc nie dotyczy (ten spór rezydenci przegrali). W umowie zapisano, że dwa lata trzeba przepracować „w Polsce”, tymczasem podczas pracy nad przepisami okazało się, że chodzi o placówkę z kontraktem z NFZ (tu udało się osiągnąć kompromis: musi mieć jakikolwiek kontrakt, niekoniecznie na usługi w specjalizacji, w której pracuje rezydent).

Pytania do rządu

Wyszły też na jaw skutki uboczne. Zwiększenie uposażeń rezydentów sprawiło, że dyrektorom szpitali przestało się opłacać przyznawanie im nocnych dyżurów. Odcina ich to od możliwości zdobywania niezbędnego doświadczenia – i od dodatkowych zarobków. Rezydenci dostali też sześciodniowy urlop szkoleniowy, ale minister wpisał go tylko do programu specjalizacji, nie wydając rozporządzenia w tej sprawie. Lekarze obawiają się, że nie zrobi to wrażenia na dyrekcjach szpitali. Sprawa wpisywania poziomów odpłatności na receptę pozostaje zawieszona do czasu wprowadzenia obowiązkowej e-recepty.

Rezydenci liczą, że większość spraw dotyczących kształcenia przed- i podyplomo-

wego, zarobków i organizacji pracy załatwi uchwalenie zmian w ustawie o zawodzie lekarza: napisali dwustustronicowy projekt. Minister go przyjął i wkrótce przedstawi do konsultacji publicznych. Zarząd OZZL profilaktycznie zapowiedział: „Odrzucenie ustawy lub najważniejszych jej elementów przez rząd będzie oznaczało złamanie porozumienia, konsekwencją może być kolejna eskalacja protestów”.

– To dobrze, że rząd podjął dialog i próbuje rozwiązać problemy zarobkowe pracowników. Tylko skoro deklaruje, że zdrowie jest jego politycznym priorytetem, to trzeba spytać, na ile poprawia się sytuacja pacjentów – ocenia Robert Mołdach, ekspert Instytutu Zdrowia i Demokracji. – Punktowo jest lepiej, np. w okuliście czy onkologii, ale ogólnie dostępność świadczeń się nie zwiększyła. I trudno mieć tu pretensje do ministra: robi, co może, przy tym budżecie. To raczej pytanie do ministra finansów i premiera.

Na domiar złego rząd przy realizacji ustawy o 6 proc. PKB będzie brał pod uwagę PKB sprzed dwóch lat – na co rezydenci nie zwrócili uwagi podczas negocjacji. Oznacza to dwuletnie opóźnienie w dosypywaniu pieniędzy. Różnica dla 2019 r. wynosi – bagatela – 9 mld zł. ©P

ANNA

Dziewit-Meller: Przewaga krajowa



TAKĄ PRZEBODLI NAS OJCZYZNĄ – POWIADA mój przyjaciel Marek, zawsze gdy wysła jakieś ciekawe, a jak zwykle obraźliwe dla zdrowego rozsądku informacje o Polsce, czytane w prasie i w sieci. Czyli codziennie.

Nie jest łatwo cię, ojczyzno, kochać, nie oszukujmy się. To jest prawdziwa i bardzo nierówna walka. Wszak nawet prozaiczny wjazd w tve granice po jakiejś zagranicznej ekskursji okupiony jest bólem oczu na widok pierwszego za Odrą billboardu, który wita wjeżdżających informacją o tym, że można sobie najpierw poprawić licznik w aucie, a potem z tej radości pójść np. do klubu nocnego. Historyczny billboard, dowód na znikającą cywilizację „Niemiec płakał jak sprzedawał”, tkwi w okolicach Świecka.

Ale właśnie dlatego, że miłość ta jest taka oporna, z tym większą przyjemnością, niczym matka wyjątkowo trudnego dziecka, znajduję czasem dowody na to, że pędrak „zdolny, chociaż leniwy” i że naprawdę ma trochę zalet, tylko ich na pierwszy rzut oka może jakoś nie widać. A to wszystko w związku z podróżą: oto spędziłam ostatnie dwa tygodnie jeżdżąc po Europie, korzystając z ferii i wożąc dzieci po różnych znajomkach w kilku krajach, żeby korzystać z Schengen, póki jeszcze sobie trwa. I właśnie wtedy mnie dopadła znienacka miłość do Polski.

Pierwsze czułe wspomnienie ojczyzny naszło mnie, gdy we Włoszech usiłowalam w miejscowości niedużej, ale zgoła turystycznej znaleźć aptekę. Szalenie płytki mój sen wymaga bowiem profesjonalnego wsparcia w postaci zatyczek do uszu. Bez zatyczek budzi mnie dźwięk padającego za oknem śniegu i odgłos mijającego czasu. Chcąc ocalić nasze ferie przed klęską potrzebowałam więc apteki, bo niestety pakując na wyjazd rodzinę, jak zwykle zapomnialam o sobie. Jeżdżąc coraz bardziej nerwowo po alpejskiej uroczej okolicy, myślami biegłam do

miasteczek mijanych w podróżach po Polsce, gdzie pośród kościołów i sklepów monopolowych najczęściej pojawiającym się sztydem jest „apteka”. Akurat zatyczek do uszu w nich nie brak.

Albo bankomat. W Polsce zawsze będzie jakiś pod ręką, chyba że naprawdę mieszka się w lesie. Jeśli z jakichś powodów (np. chcesz cofnąć licznik i wolisz jednak zapłacić gotówką) potrzebny ci plik Mieszków, Bolesławów i innych – z łatwością znajdziesz wygodny bankomat (choćby SKOK-u), z którego wyjmiesz, co trzeba. Nie myśl sobie jednak, Polaku, że podobna bezgotówkowa bez troska czeka cię w starej Europie. Chcesz *cash*? To się najpierw uczciwie naszukaj. *Cash* może, owszem, się przydać, ponieważ oto w niemal trzech czwartych niemieckich restauracji, w których się podczas wyjazdu stołowałam, nie przyjmowano płatności kartą. Tylko gotówka – powiadali, dziwiąc się mojemu zdziwieniu/popłochowi/pytaniom o najbliższy bankomat (daleko). O, programie „Polska bezgotówkowa”, o umiłowany! Jakże tęskno mi było do ciebie, gdy jak zwykle nie miałam przy sobie gotówki. Np. w toalecie na niemieckiej autostradzie. O, najmilejszy!

W szwajcarskim kurorcie narciarskim próba zapłacenia za posiłek telefonem wzbudziła ogromne zainteresowanie niemal całej obsługi lokalu. Patrzenie na pełnych podziwu dla nowoczesności, którą ze sobą przywiozłam w Alpy, sytych Szwajcarów szalenie poprawiało moje *self-esteem*. Mała rzecz, a cieszy, kochani frankowicze!

A skoro już przy restauracjach jesteśmy – i tu komfortowe przyzwyczajenia krajowe okazują się dla Polaka zgubne. Lokale nasze, otwarte w nieprzychylnie na tle innych państw długich godzinach, czynią z nas ofiary południowego stosunku do pracy. Nic tak nie wytrąca z równowagi głodnego Polaka jak sjeśta. Oto np. w zaśniewionej i sennie bawarskiej Ratyzbonie miejscowości niekoniecznie kojarzącej się z upalnym latem, podczas którego trzeba przespać godziny od 12 do 17, w restauracji japońskiej prowadzonej przez Wietnamczyków kelnerka na widok naszej czteroosobowej gromadki wchodzącej do lokalu na godzinę przed jego zamknięciem na sjeśta spojrziała wymownie na zegarek i powiedziała po niemiecku: „zostało wam 58 minut”. Następnie zaś przechadzała się niby to od niechcenia przy naszym stoliku i co pięć minut informowała, że czas tyka.

I w takich chwilach właśnie, gdy pospiesznie przełykany ryż, niczym śledź foce, tkwi w przełyku, myślę, że kocham cię, Polsko, przewijam więc odrobinę licznik naszych niesnasek. ©

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Zapraszamy
na „Lekcje
czytania”



MIŁOŚĆ W CZASACH ZARAŻY WEDŁUG MOCZARSKICH

W piątek 14 lutego odbędą się dwa spotkania w ramach „Lekcji czytania”.

KATARZYNA KUBISIOWSKA odwiedzi uczniów w Publicznej Bibliotece w Maszkienicach oraz w Gminnej Bibliotece Publicznej w Porąbce Uszewskiej.

Uczestnicy spotkań będą rozmawiać o twórczości i o więziennej korespondencji Zofii i Kazimierza Moczarskich.

Chcesz zorganizować u siebie „Lekcję czytania” – napisz: lekjeczytania@tygodnik.com.pl

Więcej o akcji na  / LekcjeCzytania



MAGIA SZĘŚCIU DŁONI. FORTEPIANOWA PODRÓŻ PRZEZ ŚWIAT



BEL SUONO

3 ROSYJSKICH GENIUSZY FORTEPIANU

15 lutego 2019
ICE Kraków
Congress Centre

NAJWIĘKSZE MIĘDZYNARODOWE I KLASYCZNE HITY

BILETY: PRESTIGEMJM.COM, EBILET.PL

BIZET * DESPACITO * VIVALDI * GAME OF THRONES * MAROON 5 * RACHMANINOV * ELTHON JOHN * TCHAIKOVSKY * QUEEN * PROKOFIEV * I WIELE INNYCH

Prestige
MIM15
Classic

GAZETA BANKOWA

T3

WP

cgm.pl

JAZZ

Multikino

STRÖER

VIXON

pap

PRESS
SERVICE

DAVE
MATTHEWS
BAND EUROPE 2019

KONCERT

COS Torwar | **25 marca 2019**
Warszawa | 20:00 Bilety: prestigemjm.com



Z KAŻDYM ZAKUPIONYM BILETEM
- NAJNOWSZY ALBUM COME TOMORROW DO POBRANIA ZA DARMO

DAVEMATTHEWSBAND.COM | WAREHOUSE.DAVEMATTHEWSBAND.COM

Prestige
MIMREGENT
WARSAW HOTEL

wprowst

kaczyni

GAZETA BANKOWA

Gitarzysta

WP

cgm.pl

vidip

Multikino

PRESS
SERVICE

pap

STRÖER

VIXON

a-ha
play hunting high and low live
18 listopada 2019
Torwar Warszawa
BILETY: PRESTIGEMJM.COM

Prestige
MIM

złote przeboje

4 GOLD

wprowst

kaczyni

GAZETA BANKOWA

Gitarzysta

WP

cgm.pl

Multikino

PRESS
SERVICE

pap

VIXON

STRÖER

JANA ŚPIEWAKA najlepiej przedstawił Jarosław Kaczyński, uzasadniając w rozmowie z austriackim deweloperem Geraldem Birgfellnerem, dlaczego powiązana z PiS spółka Srebrna nie może wybudować planowanego wieżowca. Oto zgłosił się kandydat na prezydenta Warszawy, którego dziadkowie „to byli tacy obydwójce dosyć znani poeci”, a ojciec „to jest taki bardzo ostry żydowski profesor”, i kandydat ten „od razu zaatakował nas za to, że my chcemy budować” i „że to są w ogóle obcy azjatyckie”.

Kim jest człowiek, którego interwencja – jeśli wierzyć prezesowi PiS – uniemożliwiła przeprowadzenie inwestycji gwarantującej jednej partii wieloletnią hegemonię finansową w polskiej polityce? Urodzony w 1987 r. Jan Śpiewak, syn Heleny Datner i Pawła Śpiewaka, jest działaczem ruchów miejskich (w 2013 r. współzакładał stowarzyszenie Miasto Jest Nasze, jest członkiem inicjatywy Otwarty Jazdów) oraz socjologiem, piszącym doktorat na temat Miasteczka Wilanów. Był jednym z pierwszych, którzy wprowadzili do debaty publicznej temat dzięki reprivatyzacji w Warszawie, za swoje wypowiedzi medialne na ten temat uwięziony został w liczne procesy sądowe.

Publikował w „Krytyce Politycznej”, będąc równocześnie częstym gościem mediów prawicowych (i słysząc zarzuty, że jego krytyka rządów PO w stolicy de facto służy PiS), w latach 2014-18 był radnym dzielnicy Warszawa-Śródmieście, w 2018 r. kandydował na prezydenta miasta, przegrywając z Rafałem Trzaskowskim i Patrykiem Jakim, ale uzyskując blisko 3 proc. głosów. W styczniu 2019 r., po przegranym procesie z prawniczką, której zarzucił nieprawidłowości podczas reprivatyzacji jednej z kamienic, ogłosił, że wycofuje się z działalności politycznej.



ZDRADZAM WŁASNĄ KLASĘ

JAN ŚPIEWAK:

W Warszawie mafia spaliła Jolantę Brzeską, ukradła setki nieruchomości i nic z tego nie wyniknęło, żadnych konsekwencji. Ja mam dwadzieścia procesów i dwa wyroki. Na szczęście są prawnicy gotowi mi pomagać *pro bono*.



Jan Śpiewak podczas briefingu prasowego Wolnego Miasta Warszawa, 14 września 2017 r.

JACEK GĄDEK: W całej tej aferze wokół Srebrnej i interesów Jarosława Kaczyńskiego okazało się, że jest jeden pozytywny bohater. To właśnie Pan, który kilka tygodni wcześniej ogłosił odejście na polityczną emeryturę. Ma Pan 31 lat – nie jest za wcześnie?

JAN ŚPIEWAK: Jestem raczej na odwyku niż na emeryturze. Zmęczyły mnie sądy. Po drugim skazującym mnie wyroku uznałem, że w polityce nie ma dla mnie miejsca. Posługuję się słowem, nie mam pieniędzy, mediów ani partii za plecami. Mogę tylko krzyczeć i właśnie za to mnie ukarano – za korzystanie z wolności słowa. W Polsce ta wolność jest zagrożona, i to nie tylko przez PiS, ale także przez sądy i elity społeczne.

Idzie Pan ścieżką ojca, prof. Pawła Śpiewaka, który był postem PO, ale szybko się rozczarował, gdy zobaczył, że w realnej polityce liczy się tylko technologia władzy.

Po pięciu latach doszedłem do podobnego wniosku. Faktycznie partie – nie tylko rządząca, ale też opozycyjne – mają na celu samą władzę. Dla mnie są *de facto* biurami karier, które załatwiają posady.

Ojciec ma cichą satysfakcję?

Teraz patrzymy na politykę podobnie. Obaj wiemy, że nie ma z kim prowadzić dyskusji, bo kadry PO i PiS są dramatyczne i nastawione na posiadanie władzy. Nawet myśleliśmy, czy nie napisać tekstu o tych, już naszych wspólnych wnioskach.

Ale trudno, żebym się cieszył, bo to oznacza, że pomiędzy 2007 r., gdy ojciec kończył z polityką, a rokiem 2019, kiedy robię to ja, właściwie nie doszło do zmiany. Wszyscy nowi, którzy chcieli zawojować politykę, zostali zmiecenii.

To wygląda tak, jakby Pan czekał na okrzyki „Janek, wróć!”.

Wróć, ale dopiero gdy będzie sens. Działanie polityczne bez środków, czysto obywatelsko, nie ma w Polsce racji bytu. Poniosłem konsekwencje swojego zaangażowania. Przypląciłem to zdrowiem, wyrokami i złamanymi przyjaźniami.

Nie chcę się użalać nad sobą...

...ale tak to brzmi.



→ Pięć lat w polityce to dla mnie dwadzieścia procesów – karnych i cywilnych.

Prawie wszystkie Pan wygrał.

Jeden przegrałem prawomocnie, a drugi w I instancji. Pierwszy z byłym burmistrzem Śródmieścia, Wojciechem Bartelskim. Przeprosiłem, bo musiałem. Zadziewające, że sąd karny mnie w tej samej sprawie uniewinnił, uznając, że działałem w interesie publicznym, ale cywilny mnie skazał. Drugi przegrałem z prawniczką, Bogumiłą Górnikowską-Ćwiąkalską, córką b. ministra sprawiedliwości w rządzie PO, jeszcze nieprawomocnie. Uważam, że była sprawcą krzywdy ludzi, którzy mieszkali w kamienicy moich dziadków.

Ma Pan zapłacić 5 tys. zł grzywny i 10 tys. nawiązki.

Ja mam zapłacić, choć to ona przyłożyła rękę do tragedii rodzin z tej kamienicy? Nie. To z mojej strony forma nieposłuszeństwa obywatelskiego. Wolałbym roboty społeczne.

Jak patrzę na Pańskie oświadczenie majątkowe, to nie bardzo ma Pan z czego płacić: na koncie 3 tys. zł oszczędności.

Nie wpisałem jeszcze 4 tys. zł zadłużenia karty kredytowej. Ale nie narzekam. Po wyroku w procesie cywilnym z Bartelskim w ciągu godziny internauci zebraли 15 tys. zł na spłatę go. Na zapłatę grzywny w procesie karnym (a taki wytoczyła mi Ćwiąkalska) nie można organizować publicznej zbiórki.

Piotr Ikonowicz kiedyś poszedł do aresztu, bo nie chciał zapłacić grzywny, i w sumie nagłośnił sprawę eksmisji na bruk. Ma Pan podobny plan?

Jego skazano za napaść na policjanta, gdy bronił ludzi. Nie wydaje mi się, że mógł się tego dopuścić, ale wyrok jednak dostał.

Własnej sprawy nie mogę opisywać, bo sąd utajnił nie tylko proces, ale i uzasadnienie do wyroku. Napisałem do Rzecznika Praw Obywatelskich, aby przyjrzał się sprawie – na razie nie mam odpowiedzi. Faktem jest, że mec. Ćwiąkalska pomogła w restryktacji kamienicy wartej dziesiątki milionów złotych na warszawskiej Ochocie, bo została kuratorem spadkobiercy, który nie żył od 50 lat. Następnie razem z reprezentantem drugiego ze

spadkobierców doprowadziła do podniesienia czynszów. Stwierdziłem fakty i pokazałem kwity. Mimo to sąd skazał mnie za zniesławienie. Po ogłoszeniu wyroku wylała się na mnie jeszcze fala hejtu.

Z jakiej strony?

Prawników występujących nie anonimowo, ale pod nazwiskami. Nazywali mnie idiotą i kłamcą. Musiałem im zagrozić, że będę wysyłał wnioski do okręgowych rad adwokackich z informacją o łamaniu kodeksu etyki adwokackiej – dopiero wówczas kasowali na Facebooku wyzwiska i przepaszali.

Dobrze, że po swojej stronie mam trzech prawników, którzy pracują *pro bono*. To tysiące godzin pracy, a każda to w Warszawie często ponad 300 zł. Bez ich wsparcia – wartego setki tysięcy złotych – nie mógłbym sobie pozwolić na prowadzenie działalności publicznej. Ale zdaję też sobie sprawę, że nie każdy pokrzywdzony obywatel mógłby na taką pomoc liczyć.

Pięć lat w polityce zakończyło się porażką?

Nagrania Jarosława Kaczyńskiego pokazują, że raczej zwyciężyliśmy. A poza tym w ruchach miejskich pierwsi mówiliśmy o mafii restryktacji i smogu – teraz to tematy ogólnopolskie.

Realnie pomogłem konkretnym ludziom – jednym ochroniłem przed eksmisją, innym ratowałem mieszkania – ale duża ich część i tak nie zagłosowała na mnie. Zaraz po wyborach zadzwoniła do mnie pani, której narzucono absurdalną podwyżkę opłat za użytkowanie wieczyste. Prosiła o pomoc. „A na kogo pani głosowała?”. „Na Trzaskowskiego”. „I teraz ode mnie pani oczekuje pomocy w obrobie przed decyzjami jego Ratusza?”. „No tak, ale baliśmy się, że wygra Jaki”.

Co ja mogę jeszcze zrobić?

Jarosław Kaczyński mówił o Pańskim ojcu jako „ostrym żydowskim profesorem”...

Rozbawiły mnie te słowa, ale w nich nie ma antysemityzmu. Tata też nie ma pretensji do Kaczyńskiego. Starsze roczniki po prostu posługują się takim językiem. Ojciec jest szefem Żydowskiego Instytutu Historycznego, więc siłą rzeczy można o nim mówić „żydowski profesor”.

A Pan się spotykał z antysemityzmem?

W kampanii wyborczej antysemickiego szamba było dużo. Jeden z kandydatów na prezydenta Warszawy – były wiceprezydent z PO Jacek Wojciechowicz, który też się zresztą ze mną procesuje – użył wprost antysemickiego argumentu w debacie. Stwierdził, że teraz protestuję przeciwko wieżowcowi, który planuje kuria warszawska, a nie protestowałem przeciwko biurowcowi na działce, która należała do Goldy Tencer i Fundacji Shalom. Ten drugi wieżowiec powstał bodajże w 2006 r. – miałem wtedy 18 lat.

Żydowska tożsamość jest dla Pana ważna?

Bardzo. Jest częścią mnie. Jest historią rodzinną. Starsze siostry mojej mamy zginęły w Zagładzie. Zagłada to wciąż bardzo bliska historia. Moje obywatelskie zaangażowanie to też efekt niezgody na krzywdę, którą wyniosłem z żydowskiego domu. Wychowywałem się w pokoju mojego dziadka, Szymona Datnera, syjonisty. To było ważne. Wiedziałem, że był nacjonalistą żydowskim i nie mógł robić doktoratu w Krakowie, bo w II RP obowiązywały ustawy aryjskie eliminujące Żydów. Że żona dziadka była komunistką i wierzyla w rewolucję proletariatu. Ta świadomość otwiera oczy.

Dziadkowie umarli, gdy byłem dzieckiem, więc musiałem ich sobie rekonstruować. Ten pokój to element dziedzictwa, które przejąłem. Dziadek był jednym z pierwszych, którzy pisali o mordzie w Jedwabnem, ale z drugiej strony przeżył na wsi dzięki polskiej rodzinie, która go przechowała po ucieczce z getta w Białymostku. Historia rodzinna jest niesamowita.

Jest Pan ochrzczony?

Tak. Zostałem ochrzczony chyba dlatego, że moja mama się bała. Jest dzieckiem Holokaustu – straciła dwie siostry, więc dla niej historia jest namacalna, a nie stanowi tylko opowieści. W latach 80. pewnie wciąż myślała, że znowu przyjdą i będą sprawdzać, czy jesteśmy Żydami. Poza tym pamiętała rok '68 i czuła lęk, że się powtórzy. Ten strach pozostał, ale przed nacjonalizmem, nienawiścią, homofobią, wykluczeniem: dlatego mama zaangażowała się w stowarzyszenie Otwarta Rzeczpospolita i walczyła z prokuratorami, którzy od lat przyzwalały na mowę nienawiści.

Pisał Pan kiedyś o tym, jak to aktywności miejscy spłacają swój dług wobec

społeczności, bo z racji urodzenia mają duży kapitał kulturowy i społeczny. To wciąż aktualne?

Dalej uważam, że jeśli masz zasoby, to powinieneś działać społecznie. Ja mam czas i możliwości. Będę aktywistą, choć nie będę się już pakował w wojnę z mafiami, bo po prostu nie mam na to już siły i pieniędzy.

Jest coś nieprawdopodobnego w tym, że w Warszawie mafia spaliła Jolantę Brzeską, ukradła setki nieruchomości i nic z tego nie wyniknęło. Ja mam dwadzieścia procesów i dwa wyroki, a PO w stolicy miażdżąc wygrała wybory, eliminując ruchy miejskie z gry.

Pański kolega z Krakowa Tomasz Leśniak, doktorant socjologii, po przegranych wyborach samorządowych wyjechał na Islandię, by tam pracować w hotelu. Tłumaczył, że dzięki temu po powrocie będzie mógł wrócić do aktywności miejskiej.

Doktor Judym. Sam przez pięć lat żyłem na skromnym poziomie, by móc robić rzeczy dla ludzi. Ale ruchy miejskie zostały w wyborach samorządowych wymiecione. Trzeba zmienić metody.

Słowa Jarosława Kaczyńskiego o „operacji Śpiewaka”, która zablokowała budowę wieżowca na działce należącej do środowiska PiS, potężyły Pańskie ego?

Nie bałem się nazwać rzeczy po imieniu i w zrozumiwały dla ludzi sposób: mówiłem, że PiS chce budować w Warszawie wieżowiec. Znalazłoby się w mieście wielu sędziów, którzy by mnie za te słowa skazali, bo formalnie to nie partia chce budować, ale Instytut im. Lecha Kaczyńskiego, który jest głównym udziałowcem spółki Srebrna, mającej prawo użytkowania wiezystego do działki.

Sądzi Pan, że przegrałby proces, gdyby PiS go wytoczył?

Było takie ryzyko. Jednak w kampanii Patryk Jaki mówił, że rozliczy lobby deweloperów, więc pewnie bali się mnie pozwać, bo PiS sam stał się deweloperem. Wizerunkowo by się nie obronili, co prezes przyznał na nagraniach.

Nie pozwalał mi także dlatego, że krytyka z moich ust jest więcej warta niż choćby z ust Tomasza Lisa, który jest czirliderką Schetyny i opowiada się po jednej stronie sporu politycznego. Ja równo biję

JAN ŚPIEWAK:

„Wuzetka” na wieżowiec
zależy od widzimisiej
urzędnika w Ratuszu.

To korupcyjne eldorado
i forma sprawowania władzy
polityków nad biznesmenami
i innymi politykami.

w „Nycz Tower”, a więc inwestycję bliską Hannie Gronkiewicz-Waltz i Kościołowi [chodzi o 180-metrowy wieżowiec na kościelnej działce na rogu ul. Plater i Nowogrodzkiej; ma go budować spółka, w której większość ma archidiecezja warszawska], i w interes z wieżowcem PiS-u. Mam więc w tym przypadku dużo większą wiarygodność.

Stawia Pan tezę, że PO i PiS chciały pohandlować: zgoda na „Nycz Tower” w zamian za zgodę na wieżowiec Srebrnej. Nie brzmi to jak political fiction?

Zastanawialiśmy się nad tym, dlaczego PiS w 2016 r. głosował przeciwko „Nycz Tower”, na którym zależy Hannie Gronkiewicz-Waltz, a rok później był już za. Wyciągnęliśmy wnioszek, że nic się nie zmieniło poza jednym: PO zaczęła przyzwalać na budowę wieżowca przy Srebrnej.

Gdyby Ratusz, a więc Platforma pozwoliła na budowę wieżowca środowisku PiS, dałaby przeciwnikowi bat na siebie. Z punktu widzenia interesu partyjnego to byłby zły pomysł.

No tak, ale PO-PiS tworzą wspólny organizm i nie mogą bez siebie żyć. Są jak yin i yang.

Ale tylko, gdy jest jakaś równowaga, a nie dominacja jednej strony. Biurowiec w Warszawie zmieniłby układ sił.

Fakty jednak są faktami. Budynek przy Srebrnej skreślono z gminnej ewidencji zabytków – zrobił to stołeczny konserwator zabytków, a więc podwładny Hanny Gronkiewicz-Waltz. I to również pani prezydent uwzględniła w uwagach do projektu planu zagospodarowania przestrzennego prośbę o podwyższenie zabudowy

z 30 do 190 metrów – podpisała się pod tym. Czy tylko prowadziła grę obliczoną na wydobyć od PiS – formalnie wojewody mazowieckiego – zgody na „Nycz Tower”? A może po prostu wierzyła, że na Srebrnej wieżowiec powinien powstać?

Zaraz się okaże, że prezes PiS zmotywował Pana do powrotu do polityki.

Okazało się, że jesteśmy skuteczni. Zmienialiśmy rzeczywistość nie będąc u władzy.

Kiepska to rola dla polityka: być psem łańcuchowym, któremu wyborcy nie chcą nawet dać miski z jedzeniem.

W normalnym kraju powinny to robić organizacje watchdogowe. U nas nie ma ich wiele, a środki, które do nich płynęły, m.in. poprzez programy Fundacji Batorego, nie przełożyły się na realną walkę z korupcją i patologiami życia publicznego.

Rolą polityka, a za takiego się uważałem, jest zdobyć władzę i z tej pozycji zmieniać rzeczywistość. Krzyczenie na ulicy już nie jest dla mnie.

Jakie inwestycje udało się Panu zatrzymać?

Apartamenty, które grupa Radius chciała zbudować w parku na Powiślu. Z tym deweloperem związany jest Robert Szustkowski, multimilioner ubijający interesy z rosyjskimi oligarchami – on też wytoczył mi proces, który wygrałem. Z kolei Maciej Marcinkowski (też wygrałem), po skupieniu przedwojennych roszczeń do działki w miejscu dawnego ogródka jordanowskiego przy Szarej, chciał tam postawić trzy apartamentowce. Udało się to zablokować, choć budowę wspierał burmistrz Śródmieścia.

Zbigniew Jakubas, jeden z najbogatszych Polaków, chciał wielkiego osiedla-sypialni z galerią handlową na Żeraniu, ale mu przeszkadziliśmy. Też przegrał ze mną proces, ale pozwał mnie po raz drugi. No i uratowaliśmy Osiedle Jazdów, od którego zaczęła się moja działalność społeczna, przed zabudową. Mówię „my”, bo robiłem to razem z dużą grupą ludzi.

A może torpeduje Pan rozwój miasta, w tym budowę polskiego City na pograniczu Śródmieścia i Woli?

Blokuję budowę polskiej Astany, która dzięki petrodolarom zamieniła się w koszmarny pijanego urbanisty. Wystarczy raz ➔



RAFAŁ SIDERSKI / FORUM

JAN ŚPIEWAK:

W aferze z nagraniami Kaczyńskiego znika najważniejsze: patologia na rynku nieruchomości. Prezes PiS jest wręcz poszkodowany: wszyscy dookoła kręcą lody, każdy dostaje jakimś sposobem „wuzetkę” na wieżowce, a Kaczyńskiemu nie dali.

→ w miesiącu wybrać się na Wolę i widzieć, że kolejnego budynku już nie ma. Pożary starych domów na atrakcyjnych działkach też się często zdarzają. Nowoczesne miasta na Zachodzie nie budują wieżowców w centrach. Kopenhaga? Nie ma wysokociściowców. Podobnie robi Berlin, Amsterdam, Paryż, Praga, Rzym...

W Londynie cały czas rosną kolejne.

Londyn to zły przykład, bo to centrum prania pieniędzy przez wschodnich oligarchów. Odwrócił się od swoich mieszkańców, jest w nim koszmarnie drogo.

Plany zagospodarowania przestrzennego obejmują ok. 40 proc. powierzchni Warszawy, ale czy to zapóźnienie jest zamierzone?

Tak się dzieje z rozmysłem. Oczywiście, że trudno taki plan zrobić, ale władze Warszawy wydają na ich przygotowywanie drobniaki. Tylko jedna „wuzetka” [warunki zabudowy, które wydaje miasto inwestorom] dla działki na Srebrnej jest warta kilkadziesiąt milionów – więcej niż roczne prace nad planami zagospodarowania w mieście. „Wuzetka” na 30- albo 190-metrowy wieżowiec zależy od widzimisię urzędnika w Ratuszu. To korupcyjne eldorado i forma sprawowania władzy polityków nad procesami gospodarczymi, biznesmenami i innymi politykami.

Planów zagospodarowania nie ma, a jak już są, to łatwo je zmienić. Dziwne, że istniejący plan dla placu Defilad, u stóp Pałacu Kultury, można było zmienić w dwa lata i jakimś przypadkiem beneficjentem była mafia, która chciała tam przejąć dwie

działki. Zmiany oczywiście już pozwały na budowę wieżowców. Planowanie miast jest więc nie tylko skrajnie upolitycznione, ale też korupcjogenne.

Jeśli plan dla Żoliborza południowego powstaje po czternastu latach, to nie jest to przypadek?

Deweloperzy zarobili dzięki temu ogromne pieniądze. Projekt był gotowy już w 2008 r. i zakładał w miarę kameralną zabudowę. Ale ile można zarobić na niskich budynkach? Każde piętro to dodatkowe miliony. Co robili urbaniści i architekci przez te lata? Brali pieniądze od deweloperów.

W skali Polski ok. 30 proc. miast ma takie plany. Dzikie państwo?

Wystarczy przekroczyć granicę ze Słowacją i już porządek jest nieporównywalny. Polska przeskoczyła z XIX w., ze struktur feudalnych, wprost do turbokapitalizmu. Widać to na przykładzie „osiedli łanowych”. Łan to koncepcja rodem ze średniowiecza, przejawia się tym, że ziemia jest dzielona na bardzo długie działki. I teraz na tych kiszkach wyrastają osiedla, co wygląda koszmarnie, brakuje też dróg.

Ma Pan przykłady na przenikanie się polityki i deweloperki?

W radzie nadzorczej JW Construction zasiadała Barbara Blida i Józef Oleksy. We władzach Dom Development – senator PO Łukasz Abgarowicz, przewodniczący gminy Centrum, a więc w praktyce wiceprezydent stolicy. Senator PiS Stanisław Kogut miał – wedle CBA – wziąć łapówkę od jednego z największych deweloperów,

ze spółki Griffin Real Estate, w zamian za pomoc przy zburzeniu hotelu Cracovia. Szef SLD Włodzimierz Czarzasty był zatrudniony w spółce Griffin. Andrzej Halicki, jedna z najważniejszych postaci PO, był sekretarzem Związku Firm Deweloperskich – po prostu lobbystą branży. Spółka Echo Investment przekazała pieniądze na kampanię prezydenta Katowic Marcina Krupy, a po wyborach ten prezydent pozwolił jej zbudować galerię handlową. W Krakowie Bogusław Kośmider, szef rady miasta, zasiadał w radzie nadzorczej spółki deweloperskiej KCI. Długo by wymienić.

Może trzeba gdzieś zarabiać, a bu-downictwo to duża branża?

Nie ma większych pieniędzy niż teraz w deweloperce. Taki jest ten nasz neoliberalizm: zysk z kapitału, a tutaj z ziemi, jest większy niż z pracy. Jednocześnie to najprostszy biznes, bo jak się ma ziemię, to trzeba tylko zapłacić i wybuduje się wszystko, a marże są w deweloperce gigantyczne. Jak widać, nawet politycy dają sobie z tym radę.

Niewiarygodne jest to, że w aferze z nagraniami Kaczyńskiego znika najważniejsze: patologia na rynku nieruchomości. Prezes PiS jest wręcz poszkodowany: wszyscy dookoła kręcą lody, każdy dostaje jakimś sposobem tę „wuzetkę” na wieżowce, a Kaczyńskiemu nie dali. PiS dysponuje ziemią, na której się uwłaszczył w latach 90., ma szansę na prawie bezpłatny kredyt od znacjonalizowanego banku, ale rynek jest tak patologiczny, że urzędnik wedle własnego widzimisię nie pozwoli partii postawić biurowca.

Nagle okazuje się, że afery z nowymi nagraniami uderza najmocniej w warszawską Platformę. Bo to ona zamieniła stolicę w spekulacyjne eldorado dla wybranych. Działkę można było dostać za darmo w dzikiej reprivatyzacji, a potem fortuna rodziła się w sekundę, bo jak się dostanie „wuzetkę” na wieżowiec, to jest się milionerem. Potem i tak budynki są sprzedawane międzynarodowym funduszom inwestycyjnym, które żadnych podatków nie płać.

Z czego wynika Pańska antypatia do Tomasza Lisa?

„Newsweek” zaatakował mnie oskarżając o wiele rzeczy: że załatwiłem matce (jako 15-latek!) wykup mieszkania komunalnego, że kupiłem mieszkanie od czyściciela kamienic. Same kłamstwa. Napisałem sprostowanie, ale redakcja je odrzuciła. Nie procesowaliśmy się, bo nie miałem już na to czasu. Później Lis zaczął mnie nazywać „cynglem PiS-u”, zarzucał, że siedzę w „kieszeni PiS-u” i jestem donosicielem, bo śmiem składać zawiadomienia do prokuratury.

Tak się dzieje, bo jestem inteligentem, który mówi, że elita jest sprzedajna i ego-

istyczna. Zdradzam własną klasę, bo mówię, że polskie elity są do zaorania.

Mówił Pan, że jest na Pana zlecenie od znanego dewelopera. Kogo?

Nie mogę tego zdradzić. Spotkałem się z dziennikarzem dużego dziennika. Powiedział, że dostał propozycję, aby za 5 tys. zł napisać o mnie tekst. Nie wziął tego. Potem zniesławiający mnie artykuł napisał znany polski tygodnik.

Ogląda Pan TVP?

Nie mam telewizora. Dla mnie te największe media są tak spolaryzowane, że trudno się z nich czegoś dowiedzieć.

Więc nie ma Pan oglądu, z czego masowy wyborca czerpie informacje.

Wiem, co leci w TVP, a co w TVN. Kuzyn Kaczyńskiego mówi na nagraniach o mnie: „ten Śpiewak, co występuje w telewizji tak często”. Dziwnym trafem od tego czasu [nagranie pochodzi z lipca 2018 r.], a trwała kampania wyborcza, przestano mnie zapraszać do telewizji publicznej. To było niesamowite: jak za pstryknięciem palców.

Inna sprawa, że sam odczułem skutki tego, co robi ta telewizja. Gdy TVP nadała

materiał o karcie LGBT, którą zaproponowaliśmy w stolicy, to na ulicy momentalnie skoczyła agresja wobec nas. Chcieliśmy stworzenia hosteli dla nastolatków, którzy są wyrzucani z domów dlatego, że są gejami albo lesbijkami, a wydźwięk materiału był taki, że chcę otworzyć burdel dla gejów, i to za publiczne pieniądze.

Mimo to nie będę bojkotować TVP.

Doktorat Pan obronił?

Powoli...

...wyrzucają Pana z uczelni?

Powoli piszę. Zostało mi niewiele czasu na obronę.

Pisze Pan o Miasteczku Wilanów, że to kolejny przejaw dzikości miasta?

To akurat próba ucywilizowania miasta. Próba uczynienia bardziej ludzkim, choć w pełni się to nie udało, bo zapomniano o szkołach i parkach. Deweloperzy nie wszystko spieprzyli...

© Rozmawiał JACEK GĄDEK

JACEK GĄDEK jest dziennikarzem *Gazeta.pl*, stale współpracuje z „Tygodnikiem Powszechnym”.

Z głębokim smutkiem przyjąłem wiadomość o śmierci

ś.†P.

Pana Premiera Jana Olszewskiego

znakomitego adwokata, obrońcy w procesach politycznych, współtwórcy Komitetu Obrony Robotników i statutu „Solidarności”, prezesa rady ministrów wyłonionej przez pierwszy po wojnie wybrany w pełni demokratycznie Sejm Rzeczypospolitej, posła na Sejm I, III i IV kadencji, kawalera Orderu Orła Białego, doradcy śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego, żołnierza Szarych Szeregów i uczestnika powstania warszawskiego.

Rzeczpospolita żegna dziś wybitnego polityka, męża stanu, dobrego człowieka, który przez całe życie szedł drogą służby Niepodległej i był wszędzie tam, gdzie ważyły się losy wolności Polaków.

Rodzinie i Bliskim Zmarłego składam wyrazy serdecznego współczucia

PREZYDENT RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
ANDRZEJ DUDA



BOSKA RÓŻNORODNOŚĆ

Papież Franciszek często robi przełomowe dla Kościoła rzeczy bez głośnych zapowiedzi, niejako przy okazji. Właśnie mamy do czynienia z kolejnym takim przełomem.

PIOTR SIKORA

OKAZJĄ BYŁA WIZYTA W ZJEDNOCZONYCH Emiratach Arabskich. W jej trakcie papież podpisał wraz z wielkim imamem uniwersytetu Al-Azhar deklarację „O ludzkim braterstwie”. Zawiera ona wiele ważnych i ciekawych wątków społecznych, politycznych i religijnych. Ale z punktu widzenia katolickiego podejścia do religii rewolucyjny jest jeden akapit.

„Wolność jest prawem każdej osoby: każda jednostka cieszy się wolnością wyznania, myśli, wyrażania i działania. Pluralizm i różnorodność religii, koloru skóry,

płci, rasy i języka jest chciany przez Boga w Jego mądrości, poprzez którą stworzył on ludzi. Ta właśnie Boska mądrość jest źródłem, z którego wypływa wolność wyznania i wolność do bycia różnymi. Stąd należy odrzucić przymus przynależności do konkretnej religii lub kultury, jak również narzucanie kulturowych sposobów życia, których inni nie akceptują” – czytamy.

Ku wolności sumienia

Głównym tematem deklaracji jest wolność, a zwłaszcza wolność religijna. Klu-

czowe jest jednak to, że papież wraz z imamem uznają, że to Bóg chce wielości i różnorodności religii.

Aby dostrzec, jak wielka zaszła tu zmiana, warto przypomnieć sobie nauczanie rzymskiego Magisterium sprzed niespełna 200 lat. W encyklice Grzegorza XVI, „Mirari vos”, wydanej w 1832 r., możemy przeczytać takie słowa: „Ze stęchłego źródła indyferentyzmu wypływa również owo niedorzeczne i błędne mniemanie, albo raczej omamienie, że każdemu powinno się nadać i zapewnić wol-



OSSERVATORE ROMANO / EIDON / FORUM

Franciszek uczestniczy w międzyreligijnym spotkaniu dla pokoju w Dhace w Bangladeszu, 1 grudnia 2017 r.

dzili, że „osoba ludzka ma prawo do wolności religijnej”, tj. „że wszyscy ludzie powinni być wolni od przymusu ze strony czy to poszczególnych ludzi, czy to zbiorowisk społecznych i jakiegokolwiek władzy ludzkiej, tak aby w sprawach religijnych nikogo nie przymuszano do działania wbrew jego sumieniu ani nie przeszkadzano mu w działaniu według swego sumienia”. Następnie zaś wyjaśniają, że choć ludzie są „obowiązani moralnie do szukania prawdy, przede wszystkim w dziedzinie religii”, to tego „zobowiązania nie zdołają wypełnić w sposób zgodny z własną swą naturą, jeśli nie mogą korzystać zarówno z wolności psychologicznej, jak i wolności od zewnętrznego przymusu”.

Nauczanie soborowe wiązało się z radykalną zmianą antropologiczną. Kościół uznał, że „prawda narzuca się nie inaczej, jak tylko siłą samej prawdy”, oraz że poszukiwanie prawdy może dokonywać się tylko w pełni wolności. Zmienił się także stosunek do innych religii – ale tu soborowa zmiana była mniejsza.

Ambiwalencja Magisterium

Z jednej strony w deklaracji stosunku Kościoła do religii niechrześcijańskich „*Nostra aetate*” Sobór przyznał, że „Kościół katolicki nic nie odrzuca z tego, co w religiach owych prawdziwe jest i święte” i że doktryny innych religii „nierzadko odbijają promień owej Prawdy, która oświeca wszystkich ludzi”.

Z drugiej strony wszystkie dokumenty soborowe, które traktowały o innych religiach, zdecydowanie podkreślały różnicę pomiędzy nimi a chrześcijaństwem. Tamte odbijają promień Prawdy – mówiły – ale pełnia Prawdy jest obecna tylko w chrześcijaństwie. Jak głosi wspomniana deklaracja „*Dignitatis humanae*”: „Najpierw więc oświadcza święty Sobór, że sam Bóg ukazał ludzkości drogę, na której Jemu służąc ludzie mogą osiągnąć w Chrystusie zbawienie i szczęśliwość. Wierzimy, że owa jedyna prawdziwa religia przechowuje się w Kościele katolickim i apostołskim, któremu Pan Jezus powierzył zadanie rozszerzania jej na wszystkich ludzi”.

Stosunek posoborowego kościelnego Magisterium do religii niechrześcijańskich był więc – można rzec – ambiwa-

lentny. Nie uznawało ono ich już (jak to często w przeszłości) za coś złego, rezultat grzechu i odwrócenia się ludzi od prawdziwego Boga. Z trudem jednak dostrzegało w innych religiach pozytywne działanie Boga.

Przed Franciszkiem najdalej poszedł tu Jan Paweł II w encyklice „*Redemptoris missio*”. Napisał w niej, że Duch Boży „znajduje się u samego źródła egzystencjalnych i religijnych pytań człowieka”, a „obecność i działanie Ducha nie dotyczą tylko jednostek, ale społeczeństwa i historii, narodów, kultur, religii”. Papież podkreślał jednocześnie, że to działanie Ducha w religiach zmierza ku jakiemuś wypełnieniu i połączeniu religii w Kościele. Co więcej – nauczanie papieskie z „*Redemptoris missio*” zostało w świadomości społecznej (także kościelnej) przesłonięte przez dokument Kongregacji Nauki Wiary „*Dominus Iesus*”.

„*Dominus Iesus*” uznał bowiem religie niechrześcijańskie za rezultat poszukiwań tylko ludzkich. Wiara chrześcijańska w tej perspektywie „jest przyjęciem przez łaskę prawdy objawionej”, zaś „wierzenie w innych religiach to ów ogół doświadczeń i przemyśleń, stanowiących skarbnicę ludzkiej mądrości i religijności, które człowiek poszukujący prawdy wypracował”, jest ono więc „doświadczeniem religijnym poszukującym dopiero absolutnej prawdy i nie wyrażającym jeszcze przyjęcia objawiającego się Boga”.

Koncepcja „*Dominus Iesus*”, choć jawnie sprzeczna z wizją wyrażoną w dokumencie wyższej rangi, jaką była encyklika „*Redemptoris missio*”, zdominowała podejście Magisterium do innych religii oraz do teologów zaangażowanych w dialog międzyreligijny i rozwijających teologię religii. Większość z tych teologów dostrzegała Boże działanie w religiach, a wielu dochodziło nawet do wniosku, że wielość i różnorodność dróg do Boga jest czymś dobrym, przez Niego samego chcianym. Za rozgłaszanie takich poglądów teologowie ci byli jednak często strofowani przez Kongregację Nauki Wiary.

Sam Franciszek – jak niedawno przypomniał na łamach „Tygodnika Powszechnego” Józef Majewski – powrócił do wizji „*Redemptoris missio*”, formułując ją w adhortacji „*Evangelii gaudium*” jeszcze wyraźniej niż Jan Paweł II: „z powodu sakramentalnego wymiaru łaski uświęcającej działanie Boże w nich [niechrześcijanach] zmierza do stworzenia znaków, obrzędów, →

ność sumienia”. Potępienie wolności sumienia i wypływającej zeń wolności wyznania powtórzył kilkakrotnie późniejszy papież, Pius IX – w encyklikach „*Qui pluribus*” (1846) i „*Quanta cura*” (1864) oraz w towarzyszącym tej ostatniej „*Syllabusie błędów*”. Takie stanowisko papieskiego Magisterium wydawało się trwałe i niezmienne.

Dopiero Sobór Watykański II zmienił nauczanie Kościoła w tej kwestii. W deklaracji o wolności religijnej „*Dignitatis humanae*” (1965) ojcowie soborowi stwier-

→ świętych form wyrazu, które zbliżają niechrześcijan do wspólnotowego doświadczenia drogi prowadzącej do Boga” i wprost uznał, że to Duch Święty stwarza symboliczne i rytualne religijne tradycje. W konsekwencji w encyklice „Laudato si” nie bał się zaprosić niechrześcijan do wspólnej, międzyreligijnej modlitwy.

Krok dalej

Lecz podpisana przez papieża w Dubaju deklaracja zawiera myśl będącą zdecydowaną zmianą nawet wobec jego poprzednich dokumentów. Jeśli bowiem wielość i różnorodność religii jest zamysłem mądrości Boga, to znaczy, że Historia Zbawienia nie musi zmierzać w Jego zamysłu do sytuacji, w której wszyscy ludzie staliby się wyznawcami jednej religii – w tym także chrześcijaństwa. I my nie powinniśmy więc dążyć do takiego religijnego ujednolicenia ludzkości.

Jeśli – jak są tego świadomi sygnatariusze deklaracji – wolność wyboru wiary zakorzeniona jest właśnie w przez Boga chcianej i wymyślonej religijnej różnorodności, to nie jest niczym złym, jeśli ktoś wybiera inny sposób czczenia Stwórcy niż nasz i inną drogę do Niego niż ta, którą my idziemy. Czyli nie musi być wcale źle, gdy ktoś nie staje się chrześcijaninem, lecz idzie ku Bogu drogą innej religii.

Najwłaściwszym sposobem odniesienia między wyznawcami różnych religii jest – jak podkreśla podpisana w Dubaju deklaracja – dialog, prowadzący do wzajemnego zrozumienia, kultury tolerancji, akceptacji innego i wspólnego życia w pokoju. Elementem takiego dialogu jest też dawanie świadectwa własnej wierze. Jego celem nie jest jednak konwersja drugiego do wspólnoty świadczącego, lecz wsparcie go w jego własnej drodze do Boga, w formie, jaką w wolności wybierze.

Ile autorytetu

Dla katolików oznacza to jednak konieczność zadania kilku ważnych pytań. Po

Wielość religijnych perspektyw okazuje się bogactwem, a i ich spotkanie, nawet jeśli trudne, szansą na wzajemną inspirację na drodze coraz głębszego wchodzenia w boską Tajemnicę.

pierwsze, jaki stopień autorytetu ma papiesskie nauczanie wyrażone w deklaracji ogłoszonej wspólnie z muzułmańskim imamem? Po drugie – jak odnieść się do faktu zmiany w postawie Magisterium Kościoła? Po trzecie wreszcie – jak chciana przez Boga wielość religii ma się do jedynego pośrednictwa Chrystusa?

Odnosnie do pierwszej kwestii trzeba zauważyć, że Franciszek wyraźnie korzysta ze swojego przywileju wypowiedziania się w imieniu całego Kościoła katolickiego. Wskazuje na to choćby uroczyste zdanie z początkowych partii dokumentu: „Al-Azhar al-Sharif i muzułmanie Wschodu i Zachodu wraz z Kościołem katolickim i katolikami Wschodu i Zachodu deklarują...”.

Z drugiej strony deklaracja kończy się wezwaniem: „Al-Azhar i Kościół katolicki proszą, by ten dokument stał się przedmiotem badań i refleksji...”. Można powiedzieć, że – zgodnie z głoszoną przez siebie wizją – sygnatariusze dokumentu nie chcą niczego nikomu narzucać, lecz pragną zainspirować do samodzielnych poszukiwań i do wyrobienia sobie w procesie wolnej refleksji własnego zdania. Jest to zresztą zgodne z Franciszkową wizją autorytetu jako inspirującego, a nie zastępującego sumienia wiernych. Tym bardziej więc warto samodzielnie rozważać dwa pozostałe pytania.

Zmienność nauczania

Myśląc nad kwestią zmienności nauczania warto pamiętać, iż pogląd, że w nauczaniu Magisterium nic się nie może radykalnie zmienić, stał się powodem odrzucenia Soboru Watykańskiego II przez abp. Lefebvre’a, gdy ojcowie soborowi przyjęli deklarację o wolności religijnej „Dignitatis humanae”. Warto mieć też świadomość, że soborowa zmiana dotyczy nie tylko antropologicznej kwestii miejsca wolności w poszukiwaniu prawdy. Dotyczy także pytania o miejsce religii w Bożym planie zbawienia.

Papież potępiający wolność sumienia bronili także zasady *extra Ecclesiam nulla salus* – głoszonej przez Magisterium przez wieki. To przecież Bonifacy VIII w 1302 r. w bulli „Unam sanctam” napisał: „Oznajmiamy, twierdzimy, określamy i ogłaszamy, że posłuszeństwo Biskupowi Rzymskiemu jest konieczne dla osiągnięcia zbawienia”. Sobór Florencki zaś w 1442 r. włączył do swojego dekretu słowa Fulgencjusza z Ruspe, że „nikt nie może być zbawiony, choćby jego jałmużny były wielkie i choćby przelał krew dla Chrystusa, jeśli nie pozostanie w łonie Kościoła katolickiego i w jedności z nim”. Nic dziwnego, że Grzegorz XVI uznał za „przewrotną opinię bezbożnych” pogląd, „że w każdej religii można dostąpić wiecznego zbawienia duszy, jeśli się uczciwie i obyczajnie żyje”.

Zupełnie inaczej ujmując tę sprawę *Vaticanium II* w konstytucji „Lumen gentium”, gdzie czytamy: „Ci bowiem, którzy bez własnej winy nie znając Ewangelii Chrystusowej i Kościoła Chrystusowego, szczerym sercem jednak szukają Boga i wolę Jego przez nakaz sumienia poznają starają się pod wpływem łaski pełnić czynem, mogą osiągnąć wieczne zbawienie. Nie odmawia też Opatrzność Boża koniecznej do zbawienia pomocy takim, którzy bez własnej winy w ogóle nie doszli jeszcze do wyraźnego poznania Boga, a usiłują nie bez łaski Bożej wieść uczciwe życie”.

Krok, który zrobił Franciszek – uznanie, że Bóg nie tylko działa w innych religiach, lecz że Jego wolą jest wielość i różnorodność religii – jakkolwiek wielki, nie jest pierwszą radykalną zmianą w nauczaniu Magisterium Kościoła. Można powiedzieć, że jest to element nieustannego procesu, jakim jest wzrost chrześcijańskiej świadomości i zrozumienia Boga i świata.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, sygn. akt I Ns 761/18, toczy się postępowanie o uznanie za zmarłego z dniem 14 lipca 2014 r. zaginionego 13 lipca 2004 r. Stanisława Kamińskiego, s. Stanisława i Cecylii, ur. 6 lutego 1955 r., ostatnio stale zamieszkałego w Mińsku Mazowieckim przy ul. Warszawskiej 140/2.

Sąd wzywa Stanisława Kamińskiego, aby w terminie 3 miesięcy zgłosił się, gdyż w przeciwnym razie może być uznany za zmarłego. Sąd wzywa również wszystkie osoby, które mogą udzielić wiadomości o zaginionym, aby w terminie 3 miesięcy przekazały je sądowi.

Bogactwo ułomnych perspektyw

Za uznaniem, że Bóg chce wielości i różnorodności religii, przemawiają mocne racje filozoficzne i teologiczne. Gdy bowiem głosimy, że tylko jedna – nasza – religia jest objawiona i chciana przez Boga, a wszystkie inne się mylą bądź dostrzegają tylko małe fragmenty prawdy, ponizamy samego Stwórcę. Czynimy zeń plemiennego bożka, który wybiera sobie część ludzkości i jej się w pełni objawia, pozostając od innych z dala. Jak to możliwe, by Absolutna Miłość – nasuwa się pytanie – była tak słaba lub niesprawiedliwa w swoim ujawnianiu się światu?

Problem znika, gdy uznamy, że Bóg w pełni ujawnia się wszystkim, ale – jako Nieskończony – nieskończenie przekracza możliwości naszej percepcji. Różnorodność religii, które nie mogą dojść do jednej spójnej wizji boskości, staje się zrozumiała. Sugeruje, że religie ujmują Rzeczywistość, która nie może być przez człowieka pojęta w jednym spójnym oglądzie, że różni ludzie i różne ludzkie wspólnoty postrzegają Ją, na ile mogą, w rozmaitych perspektywach, które są otwarte na rozwój i dojrzewanie. Wielość i różnorodność perspektyw okazuje się więc bogactwem, a i ich spotkanie, nawet jeśli trudne, szansą na wzajemną inspirację na drodze coraz głębszego wchodzenia w boską Tajemnicę. Ta wielość i różnorodność otwiera też przed każdym człowiekiem – jak uświadamiają nam wspólnie papież z imamem – przestrzeń wolności osobistych poszukiwań. Jest przez absolutnego, nieskończonego, niepojętego Boga chciana.

Pozostaje problem chrystologiczny. Nie jest on prosty, ale wielu teologów – m.in. Raimon Panikkar, Jacques Dupuis, Peter C. Phan, Aloysius Pieris – widzących wielość religii podobnie, jak ujmuje ją deklaracja papieża i imama, rysowało rozmaite rozwiązania. Wielu z nich było krytykowanych przez Watykan, ale teraz warto do ich myśli wrócić. Jedno wydaje się wspólne ich sposobowi myślenia i warto to uczynić punktem wyjścia poszukiwań: pokorne uznanie, że Logos Boży jest większy niż każde jego ludzkie ujęcie i że Jego wcielenia nie ogarnia żadna historyczna wspólnota, także wspólnota Kościoła.

© PIOTR SIKORA



Franciszek z wielkim imamem Al-Azharu, Ahmedem al-Tayebem, Abu Zabi, 4 lutego 2019 r.

Siła spokoju

KAROL WILCZYŃSKI

Pierwszy raz papież odwiedził Półwysep Arabski, miejsce narodzin islamu. Co przyniosła jego wizyta w Abu Zabi?

NIE MA ALTERNATYWY: ALBO WSPÓLNIE zbudujemy przyszłość, albo nie będzie przyszłości – mówił Franciszek podczas międzyreligijnego spotkania „Ludzkie braterstwo” w Abu Zabi. To był główny punkt zaledwie 48-godzinnej wizyty w Zjednoczonych Emiratach Arabskich (3–5 lutego). Wbrew idei zderzenia cywilizacji papież przekonywał, że „zwłaszcza religie nie mogą zrezygnować z pilnego zadania budowania mostów między narodami i kulturami”. I że

liczy na nowy rozdział w stosunkach między wyznawcami.

Drugim celem podróży było spotkanie z katolikami. W dziewięciomilionowych Emiratach mieszka ich milion (co ciekawe, osób posiadających obywatelstwo Emiratów jest jedynie 1,4 mln, pozostali to imigranci – głównie z Indii, Pakistanu i Bangladeszu). O zainteresowaniu papieską wizytą świadczy frekwencja na mszy na stadionie w Abu Zabi – przybyło ok. 190 tys. osób.



→ Ostatecznie papieska wizyta, planowana od 2016 r., dotknęła trzech ważnych tematów.

Pluralizm

Franciszek kilkakrotnie wspominał o pluralizmie religijnym i różnorodności kulturowej, której „pragnie Bóg”. Do wiernych zgromadzonych na liturgii mówił: „Jesteście chórem, który obejmuje różne narody, języki i obrządk; różnorodność, którą kocha Duch Święty i chce ją coraz bardziej zharmonizować, aby z niej uczynić symfonię”.

Podczas spotkania międzyreligijnego, w którym uczestniczył wielki imam Al-Azharu, Ahmed al-Tayeb – uważany przez wielu sunnitów za najwyższy autorytet – Franciszek wskazał, że „Bóg jest źródłem jedynej ludzkiej rodziny i (...) chce, abyśmy żyli jak bracia i siostry, zamieszkując we wspólnym domu stworzenia, który On nam dał”. Papież spotkał się z imamed Al-Azharu już po raz piąty podczas swojego pontyfikatu. To dowodzi determinacji obu religijnych przywódców w pokonywaniu uprzedzeń między katolikami i muzułmanami. Jak podkreślił, pluralizm religijny jest wyrazem Bożej woli. Podpisana wspólnie przez papieża i imama deklaracja podkreśla, że „wolność religijna jest prawem każdej osoby: każdy jest obdarzony wolnością wyznania, myślenia, wyrażania jej i praktykowania”.

W podobnym duchu wypowiadał się imam Al-Tayeb, zwracając się do chrześcijan żyjących w krajach z większością muzułmańską: „Jesteście częścią tego narodu. Jesteście obywatelami, a nie przedstawici-

Mimo deklaracji pokojowego współistnienia w wielu krajach z większością muzułmańską nierozwiązany pozostaje problem wolności religijnej.

cielami mniejszości. (...) Jesteście obywatelami cieszącymi się pełnią praw i obowiązków”. Imam zwrócił się również do muzułmanów żyjących „wśród narodów Zachodu”, aby „integrowali się” i szanowali lokalne prawo.

Na te aspekty zwracały uwagę emirackie media, które podkreślały konieczność „budowania wspólnej przyszłości”. Niewątpliwie władze chciały wykorzystać wizytę papieża do tego, by przedstawić kraj jako bardzo tolerancyjny. Nieprzypadkowo rok 2019 ogłoszono w ZEA Rokiem Tolerancji.

Wolność religijna

Mimo że wielu liderów religijnych i polityków obecnych na „Ludzkim braterstwie” deklarowało konieczność pokojowego współistnienia, w wielu krajach z większością muzułmańską nierozwiązany pozostaje problem wolności religijnej. Nie tylko w Arabii Saudyjskiej czy Iranie dochodzi do częstego łamania praw niemułmanów. Ponadto sami wyznawcy islamu doświadczają ograniczenia wolności religijnej w swoich krajach. Choć w Zjednoczonych Emiratach Arabskich nie ma

zakazu publicznego praktykowania wiary, oficjalne statystyki – wbrew faktom – podają, że wszyscy obywatele tego państwa to muzułmanie. Co więcej, emirackie prawo nadal nie pozwala na porzucenie islamu, a dla ewentualnych apostatów kodeks karny przewiduje karę śmierci.

W ostatnich latach – wobec pogłębiającego się konfliktu w Jemenie i Syrii – najbardziej prześladowaną grupą religijną w Emiratach i na całym Półwyspie Arabskim wydają się być szyci, których władze ZEA tysiącami deportują do krajów pochodzenia (głównie do Libanu). W tym kontekście niektóre fragmenty „Deklaracji o ludzkim braterstwie” brzmią na wyrost.

Franciszek jednak nie traci nadziei. Na pokładzie samolotu z Abu Zabi do Rzymu podkreślił, że „wolność religijna” jest procesem. Przywołał rozmowę z 13-latkim, który zadeklarował się jako ateista i zapytał papieża, „jak zostać człowiekiem pokoju”. „Rób to, co czujesz” – odpowiedział mu Franciszek, dodając, że kontynuował z nim dłużej rozmowę i „polubił jego odwagę”. „Jest ateistą, ale szuka dobra – podkreślił papież – i ta ścieżka [wolności religijnej] również jest procesem – procesem, który powinniśmy szanować i któremu powinniśmy towarzyszyć”.

O towarzyszeniu w procesach sprzyjających pojednaniu i wolności religijnej wypowiedział się także rabin Marc Schneier, przewodniczący Foundation for Ethnic Understanding w Nowym Jorku: „Moim obowiązkiem, jako lidera wspólnoty żydowskiej, jest prowadzenie walki z islamofobią lub jakimkolwiek atakiem na muzułmanów lub wiarę islamską”. Rabin dodał



Prośba o pomoc

Drodzy Czytelnicy, serdecznie prosimy o wsparcie dla ukochanego bratanka naszej przyjaciółki.

Krystian ma 9 lat. W lipcu wykryto u niego bardzo rzadki u dzieci złośliwy nowotwór wątroby z przerzutami do płuc. W domu czeka na Krystiana młodsza siostra, Nikola. Nowotwór jest bardzo zaawansowany, a przerzuty do płuc wykluczają chirurgiczne leczenie oraz przeszczep. Jediną nadzieją jest immuno-onkologia, ale leczenie to jest bardzo kosztowne.

Krystianowi można pomóc, dokonując wpłaty na konto:

Fundacja Pomocy Dzieciom i Osobom Chorym „Kawałek Nieba”

Bank Santander 31 1090 2835 0000 0001 2173 1374;

tytuł: „1692 pomoc dla Krystiana Krupy”.

Można też przekazać 1% podatku dla Krystiana, w formularzu PIT wpisując **KRS 0000382243**, a w rubryce „Informacje uzupełniające – cel szczegółowy 1%” – **„1692 pomoc dla Krystiana Krupy”.**

Więcej informacji na **powszech.net/krystian**

jednocześnie, że tego samego oczekuje od „przywódców muzułmańskich”, jeśli chodzi o „wyrażanie sprzeciwu wobec antysemityzmu czy zaprzeczanie Holocaustowi”.

Franciszek zapewne zdaje sobie sprawę, że światowe procesy globalizacji i migracji (których tak mocno doświadczają ZEA) wymuszą na państwach z większością muzułmańską powolne zmiany.

Nowy kierunek Kościoła

„Pan jest specjalistą w tworzeniu rzeczy nowych, potrafi otwierać drogi, nawet na pustyni (por. Iz 43, 19)” – powiedział papież podczas mszy w Abu Zabi. Wizyta w Emiratach miała charakter takiej nowości, która wyrasta z przywiązania do ewangelicznych ideałów powszechnego braterstwa i łagodności.

„Chrześcijanin wyrusza uzbrojony jedynie w swoją pokorną wiarę i swoją konkretną miłość – powiedział papież, odwołując się do 800. rocznicy spotkania św. Franciszka z Asyżu z sułtanem Al-Kamilem. – Łagodność jest ważna: jeśli będziemy żyli w świecie na Boży sposób, staniemy się kanałami Jego obecności; w przeciwnym razie nie wydamy owoców”.

Pokora, miłość i łagodność nie oznaczają jednak, że nie należy mówić o problemach. Wielu komentatorów zwróciło uwagę, że Franciszek nie obawiał się nawiązać do konfliktu w Jemenie (biorąc w niej udział siły zbrojne ZEA), która doprowadziła do klęski głodu i największego obecnie kryzysu humanitarnego świata. Rzadko zdarza się, by gość w czasie oficjalnej wizyty dyplomatycznej wypominał winy gospodarza. I to ten właśnie temat podjęły media arabskie niebędące częścią emirackiej maszyny propagandowej, jak Al-Dżazira.

Spokojnym, ale stanowczym głosem mówił także bp Paul Hinder, kapucyn odpowiedzialny za wikariat apostolski Arabii Południowej. Bezpośrednio przed samą wizytą kilkakrotnie upominał się o często łamane prawa migrantów żyjących w Emiratach. „Jesteśmy Kościołem migrantów, a ja biskupem migrantów” – mówił.

Kolejna zapisana strona

Trudno przewidywać, co konkretnie przyniesie wizyta Franciszka w Abu Zabi, gdzie właśnie powstaje dziewiąty kościół kato-

licki i pierwsza świątynia hinduistyczna, oraz gdzie społeczność żydowska, po wizycie izraelskiego ministra sportu i premiera Netanjahu w sąsiednim Omanie, otrzymała niedawno zaproszenie do formalnej rejestracji.

Krótką wizyta nie jest zapewne w stanie natychmiast wpłynąć na zakończenie konfliktów czy powstrzymać exodus chrześcijan z Bliskiego Wschodu. Ale siłą papieża jest łagodność i konsekwencja: „Podróżuję do tego kraju jako brat, aby napisać stronę dialogu razem”. Zarówno dialog, jak i pokój – cele tej wizyty – są długotrwałymi procesami, które rzadko trafiają jako tematy na nagłówki gazet; w każdym razie rzadziej niż konflikty.

Papieska pielgrzymka pokoju będzie jednak trwać nadal. Już pod koniec marca Franciszek wybiera się do Maroka.

© KAROL WILCZYŃSKI

Autor jest redaktorem Deon.pl. Współtwórca islamistablog.pl oraz inicjatywy „Rethinking Refugees”. Członek Rady ds. Ekumenizmu i Dialogu Międzyreligijnego Archidiecezji Krakowskiej.

REKLAMA

IL DIVO

PREZENTUJE

TIMELESS
15th Anniversary

KONCERT

20 lipca 2019
Atlas Arena Łódź

BILETY: PRESTIGEMJM.COM, eBilet.pl



Prestige
MJM

RMF
Classic

GAZETA BANKOWA

empik

T3

STRÖER

WP

cgm.pl

VIXON
BESKID

jaz
soul.pl

pap

Multikino

PRESS
SERVICE

Gdzie jest „polski Kościół”

SZYMON HOŁOWNIA

Szkoda mi każdej chwili na ustalanie stopnia rozbieżności ze wszystkimi członkami rodziny. Nie prywatyzuję więc swojej wiary, uchodząc od nich na pustynię – ja się kościelnie decentralizuję.

JAK INACZEJ, NIŻ RYZYKUJĄC ŻYCIE duchowe w pojedynkę, zaznaczyć swój dystans wobec instytucji, której działania w ostatnich latach budzą protest sumienia, niegdyś właśnie przez tę instytucję uformowanego?” – pytał w zeszlotygodniowym tekście „Czemu nie w chórze” Jerzy Sosnowski. Nie śmiałbym ingerować w decyzje podejmowane przez tę klasę intelektualistę, jego tekst zainspirował mnie jednak do poszukania własnej odpowiedzi. We mnie przecież też niektóre z działań instytucji identyfikowanej jako „polski Kościół” budzą nie tyle protest sumienia, co zwykłą złość, a bywa, że i odruch pukania się w czoło.

Żółć z ambony

Poprzestańmy na liście spraw podniesionych przez Sosnowskiego. Mnie też mierz to, jak Episkopat zabiera się do rozliczenia przypadków pedofilii w Kościele. Te zawsze spóźnione reakcje, ta indolencja decyzyjna (przeżywana w duchu, że „to wszystko wyolbrzymione” i „jesteśmy atakowani”), te ezopowe frazy rzucane w taki sposób, by nie było w nich cienia konkluzji, to tolerowanie haniebnych zachowań w rodzaju kasacji do Sądu Najwyższego składanej przez zgromadzenie chrystusowców.

Głupotą (jeśli nie jawną profanacją sfery *sacrum*) było dla mnie dekorowanie w katedrze biskupimi odznaczeniami kierownika partyjnej telewizji. To dramat i zgroza, że nasz Kościół instytucjonalny czasami wygląda tak, jakby zredukował swoją misję do bycia katolicką wersją Urzędu ds. Wyznań, duchową przybudówką partii politycznej.

Nie czuję nic innego niż Sosnowski, gdy słyszę duchownych, których chyba tylko przyrzeczenie celibatu ogranicza w formach adoracji geniuszu rządzących nami prezesów, prezydentów i premierów. Za tę

pensjonarską miłość przehandlują każdy werset Ewangelii: ten o przyjmowaniu obcych, o miłości nieprzyjaciół, o tym, co jest, a co nie jest z tego świata. Parę dni temu znajoma dzieliła się ze mną oburzeniem, że w moim rodzinnym mieście znów uaktywnił się homiletycznie ksiądz wygadujący nieprzytomne farmazony na mszach akademickich (kiedyś w parafii św. Wojciecha, obecnie w białostockiej katedrze). Żółć leje się z tej ambony hektolitrami, wszyscy są winni: muzułmanie, feministki, a o Adamowiczu to przecież wszyscy wiemy, jaki był...

Przestawienie zoomu

Jednak pytanie, które sobie zadaję, brzmi: czy ja mam teraz zrobić to, co oni, tylko z drugiej strony? Mam sprywatyzować sobie Jezusa? Uznać, że skoro Kościół (świat) wydaje się być z innej planety, to ja, nim Mały Książę ukaszony przez eklezjalnego (światowego) węża, przeniosę się na swoją asteroidę B-612, gdzie będę, osobny, uczył się życia, przyjaźni i miłości?

Rozumiem tych, którzy mówią: „może masz grubszą skórę, my już nie możemy wytrzymać”. Mówię im, iż w podjęciu decyzji, że zostaje, pomógł mi prosty zabieg: przestawienie zoomu, przez który patrzę. Uaktualnienie optyki, z tej obowiązującej za Jana Pawła II i kardynała Wyszyńskiego, do realiów XXI wieku. „Kościół polski” to nie to, co wygeneruje z siebie rzecznik Episkopatu albo co media wyciągną z kazania arcybiskupa. To świątynia, w której jest autentyczna wspólnota, kapłan rozumiejący Eucharystię, mówiący biblijne kazania, świątynia, w której mogą zapuścić duchowe korzenie. To spowiednik, do którego jeżdżę 500 km w jedną stronę. To setki ludzi, których spotykam w kościołach, z którymi się modłę, którym czasem mówię rekolekcje, z którymi



dyskutuję o tym, co to znaczy być dziś katolikiem (i jak przełożyć to na konkret). To moi – wcale nie tak nieliczni – koledzy biskupi, którzy naprawdę są i Bożymi ludźmi, i apostołami, robią świetną robotę każdy na swojej działce, a środki zwiotczające ducha i paralizujące osobowość przyjmują tylko wtedy, gdy muszą stać się Konferencją Episkopatu Polski.

Decentralizacja

To już naprawdę nie są lata 70. i 80., gdy „polski Kościół” miał swoje emanacje w postaci charyzmatycznych liderów. Dziś liczni jego liderzy nader często emanują tylko sobą. Nie można więc popełniać błędów i przyjmować za istotę Kościoła prywatnej, stronnicej prasówki – bo do tego nauczanie z naszych katedr i ambon czasem się ogranicza. Nie ma już „polskiego Kościoła”, to artefakt upraszczający życie nam, publicystom, a niemający żadnego odniesienia do rzeczywistości. Są tyśiące parafii, dziesiątki diecezji, setki klasztorów, wspólnot i domów.

Od lat nie zadaję już sobie pytania, czy odnajduję się w tym, co głosi pomorski patriarcha czy kujawsko-pomorski biznesmen. Nie odnajduję się. I co z tego? Mam jedno życie, 650 tysięcy godzin do



TADEUSZ KONIARZ / REPORTER

spędzenia na tej ziemi. Szkoda mi każdej z nich na ustalanie stopnia rozbieżności ze wszystkimi członkami mojej rodziny. Tak, to moja rodzina (krąży w nas przecież ta sama eucharystyczna krew), i w pierwszej kolejności mam troszczyć się o czas, uwagę i środki dla moich najbliższych, a nie o publicystyczne korekcie całego mojego nieogarniającego rzeczywistości kuzynostwa i pociotków. Nie prywatyzuję więc swojej wiary, uchodząc od nich na pustynię – ja się kościelnie decentralizuję.

Co nie oznacza szukania utopijnej komunii poglądów i wrażeń. Gram w zawodowym życiu na tyłu bębenkach, że czasem muszę sprawdzać w kalendarzu, który mamy rok i jak się nazywam. Dziś, po nocnym powrocie ze spotkań w parafii na drugim końcu Polski, przenocowałem w mojej warszawskiej pracowni, a jedyną szansą na uczestnictwo w Eucharystii była poranna msza w tutejszym kościele. Poszedłem więc, choć przecież wiedziałem, co mnie czeka. Zestaw księży dobrany jest tu idealnie (albo ja tak idealnie trafiam) homiletyka, trzyma równy poziom. Zupełnie jakby słuchać referatów stowarzyszenia partyzantów, którzy wiele lat po wojnie wciąż siedzą w lesie i żyją przeświadczeniem, że ktoś na nich czyha. Cieszą się

swoją bezkompromisowością i bohaterstwem, żyjąc we własnej bańce, w odcieciu od świata – który przecież nie dość, że z nimi nie walczy, to jeszcze, zajęty swoimi sprawami, w ogóle nie zwraca na nich uwagi. Na tej mszy zawsze jest znana pani profesor, publicystka i wykładowczyni tokańska, z którą przekazujemy sobie znak pokoju. Średnia wieku uczestników to 75 lat, nie moje pieśni, nie do końca mój kościelny klimat. I co z tego? Nie oddałbym tej mszy, tej wspólnoty, jaką mamy przy tym stole, za żadne skarby świata.

Wspólnota

Dostatecznie dużo najeździłem się po świecie, by wiedzieć, że indolentne episkopat, partyjniactwo i strategiczne gierki buldogów pod dywanem, frakcje, koterie, ciemne interesy, męczący księża i świeccy – są wszędzie. Ponowię pytanie: co z tego? Jestem w pełnej komunii z Kościołem, nikt mnie przecież nie „odchrzcił”. W czasie chrztu pomazano mnie tym samym krzyżem, którym namaszcza się kapłanów i którym kiedyś namaszczano proroków i królów. Mamy w Kościele inne gabinety i wokandy zadań, ale ja naprawdę nie zamierzam rezygnować z danych mi za darmo przywilejów, miejsca

przy stole, prawa do głosu i do spadku. Ani z poczucia wspólnoty, które mam w eucharystycznym Jezusie z tymi, co są na Filipinach, albo już na tamtym świecie (gdy wpatrujemy się w obecnego w Eucharystii Jezusa, nasz wzrok się przecież spotyka, my patrzymy Nań z tej, oni z tamtej strony).

Nie wycofam się więc, nie dam przegonić krzykaczom. A pozostając aktywnym członkiem Walnego Zgromadzenia, nie będę na nim milczał. I nie, nie czuję się osierocony, słuchając kazań tego czy innego biskupa, z tej prostej przyczyny, że nigdy nie dałem mu prawa do bycia moim ojcem. Jednego Ojca mam w niebie, drugiego w Białymstoku, trzeciego nie szukam. Szukam mądrzejszych ode mnie przewodników, a tych, jak dotychczas, bez trudu znajduję.

Rany świata

W każdej konfiguracji – rodzinnej, przyjacielskiej czy eklezjalnej – człowiek staje się w pełni sobą dopiero w relacji. Mamy Boga, który sam jest relacją, więc ani do nieba, ani do szczęścia nie da się za bardzo dojść w pojedynkę.

Sam nie należę jednak do żadnego kościelnego ruchu (moim ruchem jest Kościół powszechny) żadnej frakcji, organizacyjnie jestem trudno „przysiadalny”. Dlatego powtórzę raz jeszcze: rozumiem tych, którzy mówią „miara się przebrała”. Mam wrażenie, że ich grono będzie rosło. To nie będą teatralne apostazje, ale konsekwentne przenoszenie się na coraz dalsze orbity, użycie czasu jako rozpuszczalnika relacji. Prędzej czy później znów będzie „mała trzódka”. Świeckich, którzy świadomi, że są częścią rodziny wielodzietnej, zamiast toczyć jałowe debaty o polityce, zajmą się Dobrą Nowiną: daniem nadziei w miejsce lęku, czyniąc osi wiary rzecz genialnie przez Sosnowskiego wyłapaną – dotykane ran świata (bo przecież to są rany Chrystusa). Pasterzy, którzy zamiast śnić o potędze, ruszą tulić i kurować najsłabszych, a zamiast pić ze szczęścia, że wciąż mają w kościele czterdzieści procent, całymi dniami będą szukać pozostałych sześćdziesięciu.

Takie „polskie Kościoły” już w „polskim Kościele” są. Ja czuję się w nich jak ryba w wodzie. A że są i inne? Niech sobie będą. I też rosną. Aż do żniwa. Przecież, koniec końców, to w znacznie większej mierze Jego problem niż nasz. To gospodarstwo przecież do Niego należy. ©

SUDAN ŁZAWI

Protesty przeciw
dyktaturze Omara al-Baszira,
który włada od 30 lat, trwają
w Sudanie już od trzech miesięcy.
Prezydent dotąd dławił wszelki bunt.
Jak będzie teraz?

ADAM CHAŁUPSKI

MODLITWA MUEZINA JEST JAK BŁAGANIE O CIEŃ. W LABIRYN-
cie glinianych lepiarek ludzie odziani w białe turbany
i galabije biją pokłony ku Mekce. To handlarze wielbłądów,
poszukiwacze złota, najemni żołnierze, uchodźcy z Darfuru,
rolnicy z Gazeery. Dumni potomkowie czarnych faraonów
z królestwa Kermi i ludów nubijskich zjeżdżają dziś tłum-
nie do Chartumu, stolicy Sudanu, szukając ratunku przed
biedą i głodem.

Od połowy grudnia tysiącami wylegają na ulice miasta,
skandując: „Pokój, wolność i sprawiedliwość!”. Chcą ustą-
pienia dyktatora, końca reżimu, praworządności. Kolejne
tygodnie trwają ich starcia z siłami rządowymi. Na ulicach
dantejskie sceny: siwe obłoki gazu łzawiącego, rozproszony
tłum biegnący na oślep, strzały, ktoś pada na ziemię, kolejna
ofiara, jeszcze dziecko. Bilans to jak dotąd kilkudziesięciu za-
bitych, ranni, aresztowani.

Także Omdurman – największe miasto Sudanu, leżące po
zachodniej stronie Nilu, naprzeciw Chartumu, gdzie teraż-
niejszość miesza się z historią – jest sceną ulicznych starć. Ła-
two tu się zgubić. Zimą wiatr wieje z północy, zanoszą tumany
piasku. W powietrzu miesza się zapach prażonej kawy i palo-
nych śmieci. Zwykle panował w mieście gwar: ktoś chciał coś
sprzedać, ktoś chciał pogadać, zewsząd słychać było arabskie
sylaby, folkowe dźwięki strun szarpanej tampere.

Ale dziś ulica wygląda inaczej: dymią palone opony, zamiast
muzyki wyją syreny. Może to zwiastun nowej ery, może apo-
kalipsy... Dociera późniona Arabska Wiosna.

Prawie półtora wieku temu w Omdurmanie stacjonowała
powstańcza armia Mahdiego. Samozwańczy mesjasz i refor-
mator islamu długo zwyciężał: bił na głowę armię egipską



MOHAMED NURELDIN ABDALLAH / REUTERS / FORUM

*Demonstranci
w obłokach
policyjnego gazu
łzawiącego podczas
protestu przeciwko
rządowi prezydenta
Omara al-Baszira.
Chartum,
15 stycznia 2019 r.*

(Sudan należał wtedy do Egiptu, a ten był kolonią brytyjską), a do czasu także Brytyj-
czyków. Gdy zdobył Chartum, zaczęła się
grabież. Brali, co było: framugi okienne,
drzwi, dachówki, latarnie. Z nich bu-
dowano Omdurman. Brytyjski generał
Charles Gordon, obrońca Chartumu, zgi-
nął ścięty, jego głowa zawisła na drzewie.
Za późno z odsieczą przybył lord Kitche-
ner, lecz na koniec pomścił Gordona, wy-
cinając w pień sufickich mahdystów (sam
Mahdi umarł w czasie epidemii).

Kiedys Brytania, dziś Chiny

Jest wiek XXI. Pędzimy dwusuwową rik-
szą przez most, mijamy żywną wyspę Tuti,
która uformowała się w konfluencji Nilu



Białego i Nilu Niebieskiego (ich nurty łączą się właśnie w Chartumie). Riksze do centrum wjeżdżać nie mogą, należy przejść się do taksówki.

Dobijanie targu to nie lada sztuka, szczególnie ostatnio, gdy wszystko podrożało trzykrotnie. Na stacjach benzynowych ciągną się kolejki, banki nie chcą wypłacać pieniędzy. Alkoholu brak, kina zamknięte, nie mówiąc o dyskotekach. Są za to *alshi* – herbaciarnie na otwartym powietrzu. Sudańczycy spędzają w nich dnie, sączą herbatę z miętą lub kawę z kardamonem. Snują sentymentalne wspominki z lat 50. XX w., gdy w sklepach był alkohol, a dziewczyny mogły nosić krótkie spódnice.

Mieszkańcy Chartumu mają w zwyczaju ucinąć sobie długie pogawędki na ulicach. Nikt się nie spieszy, czas nie istnieje. Młodzież snuje się po centrach handlowych, targuje się o chińskie ciuchy, wącha syryjskie perfumy. Na ulicy zebrzą bezdomne, odurzone klejem dzieci. W barze za ponad dolara serwują bób, smażone kurczaki lub rybę, je się palcami.

Śródmiejska część Chartumu powstała pod okiem Kitchenera. Zakładano, że będzie to kondominium dla Brytyjczyków, autochtoni nie mieli tu wstępu. Po Brytyjczykach nie ma dziś śladu, za to Chartum jest nasycony przybyszami z całej Afryki, Bliskiego Wschodu i Chin. Pałac prezydencki to dar od Chińczyków,

wstęgę przecięto w rocznicę ścięcia Gordona. Dalej jest Hala Przyjaźni (też od Chińczyków), tuż obok obła sylwetka hotelu Koryntia, który ufundował libijski dyktator Kaddafi.

Al Souq al Arabi w centrum Chartumu. Okazały meczet świeci przepychem na tle ulicznej nędzy. Ciężka budowla na przeciw to Giełda Złota. Imama meczetu wyprowadzono w kajdankach, handlował walutą. W jego meczecie są kieszonkowcy, kradną telefony drzemiącym wiernym. Mury śródmieścia kryją wiele tajemnic. Znalazły tu azyl wyklęte dusze: artyści i hochsztaplerzy, naciągacze i oszuści. O nienagannych manierach, w turbanach lub pod krawatem, pracują z finezją, ➔

→ zawsze gotowi do niesienia pomocy, uśmiechnięci do czasu, gdy im zaufasz.

Prezydent rządzi, Sudan płacze

W połowie XX w., gdy Sudan wychodził spod protektoratu Wielkiej Brytanii, a 75-letni dziś prezydent Omar al-Baszir był podrostkiem, był to jeden z najbogatszych krajów Afryki. Zdarzało się nawet, że młodzi Sudańczycy jeździli na wycieczki stopem po Europie lub na narty w Alpy.

Al-Baszir, zdrobniale zwany „Bisza”, pochodził z biednej prowincjonalnej rodziny. Jego kolega z podstawówki wspomina, że był małomówny i nijaki. Jedyną cechą szczególną „Biszy” był wybity przedni ząb, którego nigdy nie uzupełnił, by nie zapomnieć o biednym dzieciństwie. Karierę w armii zaczął w wieku 16 lat, studiował na Akademii Wojskowej w Kairze, a potem w Chartumie. Uczestniczył w wojnie Jom Kippur, gdy w październiku 1973 r. Egipt i Syria (wsparte przez inne kraje regionu) starły się z Izraelem.

Do władzy doszedł w 1989 r., jednocząc stronnictwa islamistyczne z armią, dzięki którym dokonał puczu i zdeponizował Sadiga al-Mahdiego (prawnuka tamtego Mahdiego). Był to trzeci we współczesnej historii Sudanu przewrót wojskowy, po którym Koran stał się konstytucją, a Sudan kalifatem, muzułmańskim „państwem bożym”.

Przez kolejne 30 lat rządów Baszira kraj staczał się w coraz głębszy kryzys ekonomiczny, wojny domowe, konflikty etniczne i religijny apartheid (gdzie obywatelami drugiej kategorii byli niemuzułmanie). Dzierżący władzę jako wszechwładny prezydent-autokrata, 80 proc. budżetu „Bisza” przeznaczał na armię, która miała bronić go przed gniewem własnego narodu.

Jak dotąd skutecznie: nie zagroził mu ani rok 1993 (gdy USA wpisały Sudan na listę państw wspierających terroryzm), ani konflikt w Darfurze (trwający od 2003 r.; jego bilans to ok. 300 tys. zabitych i 2 mln uchodźców), ani wojna z buntowniczym Południem (zakończona jego secesją w 2011 r.), ani rok 2009, gdy Międzynarodowy Trybunał Karny wydał za nim list gończy. Ani też protesty tamtej Arabskiej Wiosny, w 2011 r. Ze wszystkiego wychodził obronną ręką.

Za to Sudan łzałwił. Za sprawą nieudolnego gospodarowania stał się jednym z najbardziej skorumpowanych i zadłużonych krajów świata. Secesja Południa

oznaczała utratę 75 proc. złóż ropy. Wpisanie na listę krajów sponsorujących terroryzm oznaczało dwie dekady sankcji. Ale „Bisza” nic sobie nie robił z kryzysu (winił za niego sankcje, USA i Izrael) ani z listów gończych. Z poparciem spieszyły mu takie kraje jak Arabia Saudyjska (też sunnicka) i Chiny.

Afryka a sprawa chińska

Obecność Chin w Afryce jest dziś normą i nie powinno dziwić, że to Chińczycy budują nową stolicę Egiptu. Sekret sukcesu Chińczyków w Afryce jest prosty: nie ingerują w sprawy wewnętrzne (przynajmniej z zasady), są zainteresowani tylko pozyskaniem partnera do biznesu. Obciążony balastem historii Zachód może zapomnieć o przetargach w takich krajach jak Sudan. Wkupując się małymi krokami w łaski władz, Chińczycy sponsorują projekty związane z budową elektrowni, mostów czy budynków reprezentacyjnych.

Wśród sudańskich inżynierów starszej daty są wciąż tacy, którzy pamiętają pierwsze wizyty Chińczyków w Sudanie. Delegacje komunistycznych Chin pojawiały się w Afryce już w latach 50. XX w. Początki nie były łatwe, głównie dla tych Chińczyków, którzy handlowali towaram na ulicy. W latach 60. Chińczycy próbowali reperować (bezsukcesownie) pozostawione przez Brytyjczyków maszyny do przetwarzania bawełny; porażką okazały się też próby wydobywania ropy (zakończone katastrofą ekologiczną).

W tamtych latach Chiny zsyłały do Afryki więźniów z wyrokami śmierci, dając im szansę na zmianę wyroku w zamian za wykonanie ryzykownych zadań (kiedyś obszernie komentowano wypadek na budowie mostu na Nilu: utonął chiński robotnik, a jego koledzy nie chcieli płacić za wyłowienie ciała, gdy okazało się, że nie żyje i nie będzie zdolny do pracy). Dziś zamiast więźniów przyjeżdżają inwestorzy i pożyczkodawcy. Właśnie negocjowany jest kilkudziesięciomiliardowy dług; jego spłata ma polegać na oddaniu Chinom w stuletnią dzierżawę sporej części urodzajnej prowincji Al-Dżazira, w środkowo-wschodnim Sudanie.

Jak do tej pory, Chińczycy wciąż badają grunt pod inwestycje w niestabilnym kraju. Po secesji Południa Pekin koncentruje uwagę także na nowym państwie z powodu ropy. Nie ma wątpliwości, że to

on będzie jej nabywcą – krwawy spór na Południu toczy się o to, komu przypadną zyski.

Rurociąg, który pozwala na transport surowca do morza, prowadzi przez ziemie rządzone nadal przez „Biszę” (plan budowy nowego, przez Kenię, nie wypalił). W efekcie wszyscy zainteresowani siedli do negocjacji: ustalono, że chińskie siły pokojowe powstrzymają konflikt w Sudanie Południowym, a do transportu ropy posłuży stary rurociąg (za co Chartum dostanie prowizję). Bilans korzyści i strat związanych z secesją zaczyna więc układać się na korzyść obu zwaśnionych państw (przynajmniej w teorii), a beneficjentem są też Chiny.

Pekin silniejszy niż Zachód

Tymczasem w Sudanie toczy się spór o to, czy korzenie tradycji kraju są bliższe Bliskiemu Wschodowi, czy raczej Afryce subsaharyjskiej. To w sumie korzystne zjawisko socjologiczne, jeśli spojrzeć na to z perspektywy funduszy zapomogowych, które Chiny płacą Lidze Arabskiej i Unii Afrykańskiej – z obu tych funduszy Sudan ma szansę korzystać.

– Nie sądziłem, że dożyję dnia, gdy Chiny staną się silniejsze niż Zachód – mówi wzruszony widokiem ulotki promującej nowy Jedwabny Szlak ponad 80-letni współtwórca Sudańskiej Partii Islamistycznej Sayyed Ahmed Abdul Rahman Mohamed, który dziś popija herbatkę w przyziemiu Towarzystwa Przyjaźni Arabsko-Chińskiej.

Politycy tacy jak on wpisują się w krąg twórców nurtu islamu, który wyraźnie odgradza się od wersji ekstremistycznej, tj. Al-Kaidy lub tzw. Państwa Islamskiego (tu znanego jako Daesh).

Prezesem Towarzystwa Przyjaźni Arabsko-Chińskiej jest były ambasador Sudanu w Chinach, dr Kamal Hassan Ali. Słynie on z radykalnych poglądów na temat polityki migracyjnej Europy: – Dlaczego Bruksela wyrzuca tyle pieniędzy na ratowanie gospodarki greckiej, kiedy to Afryka potrzebuje ratunku? – pyta zbulwersowany. A słysząc w odpowiedzi, że priorytetem Unii Europejskiej jest wyleczenie własnych ran, ripostuje: – Ale to nasza siła robocza budowała Europę! To naszą krew tam przelano!

„Bisza” i świat

Profesor urbanistyki z Uniwersytetu Chartumskiego dr Seif Sadig twierdzi, że Eu-

ropa nie zamierza inwestować w Afryce, z uwagi na lęk przed posądzeniem o neokolonializm: – Europa woli stawiać swoje figury w administracjach publicznych lub organizacjach pozarządowych, ale to Chiny będą głównym inwestorem w Sudanie – twierdzi.

Podobnego zdania jest holenderski architekt Deen Roggeveen, prowadzący firmę architektoniczną w Chinach. Do Afryki pojechał, by dokumentować wpływ Chin na rozwój miast: – Obecność Europejczyków w Afryce jest dyktowana poczuciem winy – uważa.

W latach 50. XX w., zanim na dobre zaczęły się problemy na Bliskim Wschodzie, Amerykanie funkcjonowali w Sudanie na podobnych zasadach, jak dziś robią to Chiny. Gdy zaczęły się problemy w Izraelu i Palestynie, Amerykanie zabetonowali szyby i zniknęli. Pojawili się znów po zamachach z 11 września 2001 r. i obaleniu irackiego dyktatora Husajna – tym razem ogarnięci obsesją poszukiwania broni chemicznej. Zbombardowano wtedy jedną z fabryk w Chartumie, która okazała się zakładem farmaceutycznym. Domniemany właściciel fabryki – lider Al-Kaidy Osama bin Laden, którego „Bisza” istotnie zaprosił do Sudanu – był powodem ciężkiego do dziś wpisu na listę krajów sponсорujących terroryzm.

Obecnie Stany, zmęczone Bliskim Wschodem, nie wydają się zainteresowane inwestycjami w kolejnym kraju arabskim o wysokim stopniu ryzyka. Ale to nie znaczy, że administracja Donalda Trumpa nie stara się pozyskać w Sudanie strategicznego sojusznika. Przeciwnie: to właśnie zerwanie dialogu politycznego z Koreą Północną było w 2017 r. jednym z nieformalnych warunków zniesienia sankcji ekonomicznych, nałożonych na Sudan z powodu wojny w Darfurze.

O ile dotąd „Biszy” udawało się manewrować dyplomacją tak, by nie stracić władzy, teraz sytuacja osiągnęła masę krytyczną – manifestacje trwają od trzech miesięcy i mogą zagrozić dyktatorowi. Reżim szuka więc sojuszników – i wciąż może liczyć na Rosję, która upatruje korzyści w miejscowych złożach złota i uranu. Wizyta „Biszy” w Moskwie w 2018 r. była kolejnym znakiem, kogo reżim chce mieć dziś za przyjaciół. W czasie trwających teraz demonstracji sensację wzbudziło pojawienie się na ulicach Chartumu mówiących po rosyjsku „zielonych ludzików”, którzy – według ko-

W ciągu 30 lat rządów prezydent Baszir przetrwał liczne bunty, sankcje i wojny domowe. **Jego otoczenie sugeruje, że nie ustąpi także tym razem.**

munikatu wystosowanego przez Kreml – byli jedynie ochroniarzami prywatnej firmy z Rosji.

Niedawna wizyta, jaką „Bisza” złożył w Damaszku, to kolejny czytelny sygnał wysłany przez niego w świat: albo ja, albo druga Syria.

Argument migracyjny

Sudańczycy są gościnni dla emigrantów z krajów Afryki i Bliskiego Wschodu, oraz dalszych, jak tych z Indii, których przodkowie zaludnili Omdurman w czasach brytyjskich. Z przeprowadzonego przez mnie sondażu, na tysiąc osób wchodzących do hipermarketu 30 proc. pochodziło z krajów sąsiednich, 3 proc. to byli Chińczycy, a 0,3 proc. biali.

Podczas gdy bogata Arabia Saudyjska odmówiła przyjmowania Syryjczyków, Sudan – mimo tragicznej sytuacji ekonomicznej – wciąż ochoczo przyjmuje pod strzechę uchodźców z krajów ogarniętych wojną i głodem. To pomoc tymczasowa. I dla Sudańczyków, dla których migranci to tania siła robocza, i dla samych migrantów jest oczywiste, że kryzys w Sudanie prędzej lub później zmusi wszystkich do (dalszej) emigracji.

Co chwilę słychać o kimś, kto zginął w czasie przeprawy przez Pustynię Libijską lub utonął w Morzu Śródziemnym. Wielu z tych, którzy już nie wrócą, pochodziło ze średnio zamożnych rodzin, otrzymali edukację i zawód, a do niebezpiecznej tułaczki namówili ich inni.

Podobny zryw towarzyszył w ostatnich latach tym, którzy ulegali romantycznej pokusie wstąpienia do tzw. Państwa Islamskiego, w którym upatrywano powrotu do źródeł islamu. Celująca w młodych ludzi propaganda Daesh była na tyle przekonująca, że z uniwersytetów znikali najlepsi studenci, a o ich losach rodzina dowiadywała się dopiero po ich śmierci lub nigdy. Istotnym w kontekście „umocowania” Sudanu w układzie geopolitycznym Bliskiego Wschodu jest fakt, że kraj ten tzw.

Państwo Islamskie uznało za kalifat. To jeden z powodów, dla których nigdy nie stał się on celem ataków jego bojowników.

I Europa, i „Bisza” zdają sobie sprawę, że Arabska Wiosna w Sudanie wzbudzi potężną falę emigracji nie tylko Sudańczyków, ale też wszystkich tymczasowych rezydentów tranzytowych, w tym Syryjczyków. Korytarz migracji na północ przebiega przez zachodni Sudan, świadkowie obserwowali tam sznury ciężarówek pełnych ludzi zmierzających ku Libii. Kontrola nad tym korytarzem to mocna karta, dzięki której Europa musi prowadzić dialog z „Biszą”, niekoniecznie pozwalając, by podzielił los Kadafiego z Libii.

Bliski doradca prezydenta Sudanu tłumaczył w wywiadzie, że Baszir nie ustąpi, bo ma „lwa na ogonie” pod postacią wrogów politycznych, niechęci społeczeństwa i listów gończych za zbrodnie przeciw ludzkości.

Tańcząc na trupach

W całym tym chaotycznym systemie naczyń połączonych, „Bisza” zdaje się nie tracić poczucia humoru: tańczy z uśmiechem, wymachując tradycyjnym drewnianym mieczem. A może to tylko gra pozorów? Jak kameleon przywdziewa on coraz to inną garderobę: raz tradycyjną białą galabiję, innym razem bogato dekorowany mundur, wojskowy lub policyjny.

Czy zatem dziś, gdy strajkuje już także większość sudańskich związkowców (ze związków branżowych), domagając się jego ustąpienia, ten krnąbrny despot odważy się wygłosić kolejną populistyczną paplaninę, w której arbitralnym tonem obwini za masakrę cywilów obce siły i wrogów islamu? Jakże szaty wdzieje, przyparty do muru przez wykończoną jego rządami ludność? Czy będzie to burka, w której Muबारak chciał wymknąć się demonstrantom w Egipcie? Czy może uniform bezwzględного tyrańa jak Asad, którego żelazna pięść zdusiła bunt w Syrii?

Historia tego regionu sugeruje, że scenariuszy może być kilka. Ale, jak mówią, historia nie lubi się powtarzać.

© ADAM CHAŁUPSKI

Autor jest architektem, ostatnie dwa lata spędził w Afryce, głównie w Chartumie, gdzie stworzył centrum designu i prowadził zajęcia dla studentów architektury. Wydał kilka książek o tematyce związanej z architekturą, podróżami i kulturą. Zajmuje się wpływem Chin na przemiany w urbanistyce Afryki Wschodniej i Europy.

Polak w sercu sporu o Papuę

TOMASZ AUGUSTYNIAK

Globtroter z Olsztyna, oskarżony o próbę udziału w zamachu stanu w odległej indonezyjskiej prowincji, jest sądzony w precedensowej sprawie. W tle mamy konflikt o bogactwa naturalne i papuaską niepodległość.

PAPUĘ – NAJWIĘKSZĄ I NAJBARDZIEJ wysuniętą na wschód prowincję Indonezji – dzieli od Dżakarty (stolicy kraju) prawie 4 tys. km, ponad pięć godzin lotu i dwie strefy czasowe. To istotna dla całej historii informacja. Podobnie jak to, że Latifah Anum Siregar – indonezyjska prawniczka i obrończyni praw człowieka – mieszka w regionalnej stolicy, Jayapurze. Żeby spotkać się ze swoim klientem, musi pokonać samolotem ponad 250 km nad gęstą dżunglą, bo miasta Wamena, w którym toczy się proces, nie łączą z Jayapurą żadne drogi.

Klientem, o którym mowa, jest polski turysta Jakub Skrzypski. Kiedy aresztowano go w sierpniu, podróżował po Papui po raz pierwszy w życiu. Teraz może zostać pierwszym obcokrajowcem skazanym za pomoc tamtejszym separatystom.

Ekstremalny turysta

Pochodzący z Olsztyna Polak ostatnio pracował jako robotnik fabryczny w Szwajcarii i tak zebrał środki na wyprawę. Podróżował od kilkunastu lat, do wielu krajów. W mediach społecznościowych zamieszczał zdjęcia z Armenii i Mołdawii. Znajomi mówią, że był też w Birmie i Iraku, wszędzie starając się dowiedzieć jak najwięcej o miejscowej kulturze, historii i dostrzec do związanych z nimi miejsc. W Indonezji był wiele razy, a niedługo przed zatrzymaniem chwalił się znajomym fotografiami z sąsiedniej Papui-Nowej Gwinei.

Do Wameny, prowincjonalnego górskiego miasteczka, trafił w sierpniu. Nie wiadomo dokładnie, co tam robił. Jego przyjaciele utrzymują, że był na wyprawie kulturoznawczej. Policjanci twierdzą co innego: myśląc początkowo, że Skrzypski jest dziennikarzem, zatrzymali go ra-

zem z trzema miejscowymi. Część z zatrzymanych miała przy sobie – według policji – amunicję. Podróżnika oskarżono o przystąpienie do separatystycznej Narodowej Armii Wyzwolenia Papui Zachodniej – grupy uznawanej przez Indonezję za terrorystyczną, należącej do szerszego Ruchu Wyzwolenia Papui (Organisasi Papua Merdeka, OPM).

Wojsko i policja twierdzą, że Polak od dawna był w kontakcie z rebeliantami i zamierzał dotrzeć do ich obozu. Rzecznik policji Ahmad Mustofa Kamal powiedział indonezyjskim mediom, że Skrzypski w sieci wyrażał poparcie dla zbrojnego ruchu niepodległościowego Papui, że jest handlarzem broni, a z jednym z liderów separatystów mieszkającym w Nowej Gwinei miał rozmawiać o dostarczaniu jej bojownikom. Jednym z dowodów były zdjęcia z Facebooka zrobione na szwajcarskiej strzelnicy.

Ostatecznie wraz ze studentem Simonem Magalem oskarżono go o udział w antyrządowym spisku i postawiono mu – często w takich sprawach używany – zarzut zdrady. Obu grozi dożywocie lub wieloletnie więzienie.

Papuaski separatyzm

Jakub Skrzypski pojawił się w regionie w chwili, gdy trwała kolejna eskalacja toczącego się od kilkudziesięciu lat papuaskiego konfliktu.

W 1963 r. Indonezja przejęła zachodnią część wyspy Nowa Gwinea, należąca wcześniej do Holandii. Po siedmiu latach władze zorganizowały tam referendum, w wyniku którego Dżakarta przejęła terytorium na stałe, tworząc tam dwie prowincje – Papua i Papua Zachodnia. Choć referendum było powszechnie krytykowane za manipulacje i brak demokratycz-

nych standardów, to dzięki poparciu USA i Australii ONZ uznała je za ważne. Wielu Papuasów zaczęło postrzegać indonezyjską obecność jako okupację. Niektórzy sięgnęli po broń.

Od tamtej pory na wyspie tli się zbrojny konflikt, w którym giną zarówno indonezyjscy policjanci i żołnierze, jak też papuascy partyzanci. Organizacje broniące praw człowieka oskarżają indonezyjskie władze o uprowadzenia i tortury Papuasów, a także o nielegalne odbieranie im ziemi.

W tle sporu są bogate zasoby naturalne prowincji: wartość dziesiątki miliardów dolarów złoża złota, miedzi i srebra, a także odnaleziony u wybrzeży Papui gaz ziemny. Oprócz tego Indonezja czerpie zyski z licencji na wycinkę lasów i pozyskiwanie oleju palmowego. Udziały w eksploatacji tych bogactw mają choćby Wielka Brytania, Chiny, Japonia, Australia i USA.

Papuascy bojownicy wielokrotnie atakowali gigantyczną kopalnię Grasberg i pracowników zarządzającej nią amerykańskiej firmy górniczej Freeport-McMORan, którą uważają za współodpowiedzialną aneksji. W zasadzkach od kilkunastu lat ginęli pracownicy firmy.

Konflikt zaognił się ponad rok temu, gdy partyzanci zajęli kilka wsi niedaleko rozbudowywanej właśnie kopalni. W starciach zginęło co najmniej kilku bojowników i żołnierzy. W październiku 2018 r. indonezyjskie media donosiły o grupie nauczycieli i lekarzy, których separatysty przez dwa tygodnie trzymali jako zakładników. W grudniu Narodowa Armia Wyzwolenia Papui Zachodniej przyznała się do dokonania masakry ponad 20 robotników, którzy budowali w okolicy drogi i mosty.

Listy z celi

Zainteresowany kontrowersyjną papuaską walką o niepodległość, polski podróżnik musiał znać sytuację. W listach, które pisze teraz z celi, podkreśla, że region od dawna go ciekawił, zwłaszcza że w Europie mało kto o nim słyszał.

Prawniczka Latifah Anum Siregar przyznaje w rozmowie z „Tygodnikiem”, że Skrzypski miał kontakty z separatystami. Miał go z nimi skontaktować znajomy w Polsce. Ale, jak dodaje, chciał tylko dowiedzieć się od nich więcej o historii i kulturze Papui, o żadnej współpracy nie ma mowy. Prawniczka znalazła w akcie oskarżenia sporo nieścisłości i zakwestionowała świadków, z których wielu to funkcyj-



Jakub Skrzypski prowadzony do sądu w Wamenie, gdzie toczy się jego proces. 17 grudnia 2018 r.

riusze: – Całe oskarżenie jest oparte na nikłych dowodach. Wszystko zależy teraz od naszej argumentacji – mówi Latifah Siregar.

Jak to się stało, że osoba taka jak Skrzypski, z dużym podróżniczym doświadczeniem, postąpiła tak nieroztropnie? Joe Cochrane, korespondent „New York Timesa”, który od lat mieszka w Dżakarcie, wyjaśnia, że w tej sprawie największe znaczenie może mieć kontekst: – To, co w Papui jest dozwolone, a co nie, zależy od aktualnej sytuacji politycznej. To region, na punkcie którego zarówno wojskowi, jak i wywiad są bardzo czuli – mówi „Tygodnikowi”. Papua jest bardzo zmilitaryzowana: prócz armii działają tam paramilitarne oddziały policji, wojska terytorialne i trwa wzmożona obserwacja. Kiedy konflikt z separatystami przybiera na sile, reguły gry ulegają zmianie i wiedza, którą można było zdobyć wcześniej, staje się nieaktualna.

W 2018 r. przekonała się o tym Rebecca Henschke, akredytowana w Dżakarcie korespondentka BBC: choć miała prawo przyjazdu i zna świetnie miejscowy język, przez wiele godzin była przesłuchiwana na lotnisku, a w końcu odesłana z powrotem do stolicy. Wcześniej kilka miesięcy w areszcie spędziła para francuskich dziennikarzy.

Polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych potwierdza, że dyplomaci są w kontakcie z adwokatką Skrzypskiego, a także z indonezyjskim MSZ i prokuraturą. Minister Jacek Czaputowicz poruszył sprawę podczas spotkania z panią minister spraw zagranicznych Indonezji, którą poprosił o zagwarantowanie oskarżonemu dostępu konsula, sprawiedliwe traktowanie i uczciwy proces.

Ten zaś, zdaniem prawniczki, może potrwać 2-3 miesiące. Jak mówi „Tygodnikowi” Latifah Siregar, polski konsul Jakub Janas rzeczywiście polecił do Jayapury,

kiedy Skrzypski był tam przetrzymywany, ale później, w listopadzie, przeniesiono go do trudno dostępnej Wameny.

Jej niepokój budzą więzienne warunki: podróżnik przebywa w wieloosobowej, wilgotnej, źle oświetlonej celi i dostaje tylko jeden posiłek dziennie. Dodaje, że list polskiego konsula do prokuratury w sprawie warunków uwięzienia pozostał bez odpowiedzi. Listowne relacje Skrzypskiego prawniczka czyta co kilka dni. W ostatniej, datowanej na początek lutego, turysta skarży się, że został pobity przez funkcjonariuszy specjalnej policji. Pisze, że obawia się o swoje bezpieczeństwo.

Uratować obywatela

Dwie organizacje broniące praw człowieka w Indonezji stwierdziły w oświadczeniu, że działania Skrzypskiego uważają za niefortunne i nieodpowiedzialne, ale jego motyw są ich zdaniem idealistyczne i należałoby mu przypisywać raczej naiwność niż kryminalne plany.

Jak mu pomóc? Zastrzegający anonimowość były polski dyplomata w Indonezji nie ma wątpliwości: – Zadaniem konsula jest maksymalna poprawa jego warunków bytowych. Powinien tam osobiście polecić i umiejętnie porozmawiać z wojskowymi i policją. To bardzo ważne ze względu na kulturowych – mówi.

Pieniądze na obsługę prawną, w sumie ok. 28 tys. złotych, zebrali przyjaciele i rodzina, ale obrona powinna korzystać z materiałów i wiedzy zgromadzonych przez polskie służby. – Wszystko zależy od tego, co wiedzą o działalności tego człowieka. Może warto na nim wymóc podpisanie oświadczenia, że był nieświadomy sytuacji – doradza polski dyplomata.

Ale sprawa pomocy separatystom jest wyjątkowo delikatna. Joe Cochrane z „New York Timesa”: – Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że jeśli będzie miał szczęście, a policja nie ma prawdziwych dowodów, to zostanie osądzony, skazany i w końcu deportowany. Chyba że rzeczywiście złapano go na gorącym uczynku. Wtedy sytuacja będzie poważniejsza.

Podobną diagnozę stawia polski dyplomata. – Jeśli miał tylko kontakty z separatystami, można go wybronić. Ale potwierdzony zamiar dostarczenia broni to zagrożenie dla integralności kraju – mówi. A na razie dyplomacja powinna udzielić prawnikom niezbędnej pomocy: – Trzeba po prostu człowieka ratować. ©



MURAT KULA / ANADOLU AGENCY / GETTY IMAGES

Prezydent Turcji Recep Tayyip Erdoğan (czwarty od prawej) i prezydent Mołdawii Igor Dodon (drugi z prawej) oraz gubernator autonomicznego regionu Gagauzji Irina Vlah oglądają projekt kompleksu edukacyjnego w miejscowości Komrat w Gagauzji, październik 2018 r.

Kusząca wizja nowej „trzeciej drogi”

PIOTR OLEKSY

Popularność konserwatywnego populizmu charakteryzuje dziś całą Europę, również Rumunię, Bułgarię i Mołdawię. Specyfika tych krajów pozwala lepiej zrozumieć zmiany na całym kontynencie.

DO NIEDAWNA SYTUACJĘ W EUROPIE Środkowej, Wschodniej i na Bałkanach analizowaliśmy na osi Zachód–Rosja. Kraje regionu stały przed wyborem: albo integracja z UE i NATO, albo ze strukturami tworzonymi przez Rosję.

Dziś ten postzimnowojenny ład przemija, a odpowiedzi na pytanie o miejsce jakiegoś kraju należy szukać w nastawieniu rządzących do kilku kwestii, które jeszcze niedawno nazywaliśmy wspólnymi wartościami. Dla polityki w regionie zaczyna się czas nowej „wielowektorowości”. Zyskuje na tym Rosja, tracą obywatele.

Przykładem tej zmiany może być Mołdawia. Ludność tego małego posowieckiego

państwa jest rozdarta w kwestii cywilizacyjnego wyboru, a nawet tożsamości narodowej. Elicie udało się stworzyć system władzy, który opiera się na tym rozdarcu.

Użyteczne szaty konserwatyzmu

W swej 27-letniej historii Mołdawia dokonywała już kilku geopolitycznych zwrotów. Po 2009 r. była postrzegana jako prymus integracji europejskiej. Później entuzjazm opadł, ze względu na wielkie skandale finansowe, brak reform i zawłaszczenie państwa przez Vładę Plahotniucę (oligarchę i szefa partii rządzącej), choć obóz władzy wciąż przedstawiał się jako proeuropejski.

Tymczasem w październiku 2018 r. Plahotniuc oznajmił, że obiera nowy kurs: już nie proeuropejski, prorosyjski czy prorumuński, lecz – promołdawski.

Ta zmiana (na razie retoryki) została wymuszona ostrą reakcją Komisji Europejskiej na coraz jawniejsze łamanie zasad demokracji. Jak wtedy, gdy w czerwcu 2018 r. wybory burmistrza stołecznego Kiszyniowa wygrał lider proeuropejskiej opozycji Andrei Năstase. Obóz władzy zdecydował się wtedy na bezpardonowy krok: podporządkowany Plahotniucowi Sąd Najwyższy unieważnił wybory. W odpowiedzi Unia wstrzymała dotacje, a w relacjach z Mołdawią zapanował chłód. Plahotniuc pewnie spodziewał się takiej reakcji, ale zachowanie pełni władzy było dla niego ważniejsze.

Jak dotąd idea „promołdawskości” oznacza dystansowanie się do Unii i „eurokratów”, czemu przeciwstawia się „prostego człowieka”. Dofinansowanie przedszkoli, budowa dróg i walka z biedą są dla nas ważniejsze niż wydumane reguły narzucone przez Unię – tak nową koncepcję Plahotniuc tłumaczą politycy jego partii i przychylne mu media, podkreślając przy tym, że Mołdawia wciąż jest proeuropejska. W efekcie Mołdawianie otrzymali własną wersję populistycznego konserwatyzmu, podszytego tanim patriotyzmem.

Jeszcze niedawno zrujnowanie relacji z Unią oznaczałoby zwrócenie się ku Rosji. Ale ponieważ Europa wciąż daje więcej możliwości, elity – nie tylko mołdawskie – szukają „trzeciej drogi”. Rzecz charakterystyczna: postawy antyunijne i antyliberalne zyskują popularność po obu stronach dawnej osi geopolitycznej.

Nowe pytania

Od pytań o stosunek do Rosji lub Zachodu ważniejsze stają się więc te z pozoru ze sobą niezwiązane. Jak jest miejsce wymiaru sprawiedliwości w państwie? Czy ważniejsze są rządy prawa, czy „wola ludu” artykułowana przez lidera, który wygrał wybory? Jak chronić prawa kobiet? Jak jest miejsce homoseksualistów w społeczeństwie? I w końcu, choć zabrzmi to może zabawnie: jaką rolę w świecie odgrywa George Soros, milioner z USA wspierający liberalną demokrację?

W tym kontekście warto zwrócić uwagę również na zjawiska zachodzące od kilku lat w dwóch państwach unijnych: Rumunii i Bułgarii.

W Rumunii silne jest przeświadczenie o przynależności do kultury Zachodu; równie silny jest też wizerunek kraju jako filaru zachodniego systemu bezpieczeństwa (działa tu m.in. baza USA, element „parasola” antyrakietowego). Łączy się to z dystansem, a nawet wrogością do Rosji.

U południowego sąsiada Rumunów wygląda to odwrotnie. Dla Bułgarów to Rosja była kiedyś siłą dającą nadzieję na wyjście spod władzy tureckiej; bliskie relacje łączyły też Sofię ze Związkiem Sowieckim. A po wejściu kraju do NATO i Unii był on postrzegany jako kulturowo najbliższy i politycznie najbardziej przychylny Rosji. Pozytywny stosunek do Moskwy był jednym z motorów kampanii wyborczej obecnego prezydenta Rumena Radewa.

Korupcja i temida

Ale przy wszystkich różnicach oba kraje wiele dziś łączy: wspólnym problemem jest korupcja i kwestia niezależności wymiaru sprawiedliwości.

Rumunia i Bułgaria weszły do Unii, choć nie spełniały kryteriów w obu dziedzinach. Od początku były objęte przez Komisję Europejską tzw. mechanizmem współpracy i weryfikacji. O ile Rumunia szybko zaczęła walkę z korupcją (co doprowadziło do licznych aresztowań polityków), o tyle Bułgaria nie zrobiła tu nic. W Indeksie Percepcji Korupcji z 2017 r.,

sporządzanym przez Transparency International, Rumunia znalazła się więc na 59. miejscu (wyprzedzając Polskę o jedną pozycję), a Bułgaria na miejscu 71. (zamykając stawkę państw unijnych).

Sukces w walce z korupcją podważył jednak wpływy rumuńskiej elity, zwłaszcza tej związanej z postkomunistyczną Partią Socjaldemokratyczną (PSD). W ostatnim roku rząd PSD doprowadził więc do dymisji szefowej miejscowego urzędu antykorupcyjnego, postrzeganej jako gwarancja walki z patologiami. PSD zaczęła też majstrować przy kodeksie karnym, by złagodzić wyroki za korupcję (beneficjentem byłby lider tej partii Liviu Dragnea, który z powodu prawomocnego wyroku nie może być premierem), oraz zmieniła system kontroli prokuratorów. Wszystko razem spowodowało protesty społeczne, kilkukrotną zmianę rządu (trzech premierów od stycznia 2017 r.) i spór z Unią.

W Bułgarii problemy z trójpodziałem władzy nie wynikają ze zderzenia obozu rządzącego z wymiarem sprawiedliwości, gdyż ten ostatni i tak jest upolityczniony – od czasów komunizmu. Ogromną władzę ma prokurator generalny. Mianowanie na to stanowisko wiernego sobie człowieka daje wielkie możliwości uciszania niewygodnych mediów, działaczy społecznych i sędziów. Komisja Wenecka – instytucja znana też w Bułgarii – od lat zwraca uwagę, że taki model prokuratury jest źródłem korupcji i szantaży politycznych.

Mimo to kraj nie jest pod lupą Komisji, co może wynikać z dwóch przyczyn. Premier Bojko Borisow zrećcznie prezentuje się jako euroentuzjasta i unika zadrażnień z Brukselą, Berlinem czy Paryżem. Zaakceptował unijne „kwoty” uchodźców, czym zyskał sympatię przewodniczącego Komisji Jeana-Claude’a Junckera; jest też sojusznikiem Angeli Merkel w polityce wobec Bałkanów. Po drugie, długo panowało przekonanie, że zachodnia krytyka to woda na młyn dla sił prorosyjskich w Bułgarii – stąd starano się jej unikać.

Gender jak znalazł

W 2018 r. przez oba państwa przetoczyły się debaty światopoglądowe, animowane – przy poparciu władz – przez środowiska konserwatywne. W Bułgarii debata dotyczyła zgodności konwencji o zapobieganiu i zwalczaniu przemocy wobec kobiet i przemocy domowej (tzw. Konwencja Stambulska) z konstytucją, w Rumunii zaś kwestii małżeństw jedнопłciowych.

Radosveta Vassileva, badaczka z University College w Londynie, zwraca uwagę w artykule dla „New Eastern Europe”, że w obu przypadkach kwestie te pojawiły się nagle, bez wyraźnych przesłanek. Vassileva twierdzi, że były to wygodne tematy zastępcze, które miały odwrócić uwagę społeczeństwa od problemów z korupcją i praworządnością oraz od konfliktu z Unią, a przy tym przyciągnąć sympatię elektoratu konserwatywnego i patriarchalnego.

Faktycznie, Bułgaria przyjęła Konwencję Stambulską w 2016 r., a dopiero dwa lata później 75 posłów partii rządzącej zwróciło się z zapytaniem do Sądu Konstytucyjnego o jej zgodność z ustawą zasadniczą. Przy okazji w mediach ruszyła kampania, w której krytkowano Konwencję za „wprowadzanie ideologii gender”.

Także w Rumunii odwołano się do konstytucji: ponieważ nie definiuje ona małżeństwa jako związku mężczyzny i kobiety, środowiska konserwatywne – często związane z Cerkwią prawosławną (należy do niej większość Rumunów) – od dłuższego czasu żądają wprowadzenia takiego zapisu. Grupa organizacji pozarządowych zaczęła procedurę organizacji referendum w tej sprawie w 2015 r.

We wrześniu 2018 r. niespodziewanie ogłoszono, że zostanie ono zorganizowane w trybie nadzwyczajnym i odbędzie się już w październiku. Na głosowanie przeznaczono dwa dni, a próg frekwencji obniżono do 30 proc. Intensywna kampania, w którą zaangażowała się Cerkiew, przebiegała pod absurdalnym hasłem „Ratujmy nasze dzieci”. Jednak, koniec końców, referendum okazało się nieważne – nie przyciągnęło wymaganej liczby obywateli.

„Liberalni biurokraci” kontra „nasz naród”

W sporze z Komisją Europejską rumuński obóz rządowy długo stosował koncyliacyjny ton, co mogło wynikać z przeświadczenia o silnej proeuropejskości społeczeństwa. Zaczęło się to zmieniać latem 2018 r. Zarówno lider socjalistycznej PSD Dragnea, jak też posłuszna mu premier Viorica Dăncilă zaczęli mówić, że bronią interesów rumuńskiego obywatela w Brukseli. W podtekście: że to unijni biurokraci zagrażają tym interesom. W tym samym czasie w mediach przychylnych rządowi nabrała mocy narracja „patriotyczna” i „konserwatywna”, skierowana przeciw środowiskom liberalnym. W sierpniu 2018 r. Dragnea oznajmił, że ➔

→ szykowano zamach na jego życie. Usłużni komentatorzy sugerowali, że za zamachem stał nie kto inny, tylko Soros...

Z kolei choć bułgarski premier Bojko Borisow stara się zachować jak najlepsze relacje z Unią, to od kilku lat w miejscowych mediach nasila się antyliberalny ton. Warto dodać, że większość mediów skoncentrowana jest w rękach jednego oligarchy: Delan Peewski kontroluje aż 80 proc. mediów drukowanych. Jego gazety, które zwykle wspierają rząd w zasadniczych kwestiach, pozwalały sobie na pluralizm w sprawach światopoglądowych. Dziś nasila się w nich retoryka antyzachodnia, antynatowska i antyliberalna. Badacze Milena Iakimova i Dimitar Vatsov wyliczyli, że w latach 2013-16 liczba publikacji o charakterze antyunijnym wzrosła ze 109 do 1841, a antynatowskim z 69 do 2361 rocznie.

Turcja: patron zastępczy

Kto za granicą zyskuje na opisywanym zjawisku? Głównie Turcja i Rosja. Ta pierwsza realizuje wizję odbudowy osmańskiej strefy wpływów w Europie, druga zyskuje zwłaszcza na rozbijaniu jedności Unii i liberalnego ładu międzynarodowego (z perspektywy Kremla „liberalny” oznacza tyle co „poddany dyktatowi USA”). Co ciekawe, Ankara korzysta w dużej mierze z geopolitycznego „splamienia” Moskwy.

Wróćmy w tym miejscu do Mołdawii. Krótka po tym, jak Komisja Europejska wstrzymała wsparcie finansowe, mołdawskie służby wydały ośmiu nauczycieli z tureckich liceów (20 tys. obywateli Mołdawii to muzułmanie), finansowanych przez Fethullaha Gülena – tego, którego prezydent Erdoğan oskarża o organizację puczu w 2016 r. Kooperacja w ramach walki z „gülenistami” jest dziś warunkiem współpracy Turcji z innymi państwami. I oto kilka tygodni później Erdoğan pojechał do Kiszyniowa z długo oczekiwaną wizytą. Sułtańskie przyjęcie, jakie zgotowali mu mołdawscy liderzy, zaowocowało sutymi kontraktami i obietnicą inwestycji.

Mołdawski rząd, który od lat prezentował się jako proeuropejski i antyrosyjski, nie może pozwolić sobie teraz na zwrot o 180 stopni. Zwłaszcza że zbliżenie z Rosją nie jest w interesie mołdawskiej elity, która dba o swoje interesy i samodzielność na własnym podwórku. Turcja jest więc wygodnym patronem zastępczym, który umożliwia politykę balansu: nie budzi ta-

Ukraina, Serbia i Macedonia wciąż stawiają na Zachód.

Czy scenariusz mołdawski – nowa „wielowektorowość” – może się tam powtórzyć?

kich emocji w społeczeństwie jak Rosja, jako członek NATO pozwala zachować strategiczne relacje z USA, a zarazem jest postrzegana jako państwo współpracujące z Moskwą (tu ukłon w stronę środowisk prorosyjskich). Wprawdzie to Rosja ogłosiła się kilka lat temu liderem konserwatywnego świata i to jej media dostarczają antyzachodnich i antyliberalnych treści na użytek lokalnych graczy, ale to Erdoğan jest jedynym światowym liderem, z którym wspólnie mogą się spotykać premier Pavel Filip (formalnie proeuropejski) i prezydent Igor Dodon (formalnie prorosyjski).

Warto zwrócić uwagę, że Bułgaria wydała nauczycieli ze szkół Gülena już w 2016 r., a współpraca gospodarcza Sofii z Ankarą rozwija się świetnie, mimo zaszłości historycznych. Podobny model współpracy widać w wielu bałkańskich krajach.

Kto winien, kto ofiarą

Wzrost popularności konserwatywnego populizmu charakteryzuje dziś całą Europę i opisane tu procesy są częścią większej całości. Ale w Mołdawii, Rumunii i Bułgarii – leżących w regionie ważnym geopolitycznie, po dwóch stronach unijnej granicy – zjawisko to ma swoją specyfikę, która pozwala chyba lepiej pojąć procesy zmieniające cały nasz europejski świat. Jakie prawidłowości zatem widzimy?

Po pierwsze, autorami antyliberalnego zwrotu są lokalne elity polityczno-biznesowe, które chcą zachować władzę. Do tego potrzebują legitymizacji. Przez lata to dyskurs europejski był dla tych trzech społeczeństw najbardziej wiarygodną obietnicą lepszego jutra. Ale on się wyczerpał lub właśnie wyczerpuje. Wynika to z kryzysu idei integracji w samej Wspólnocie, jak też z braku dalszej możliwości wyciągania brukselskich pieniędzy na pozorowane reformy. Lokalne elity szukają więc nowych legitymizacji i patronów. Aktywność Turcji, a także konserwatywno-populistyczny zwrot w państwach Unii (jak

Węgry, Włochy, Austria, Polska) daje tu duże możliwości.

Po drugie, winna tej sytuacji jest w dużej mierze sama Unia, która tolerowała odstępstwa od swych zasad. Tak należy rozumieć również przyjęcie Bułgarii i Rumunii do Wspólnoty i wspieranie oligarchicznego reżimu w Mołdawii. Można powiedzieć, że moment dopominania się o przestrzeganie wspólnych zasad przyszedł za późno (lub wcale, jak w Bułgarii). Społeczeństwa regionu czują się rozczarowane europejskim projektem lub wręcz wykorzystane – i przez miejscowych oligarchów, i europejską elitę. Dlatego stabilności i szans na rozwój szukają gdzie indziej.

Narracja Kremla, prezent Erdoğan

Niestety, to nie koniec możliwych konsekwencji. Po trzecie więc, beneficjentem tego procesu – jeśli utrzyma on swą dynamikę – będzie też Rosja. Kremlowska propaganda od paru lat nie stawia już na promocję własnej wizji geopolitycznej (jest mało atrakcyjna), lecz na podważanie jedności i zasad Zachodu. W rosyjskiej *soft power* przekaz „Jesteśmy najlepsi, chodźcie z nami!” zszedł na drugi plan wobec przekazu „Liberalne elity was wykorzystują!”. Brak jedności między krajami Zachodu – a zwłaszcza między społeczeństwami i tradycyjnymi elitami – pozwala Kremlowi na ekspansję polityczną, surowcową, gospodarczą i (niekiedy) terytorialną.

Po czwarte, ofiarami tej tendencji będą przede wszystkim społeczeństwa tych trzech krajów. Wprawdzie tureckie inwestycje i współpraca gospodarcza z Rosją mogą przynieść chwilowo wzrost poziomu życia. Ale społeczeństwa będą tracić swą podmiotowość, a ich uzależnienie od systemu oligarchicznego będzie się pogłębiać. Podczas wizyty w Kiszyniowie Erdoğan przekazał mołdawskim władzom w darze dwa wozy bojowe, służące do rożniania demonstracji...

Po piąte wreszcie: warto się zastanowić, czy mołdawski scenariusz nie powtórzy się wkrótce w innych państwach regionu, które obecnie wciąż stawiają na zbliżenie z Zachodem. Mowa o Ukrainie, ale też Macedonii. Albo o zawsze dwuznacznej geopolitycznie Serbii.

© PIOTR OLEKSY

Autor jest specjalistą ds. Europy Środkowej i Wschodniej, pracuje na UAM w Poznaniu. Autor książki „Naddniestrze. Terror tożsamości”, stały współpracownik „TP”.

OD NIEPODLEGŁOŚCI DO NIEPODLEGŁOŚCI

Białystok 1919-2019

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**DODATEK
SPECJALNY**
„TP” 07/2019





Msza polowa na Rynku Kościuszki z okazji wejścia wojsk polskich do Białegostoku, 22 lutego 1919 r.

Sto lat niepodległości Białegostoku

TOMASZ TARGAŃSKI

Burzliwy wiek XX raz za razem wyznaczał mu rolę miasta przesiedlanego i zasiedlanego, okupowanego i wyzwalanego, wielonarodowego, a zarazem swoiście polskiego.

Dzień uroczystych „zaślubin” Białegostoku z II Rzeczpospolitą przypadł na niedzielę 22 lutego 1919 r. Na Rynku Kościuszki stały się rzesze mieszkańców, by powitać defilujące pułki Wojska Polskiego. W ślad za żołnierzami maszerowały poczty sztandarowe cechów rzemieślniczych, członkowie białostockiej Ochotniczej Straży Ogniowej i uczniowie.

Towarzyszące tamtym wydarzeniom uniesienie wspominał „Dziennik Białostocki”: „Jako prąd elektryczny przeleciał przez tłum, który drgnął, zakołysał się, czapki i kapelusze poleciały w powietrze, a z piersi wyrwały się okrzyki: Niech żyje Polska!”. Wszystko zwieńczyła msza odprawiona przed kościołem farnym, przy-

ozdobionym tego dnia w białoczerwone barwy.

Tak skończyła się wojna światowa i uciążliwa okupacja niemiecka, a rozpoczynały rządy niepodległej Rzeczypospolitej.

Białostocka mozaika

W 1918 r., u progu nowej epoki, Białostok był miastem czterech wyznań: większość ówczesnych mieszkańców (ponad 53 proc.) stanowili Żydzi, katolików było nieco mniej (ok. 40 proc.), liczebność ewangelików i prawosławnych zaś przedstawiała się na poziomie odpowiednio 3,3 proc. i 2,9 proc. Narodowościowa mozaika znajdowała odzwierciedlenie w składzie Tymczasowego Komitetu Miejskiego

– ciała utworzonego jeszcze za czasów okupacji niemieckiej; w jego skład wchodziło ośmiu Żydów, sześciu Polaków, Rosjanin i Niemiec.

Po przejęciu władzy przez Polaków, na stanowisko miejskiego komisarza delegowano Ignacego Mrozowskiego. Do czasu mianowania nowych władz musiał on znaleźć z Komitetem wspólny język. W kwestii podziału stanowisk w administracji przyjęto zasadę, że połowę ogólnej liczby pracowników magistratu stanowić mają Polacy, resztę zaś inne narodowości. Obrady miały odbywać się w języku polskim, wszystkie ogłoszenia również publikowano po polsku, ale z jednoczesnym tłumaczeniem na inne języki miejskowe.

Pierwsze miesiące niepodległości wypełniały przede wszystkim starania o zapewnienie ludności miasta odpowiedniej aprowizacji. Poza tym głównym celem cywilnej administracji było nadanie mu bardziej polskiego charakteru. Podczas pierwszych wyborów do Rady Miejskiej władze centralne chciały zapewnić Polakom większość w miejscowym samorządzie. Aby tak się stało, na mocy decyzji komisarza z 10 maja 1919 r. obszar miasta został powiększony przez przyłączenie doń okolicznych wiosek i leśnisk, zamieszkałych w przeważającej większości przez Polaków. Zmiany te spotkały się z nerwową reakcją części środowisk żydowskich, które zdecydowały się na bojkot wyborów.

Choć Białystok był już częścią Polski, to przez kolejnych kilka miesięcy władzę nad miastem sprawowała oddzielna od reszty kraju administracja – cały region podporządkowany został tzw. Zarządowi Cywilnemu Ziem Wschodnich. Wywołało to jednak w mieście sprzeciw, a rezolucję o uregulowanie tej kwestii, skierowaną do władz w Warszawie, poparło 37 tys. mieszkańców Białostoczczyzny. Inicjatywę wsparli też miejscowi posłowie. W lipcu 1919 r. poseł i zarazem ksiądz Stanisław Hałko domagał się w Sejmie ujednolicenia administracji z administracją byłej Kongresówki i zniesienia przepustek, które wciąż obowiązywały mieszkańców terenów położonych na wschód od Narwi. W sierpniu 1919 r., gdy Sejm przyjął ustawę powołującą do życia województwo białostockie, postulaty te zostały spełnione.

1920: miasto frontowe

Pierwsze miesiące w nowej Polsce nie należały do łatwych. We znaki dawał się brak żywności i paserstwo, któremu władze nie potrafiły zaradzić. Ludność cierpiała nędzę, a pogłoski o korupcji urzędników budziły oburzenie i były powodem rozczarowania nową rzeczywistością. W raporcie sporządzonym w marcu 1920 r. na zlecenie II Oddziału (wywiadowczego) Sztabu Generalnego na temat sytuacji w mieście czytamy: „Ludność niechętnie i nieufnie odnosi się do władz, zarządzania ich wypełnia pod przymusem, ciężary państwowe ponosi z ociąganiem, wojsko obdarza dużo mniejszą sympatią. Prądy opozycyjne rosną z każdym dniem”. Na popularności zyskiwały ugrupowania lewicowe, wzywające do zawarcia pokoju

z rządem bolszewickim. Podczas manifestacji pierwszomajowych w mieście wznoszono okrzyki przeciw wojnie.

Wkrótce, podczas kampanii roku 1920, Białystok stał się miastem frontowym. Ze wschodu napływało wielu uciekinierów, których należało wyżywić i zapewnić im opiekę. Wraz z rosnącą liczbą uchodźców pojawiły się epidemie cholery i tyfusu.

Białystok stał się też pierwszym z większych miast Polski centralnej zajętych przez Armię Czerwoną. 30 lipca 1920 r. – w ślad za nacierającymi na zachód wojskami Tuchaczewskiego – w Białymstoku zjawili się członkowie tzw. Polrew-

komu (Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego Polski), czyli utworzonego z polecenia władz bolszewickich, prowizorycznego rządu przyszłej „czerwonej” polskiej republiki. Tego samego dnia ów rząd – z Feliksem Dzierżyńskim, Julianem Marchlewskim, Feliksem Konem w składzie – ogłosił manifest proklamujący powstanie Polskiej Socjalistycznej Republiki Rad, a przedstawiciele „nowej władzy” zaprezentowali się mieszkańcom na wiecu przed słynnym Pałacem Branickich.

W obserwującym tę scenę tłumie znalazł się 15-letni wówczas Stanisław Hertel, który uwiecznił tamten moment w swoich

Cukiernia „Buza” Murawiejskiego przy ul. Lipowej (Piłsudskiego), lata 30. XX w.



ZE ZBIORÓW KOLEKCYJERSKICH: MIECZYSŁAWA MARCZAKA, TADEUSZA CHANKI I JANA MURAWIEJSKIEGO

→ pamiętnikach: „Na balkonie stali: Dzierżyński, Marchlewski, Kon i inni, jak mi wyjaśnił ojciec. Wygłaszali przemówienia, z których nic nie rozumiałem, a które pewnej grupie ludzi przypadły do gustu, bo od czasu do czasu pojawiały się oklaski”. Bolszewickie hasła zapowiadające nowy sprawiedliwy ład nie spotkały się jednak z entuzjazmem mieszkańców. Żywot Polrewkomu był zresztą krótki, a jego losy przypieczętowała bitwa warszawska.

Powolna modernizacja

Gdy umilkły wojenne salwy, Białystok włączył się w budowę nowego państwa. Lata 20. i 30. to czas przyspieszonej modernizacji. Pamiętające czasy carskie tramwaje konne – zwane przez mieszkańców „konką” – wyparła komunikacja autobusowa. Po ulicach kursowało 14 autobusów w barwach firmy o litewsko brzmiącej nazwie „Autokaros”. Gdzieś jeszcze drewniane, miasto zachowywało swój wielokulturowy charakter: bywało, że na jednej ulicy spotykały się procesja na Boże Ciało, manifestacja młodzieży żydowskiej i prawosławny kondukt żałobny.

W latach 1930–34, gdy wojewodą białostockim był Marian Zyndram-Kościałkowski, miasto wypiękniało. Za jego kadencji powstały Planty: rozległy park miejski. W niedzielne popołudnia wylegało tam na spacer białostockie mieszczanstwo. Niektórzy pozowali do zdjęć w restauracji luksusowego hotelu Ritz. Za sprawą Kościałkowskiego rozbudowano kanalizację i sieć ulic.

Wojewoda zdawał sobie sprawę z roli sportu dla umacniania tożsamości lokalnej, dlatego wspierał pomysł utworzenia Białostockiego Klubu Sportowego Jagiellonia. Rodowód klubu był związany z 42. Pułkiem Piechoty, który latem 1920 r. walczył z bolszewikami na ulicach miasta.

Wszystko to nie mogło przesłonić rzeczywistości zdominowanej przez kryzys gospodarczy i bezrobocie. Na przełomie lat 20. i 30. mieszkańcy Białegostoku i okolic masowo szukali zarobku poza Polską. W samym tylko 1930 r. z województwa wyjechało – głównie do Francji i USA – 6,5 tys. ludzi. Byli to głównie Żydzi, dla których coraz gorsza sytuacja w przemyśle włókienniczym często oznaczała ruinę.

Kres żydowskiego świata

Emigracja zarobkowa tylko w niewielkim stopniu zmieniła narodowościowy

charakter Białegostoku: w 1939 r. funkcjonowało tu niemal sto bożnic i domów modlitwy. Poza nieliczną spolonizowaną warstwą inteligencji, ludność żydowska zachowywała kulturową odrębność, a patriotyzm lokalny stanowił ważny element jej tożsamości. Świadczą o tym np. wspomnienia Aleksandra Dreslera: „Publiczka białostocka należała do patriotycznych. Pamiętam, jak występował reprezentant Polski Rotholz, bokser światowej sławy. Żydzi białostoccy rozgrzani walką Stasia Góreckiego [zawodnika miejscowej Jagielonii – red.] z tą bokerską sławą wrzeszczeli: Bij Żyda! Bij!”.

Koniec liczącej niemal 40 tys. ludzi społeczności białostockich Żydów nadszedł wraz z zajęciem miasta w 1941 r. przez Niemców. Ci, którzy nie zginęli z rąk Einsatzkommando, zostali uwięzieni w getcie. Rozpoczęta w sierpniu 1943 r. likwidacja getta spotkała się z bohaterkim, choć beznadziejnym oporem miejscowej konspiracji żydowskiej. Ci, którzy zostali przy życiu, trafili do obozów zagłady i obozów pracy.

Żydowska historia miasta dotarła tym samym do swego kresu. Namiastka tamtego Białegostoku przetrwała dzięki krótkiemu filmowi Saula Goskinda (współtwórcy słynnej wytwórni filmowej Kinor, tworzącej w języku jidysz). Za sprawą zrealizowanego w 1939 r. dokumentu pt. „Żydowskie życie w Białymstoku” wyjątkowa atmosfera miasta – wraz ze spacerującymi po nieistniejących dziś ulicach i modlącymi się w nieistniejących świątyniach ludźmi – nie odeszła bez śladu.

Podwójna okupacja

Podczas II wojny światowej Białystok doświadczył podwójnej okupacji: najpierw sowieckiej (w latach 1939–41), później niemieckiej (1941–44). W tym czasie także jego polscy mieszkańcy poddani zostali masowemu terrorowi na niespotykaną dotąd skalę. Egzekucje, łapanki i wywózki na roboty były na porządku dziennym.

Wspólnym celem obu okupantów było pozbawienie Polaków społecznej, ekonomicznej i politycznej pozycji, jaką zajmowali tu przed wojną. W tym sensie doświadczenie upadku własnego państwa, pozbawienie możliwości wyrażania tożsamości narodowej czy religijnej oraz terror dotknęły ich w sposób szczególny.

Zarówno III Rzesza, jak i Związek Sowiecki próbowały antagonizować zamieszkujące Białystok narodowości, wygrywając jedną przeciw drugiej. Sowieccy



BOLESŁAW AUGUSTIS / ALBON.PL

komisarze faworyzowali więc ludność białoruską, choć w tym samym czasie wśród represjonowanych, więzionych i deportowanych nie brakowało działaczy białoruskiego ruchu politycznego czy prawosławnych duchownych. Brutalne realia okupacji położyły kres przedwojennej wielokulturowej białostockiej społeczności, która coraz bardziej rozpadała się po szwach narodowościowych.

27 lipca 1944 r. – dzień, w którym do miasta wkroczyła ponownie Armia Czerwona – wyznaczył nową cezurę w historii Białegostoku. Cały region został potraktowany jako część Związku Sowieckiego – jak w latach 1939–41. W mieście zainstalował się gorispolkom (miejski komitet wykonawczy), wprowadzono czas moskiewski i ogłoszono mobilizację do Armii Czerwonej. W nieodległej Sokółce radzieccy komisarze zaczęli powoływać do życia kołchozy i sowchozy.

Działacze partyjni dokładali starań, by nadać miastu sowiecki charakter: wszędzie wisiały portrety Stalina, z głośników



Na ulicy Białegostoku, niedziela, 9 października 1938 r.

słychać było sowieckie pieśni wojskowe, wyświetlano sowieckie filmy. Wszystko to napędzało plotki o planowanym wcieleniu Białostoczczyzny do Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej. Wkrótce okazały się bezpodstawne – jeszcze z końcem lipca 1944 r. Stalin podpisał z „lubelskim” Polskim Komitetem Wyzwolenia Narodowego układ o granicach, przyznający ten teren Polsce (choć informacji tej nie podano do publicznej wiadomości).

Zmiany w krajobrazie demograficznym miasta, do których doszło po 1944 r., okazały się mieć decydujące znaczenie z punktu widzenia jego tożsamości. Podczas II wojny światowej Białystok stracił niemal połowę mieszkańców, ale już pod koniec lat 50. liczba ludności znów sięgnęła 100 tys. ludzi. Po wojnie napływali doń głównie wygnańcy z ziem wschodnich II RP, wcielonych teraz do Związku Sowieckiego, a także mieszkańcy miasteczek i wsi z regionu. Wśród nich był znaczny odsetek ludności pochodzenia białoruskiego.

Przystań dla wilniuków

W wyniku wojny zmienił się nie tylko skład ludnościowy, ale też wygląd miasta. Wedle różnych szacunków w gruzach leżało 60-70 proc. przedwojennej zabudowy. Śródmieście z Rynkiem przestało istnieć.

W 1947 r. zaczęła działać Białostocka Spółdzielnia Mieszkaniowa, a Chanajki – dawną dzielnicę żydowskiej biedoty (i towarzyszącego biedzie występku) – powoli zastępowano nowymi blokami. Poza uruchomieniem starych fabryk włókienniczych, w ramach pierwszego planu pięcioletniego w mieście powstał nowy Zakład Przemysłu Bawełnianego Fasty.

Na przekór wszystkiemu kwitło też życie kulturalne. Białystok stał się bowiem swoistą przystanią dla artystów z Wilna, którzy opuszczali wcielone do Związku Sowieckiego miasto. Wśród liczного grona aktorów czy plastyków był architekt Stanisław Bukowski, który nadał centrum nowy kształt. Również dzięki wysiłkowi wileńskich profesorów w 1949 r. powołano w Białymstoku Akademię Medyczną.

Nowa władza komunistyczna spotkała się z raczej obojętnym przyjęciem większości mieszkańców. O niskim zaufaniu do niej świadczą dojmujące braki kadrowe, jakie trapiły tutejszą PPR, a później PZPR: w latach 1948-56 stanowisko I sekretarza KW PZPR zajmowało aż ośmiu działaczy, wszyscy spoza regionu. Co więcej, aż do końca lat 40., a nawet na początku lat 50. na terenie województwa działało aktywnie antykomunistyczne podziemie niepodległościowe.

Kolejne metamorfozy

Powojenna wymiana ludności – zwłaszcza zaludnienie Białegostoku mieszkańcami pochodzącymi z terenów wiejskich – stała się z czasem przyczyną powstania szeregu stereotypów na temat miasta.

Polacy z innych stron kraju uważali Białystok za „większą wieś”, której mieszkańcy trzymają kury na balkonach i karpie w wannach. Dla reszty kraju białostoczanie uchodzili za tak zadeklarowanych sympatyków Związku Sowieckiego, że nawet ich kalendarze miały wskazywać datę z dwutygodniowym opóźnieniem...

Rzeczywistość była o wiele bardziej skomplikowana. Faktycznie, jeszcze pod koniec lat 70. większość mieszkańców Białegostoku pochodziła ze wsi lub była pierwszym pokoleniem urodzonym w mieście. Ludność napływowa tylko częściowo przyjmowała miejski styl życia, w niektórych kwestiach pozostając przy swoich zwyczajach.

Wrażenie „trochę miasta, trochę wsi” potęgował fakt, iż jeszcze długo po wojnie istniały dzielnice z zabudową typu wiejskiego: drewniane domy z ogródkami i zabudowaniami gospodarczymi. Niemal w centrum miasta, na Bojarach czy Piaskach, wciąż można było usłyszeć pianie koguta.

Białystok doświadczył tym samym – a raczej cały czas doświadcza – kolejnej w XX wieku metamorfozy.

Na mapie Polski dał się zaś poznać jako miejsce, gdzie wartości miejskie nieustannie miesza się z wiejskimi, a nawyki, postawy oraz światopoglądy ścierają się i uzupełniają nawzajem.

© TOMASZ TARGAŃSKI

Korzystałem z książek: „Białostoczanie lat 20-tych, lat 30-tych” Adama Czesława Dobrońskiego i Jolanty Szczygieł-Rogowskiej, „Białystok: historia miasta” Adama Dobrońskiego oraz „Historii Białegostoku”.

Zawsze będę stamtąd

SZYMON HOŁOWNIA:

Mamy ducha gościnności, wielokulturowości. Na tym można budować. Jesteśmy białostoczanami, ekspertami od tego, jak być różnymi, ale żyć w zgodzie.

PATRYCJA BUKALSKA: Urodziłeś się w Białymstoku, ale czy czujesz się białostoczaninem?

SZYMON HOŁOWNIA: Moje związki z Białymstokiem nie są już tak silne jak wtedy, gdy tam mieszkałem przez pierwszych 18 lat życia. Ale pozostaje rodzaj sentymentu, przekonania, skąd się jest. Bo gdybym miał odpowiedzieć na takie pytanie – skąd jestem – to zawsze będę stamtąd, z Białegostoku, z Białostoczczyzny. Nie da się ze mnie wypisać tego krajobrazu, sposobu myślenia, mówienia. Białystok jest przecież emanacją Białostoczczyzny, czyli naszych obecnych Kresów, miejsca trochę magicznego. Tę magię odczuwałem jako dziecko, gdy wydawało mi się, że niebo jest tam tak nisko, że albo musisz sobie Boga wymyślić, albo zacząć wierzyć w tego, który jest.

Czy są w Białymstoku miejsca, do których szczególnie chętnie wracasz?

To przede wszystkim okolice osiedla Piasta i Bojar, gdzie się wychowałem. Specyficzne miejsca: Bojary to do niedawna była jeszcze dzielnica drewnianej zabudowy, choć w środku miasta. Inne miejsca sentymentalne w Białymstoku są związane z moją rodziną, z babcią, która mieszkała na ul. Kilińskiego, i z drugą babcią, która mieszkała na ul. Malmeda. Tam też był dom, w którym mieszkałem przez rok po urodzeniu, ostatnio w tym miejscu był sklep monopolowy. *(śmiech)* Wracam też w miejsca związane z moją drogą duchową: do kościoła św. Rocha, gdzie miałem pierwszą komunię św., do fary, czyli katedry, gdzie byłem ochrzczony, do kościoła św. Wojciecha czy Ducha Świętego, gdzie byłem ministrantem.

Od kiedy historia Twojej rodziny związana jest z Białymstokiem?

Nie mieszkaliśmy tam od zawsze. Rodzice urodzili się w Białymstoku, ale dziadkowie przyjechali tam po wojnie.

Rodzina mojej babci ze strony mamy to Petersburg i Wilno, z kolei ze strony ojca to głębsze Kresy: tereny Grodzieńszczyzny. Dziadek ze strony mamy przyjechał tu jako wygnaniec podwójny. Najpierw z Drohobycza wysłano go do Zielonej Góry, a potem do Białegostoku, aby pracował w odradzającym się przemyśle bawełnianym. Nie jest to nic dziwnego, bo Białystok to miasto ludzi przyjezdnych, które zaludniało się praktycznie na nowo po tragedii II wojny światowej.

Myszę, że moje pokolenie nadal buduje swą tożsamość i szuka czegoś, co mogłoby nas związać. Białystok wymyka się po prostu próbom sklasyfikowania go, trudno go opisać, bo zawsze gdzieś ucieka tym, którzy próbują go szufladkować.

Spróbujmy jednak opisać, jaki Białystok jest teraz.

Niezwykle wypiękniał wizualnie, mówi o tym wszyscy znajomi, którzy do

Białegostoku teraz zawitają. Myślę natomiast, że nadal jest wiele do zrobienia nie w dziedzinie architektury, placów miejskich, infrastruktury itp., lecz w zdefiniowaniu tego, co miałyby ludzi tu utrzymać. Co miałyby się stać wizytówką miasta, wokół której te trzy czwarte wieku po wojnie – lepiej późno niż wcale – miałyby budować się społeczność. Co sprawi, że nie będzie tylko kuźnią kadr dla Warszawy czy Londynu. To przecież świetne miejsce do mieszkania, pod względem ludzkim czy krajobrazowym.

Co mogłoby stać się takim spoiwem dla mieszkańców Białegostoku?

Nie trzeba wymyślać nowych rzeczy, wystarczy dobrze rozwinąć to, co jest oczywiste. Białystok ma dwa atuty, wpisane w jego położenie i historię. Po pierwsze, zawsze był dla mnie i będzie oknem otwartym na Wschód. Od dzieciństwa czułem, że mieszkam w swego rodzaju bramie. Białystok

Odbudowany pałac Branickich, 2018 r.



WOJCIECH WOJTKIEWICZ / UM BIAŁYSTOK

łystok szuka dziś swego miejsca na Zachodzie, ale nie ucieknie – i nie powinien uciekać – od swojego Wschodu. Zachód i Wschód powinny się w nim spotykać. To nie jest miejsce na wielkie fabryki czy finansowe „city”. Tu powinien kwitnąć „przemysł wielokulturowości”. Wychowałem się na osiedlu, na którym mój parafialny kościół katolicki od meczetu i zboru baptystów dzielił może kilometr, a do cerkwi trzeba było podjechać jeszcze kilometr.

W Białymstoku mieszkają etniczni Polacy, Białorusini, Ukraińcy, cały ten kresowy tygiel, są imigranci z Czech, są studenci z całego świata. Są ludzie pielęgnujący pamięć o przedwojennych żydowskich mieszkańcach. Aż się prosi, by Białystok był miejscem specjalizującym się w skali kraju w tym właśnie: w pokazywaniu twórczej różnorodności, by to tutaj ludzie mogli uczyć się języków, kultur, kuchni, toczyć międzyreligijny dialog. Zamiast pożyczać tożsamość od innych, powinniśmy parę puścić w to, aby ludzie przyjeżdżali do nas po wrażenia i mądrość, jakich nie znajdą gdzie indziej. A gdy się to połączy z drugim elementem – otaczającą Białystok przyrodą – rzecz staje się jeszcze bardziej atrakcyjna. Życie Białegostoku to otwartość, śmiertelne dlań zagrożenie to ksenofobia. My nie jesteśmy ani z zachodniej Polski, ani – jak niekiedy słyszałem – z Białorusi. Jesteśmy „stąd”. Zauważmy zresztą, że w spisach powszechnych przed wojną znaczna część ludności w rubryce „narodowość” deklarowała: „tutejsza”.

Jesteśmy białostoczanami, ekspertami od tego, jak być różnymi, ale też jak na tym właśnie budować, jak żyć w twórczej zgodzie. „Zgoda. Jesteśmy różni” – przed ostatnimi wyborami samorządowymi jeden z komitetów planował startować pod tym hasłem. To najlepsze hasło, najlepszy program, jaki słyszałem przez ostatnich 30 lat życia w wolnej Polsce. Mój Białystok mógłby wziąć je sobie za motto.

© Rozmawiała PATRYCJA BUKALSKA

SZYMON HOŁOWNIA (ur. 1976)

jest dziennikarzem prasowym i telewizyjnym. Felietonista „Tygodnika” i autor kilkunastu książek, jest założycielem fundacji Dobra Fabryka (www.dobrafabryka.pl).



Spalony przez Niemców pałac Branickich, 1944 r.

ZE ZBIORÓW KOLEKCYJERSKICH: MIECZYSŁAW MARCZAKA, TADEUSZA CHAŃKI I JANA MURAWIEJSKIEGO

Burzliwa niepodległość

ADAM CZESŁAW DOBROŃSKI, HISTORYK:

**Wielka polityka i strategiczne interesy państwa
znacząco wydłużyły marsz Białegostoku ku niepodległości.**

TOMASZ TARGAŃSKI: Dlaczego Białystok świętuje swoją niepodległość kilka miesięcy później niż Polska? Co działo się w mieście w listopadzie 1918 r.?

ADAM CZESŁAW DOBROŃSKI: Aby wyjaśnić fenomen tej „opóźnionej” niepodległości, trzeba wiedzieć, że w XIX wieku Białystok nie był częścią Królestwa Polskiego, lecz wchodził w skład Cesarstwa Rosyjskiego jako stolica jednego z powiatów guberni grodzieńskiej. W związku z tym polskość była tu stosunkowo słaba. Przed 1914 r. władzę polityczną sprawowali Rosjanie, a ekonomiczną Niemcy, ponieważ to do nich należała znaczna część przemysłu włókienniczego. Dominującą siłą roboczą, zatrudnioną w fabrykach włókienniczych, byli z kolei Żydzi. Polacy stanowili zaledwie ok. 20 proc. ludności. Tym samym ich przygotowania do objęcia władzy miały skromniejszy wymiar niż w Wielkopolsce czy Galicji. Niemniej

11 listopada 1918 r. doszło do próby wyzwolenia.

W mieście kwaterował wówczas III Korpus Rezerwowy armii niemieckiej, a władzę sprawowała Rada Żołnierska utworzona przez zrewoltowanych żołnierzy. Polacy – członkowie Polskiej Organizacji Wojskowej, żołnierze dawnej armii carskiej (tzw. Dobrowolczycy), gimnazjaliści i harcerze – zawiązali samoobronę. Ich działaniom patronował złożony z Polaków Centralny Komitet Narodowy, który wysłał delegację do Warszawy z prośbą o pomoc. Zasadnicza próba sił nastąpiła między 11 a 13 listopada. Oddziały samoobrony przystąpiły do zajmowania gmachów publicznych. Udało im się opanować dworzec kolejowy i trasy wylotowe z miasta. Niestety pomoc z Warszawy była niewystarczająca, a niemieckie dowództwo zdołało przywrócić w mieście okupacyjny porządek. Na prawdziwą wolność białostoczanie musieli jeszcze poczekać. ➔

→ **Co działo się w mieście później, między listopadem 1918 r. a lutym 1919 r.? Dlaczego Józef Piłsudski pozostawił miasto w rękach Niemców?**

Zmusiły go do tego okoliczności. Na terenie Ukrainy wciąż przebywało bowiem kilkaset tysięcy żołnierzy niemieckich. Była to armia zwycięska, która okupowała tamte tereny. Tyle że Cesarstwo, dla którego jego żołnierze walczyli, przestało istnieć [w listopadzie 1918 r. cesarz Wilhelm II abdykował i proklamowano Republikę Weimarską – red.]. Powstał więc problem sposobu ewakuacji tej masy na terytorium Niemiec. Najkrótsza droga wiodła koleją brzeską, przez Warszawę do Berlina. Jednak Piłsudski bardzo obawiał się realizacji tego scenariusza.

Dlaczego?

Przypuszczał, moim zdaniem zupełnie słusznie, że kilkaset tysięcy żołnierzy, zrewoltowanych i zdemoralizowanych długą wojną, zagrozi polskiej państwowości. Niezwykle trudno byłoby ów żywioł kontrolować, a siły młodego państwa były jeszcze bardzo ograniczone. W związku z tym powstał plan, by ewakuację przeprowadzić linią kolejową przez Białystok, Grajewo aż do Prus Wschodnich. Strategiczne znaczenie tejże magistrali zadecydowało o losach Białegostoku. W listopadzie 1918 r. na mocy zawartej w Kownie ugody między Naczelnym Dowództwem Wojska Polskiego a dowództwem niemieckim ustalono, że okupacja będzie trwała do czasu, aż ostatni żołnierz niemiecki zostanie stąd ewakuowany. Mówiąc szczerze, cała ta operacja odbyła się ze szkodą dla Białegostoku i jego obywateli, rabunki i gwałty były na porządku dziennym.

Wkrótce sytuacja jeszcze bardziej się skomplikowała, ponieważ od wschodu zmierzała armia bolszewicka.

Na początku stycznia 1919 r. bolszewicy zajęli Wilno. Piłsudski widział pilną konieczność powstrzymania ich marszu. Aby mógł to jednak zrobić, musiał znów pertraktować z ewakuującą się armią nie-

miecką, która nie miała przecież interesu, by walczyć z Armią Czerwoną. Na mocy układu zawartego 5 lutego 1919 r. właśnie w Białymstoku dowództwo niemieckie wyraziło jednak zgodę na przejazd wojsk polskich przez kontrolowane przez siebie tereny. Wagony z naszymi żołnierzami miały być zamknięte i pod żadnym pozorem nie miały prawa zatrzymać się w Białymstoku. Transport na wschód odbył się w pierwszej połowie lutego, tydzień przed oficjalnym włączeniem Białegostoku do Rzeczypospolitej. Polskie wojsko przejechało na rejon Wołkowyska i tam, pod miasteczkiem Mosty, doszło do starć z siłami Frontu Zachodniego Armii Czerwonej. Tym samym Białystok miał swój udział w rozpoczęciu wojny polsko-bolszewickiej.

W jej trakcie miasto znalazło się w ogniu walk. Jaka była geneza bitwy białostockiej?

Jak wiadomo, Armia Czerwona zajęła miasto pod koniec lipca 1920 r. Kiedy dwa tygodnie później Wojsko Polskie w czasie bitwy warszawskiej przeszło do kontrofensywy, Białystok znalazł się na szlaku odwrotu dwóch armii bolszewickich. Zadanie odcięcia im odwrotu Piłsudski powierzył żołnierzom 1. Pułku Piechoty Legionów. Nad ranem 22 sierpnia pułk wdarł się do miasta od strony przedmieścia Skorupy. Wzięto wielu jeńców i przejęto działa, ale sukces nie trwał długo, do natarcia przeszły bowiem nacierające od zachodu siły bolszewickie. Przez cały dzień na ulicach toczyła się zacięta bitwa. Po stronie polskiej opowiedziało się duża część białostoczian, którzy służyli jako przewodnicy, udzielali informacji o nieprzyjacieli i pomagali rannym.

Tego dnia na ulicach Białegostoku walczyło kilku ludzi, których nazwiska staną się później głośnie: poeta Władysław Broniewski czy Emil Fiedor, późniejszy zastępca komendanta głównego Armii Krajowej. Bohaterem walk został jednak kapitan Józef Marjański.

Marjański dowodził III batalionem 1. Pułku Piechoty. Wspaniały żołnierz: do Legionów zaciągnął się już w 1914 r. i przeszedł z nimi cały szlak bojowy. W krytycznym momencie bitwy, kiedy bolszewicy opanowali dworzec kolejowy, Rynek i zmierzali w stronę ulicy Warszawskiej, Marjański poderwał swoich ludzi do walki.

Zorganizował skuteczny opór w okolicach budynku Zarządu Miejskiego. Tam również zginął, osłaniając wycofujących się sztab dywizji. Marjańskiego pochowano na pobliskim cmentarzu wojskowym, ale kilka lat później na żądanie rodziny szczątki ekshumowano i przeniesiono do Radomia. Dziś imieniem kapitana nazwana jest jedna z ulic w centrum miasta. A tamta bitwa białostocka zakończyła się zwycięstwem sił polskich, choć część bolszewickiej 6. Armii zdołała odejść w stronę Grodna.

Przed odwołaniem bolszewicy rozstrzelali jeszcze 16 więźniów, obywateli miasta. Kim były ofiary?

Ta zbrodnia jest w pewnym sensie symboliczna. Wśród zamordowanych znaleźli się przedstawiciele wszystkich zamieszkujących Białystok stanów i narodowości. Byli tam: katolicki ksiądz, polski ziemianin, żydowski robotnik, prawosławni, ewangelicy, a nawet tatarski książę Akim Podolski. Później białostoczanie ufundowali w miejscu zbrodni pomnik ofiar wojny polsko-bolszewickiej.

Po zajęciu miasta przez Wojsko Polskie nastąpiło rozliczenie z krótkim okresem, gdy władzę w Białymstoku sprawował Polrewkom. Istnieją świadectwa, że nie wszyscy mieszkańcy popierali Polaków, a część ludności m.in. żydowskiego pochodzenia wspierała bolszewików. Ile w tym prawdy?

Teza o masowym poparciu, jakiego białostoccy Żydzi mieliby udzielić Armii Czerwonej, jest nieprawdziwa. To krzywdzące uogólnienie, ponieważ ludność żydowska była niezwykle zróżnicowana i nie wolno traktować jej jako monolitu.



Wchodzące w jej skład osoby reprezentowały najróżniejsze postawy. Byli więc tacy, co bolszewików popierali, ale nie powinno to rzutować na całą społeczność. Najlepszym na to dowodem niech będzie fakt, że po tamtej wojnie na terenie Białegostoku powołano do życia polskie sądy wojskowe, obciążone zadaniem zbadania wszystkich wypadków nielojalności względem kraju. Okazuje się, że do tej pory nie znaleziono ani jednego wyroku wspomnianych sądów, w którym skazany byłby białostocki Żyd.

Białystok w latach II RP pozostał w cieniu większych ośrodków, przede wszystkim Wilna. Czy uważa Pan, że miasto mogłoby odegrać większą rolę, gdyby realizacji doczekała się koncepcja federacyjna Piłsudskiego?

Niestety nigdy się tego nie dowiemy, ale myślę, że w pewnym sensie tak. Ze względu na swoje położenie i bliskość z Wilnem oraz Mińskiem, Białystok mógł odegrać rolę swoistego zwornika tejże federacji. Miejsca, gdzie zbiegałyby się interesy polskie, litewskie i białoruskie. Jako miasto mieliśmy przecież długie i na ogół dobre doświadczenia na polu współżycia ludzi reprezentujących różne narody.

Co do jednego nie mam wątpliwości: nawet gdyby federacja w jakiejś formie doszła do skutku, to Piłsudski zdawał sobie sprawę, że Białystok musi pozostać przy Polsce. Jako kluczowy węzeł komunikacyjny miał i nadal ma niebagatelne znaczenie dla każdego, kto strategicznie myśli o polityce wschodniej.

© Rozmawiał TOMASZ TARGAŃSKI

ADAM CZESŁAW DOBRŃSKI (ur. 1943) jest historykiem, profesorem seniorem Uniwersytetu w Białymstoku. Autor kilkuset artykułów, opracowań i książek. Popularyzator dziejów ojczystych, zwłaszcza historii województwa podlaskiego i Mazowsza. W 1999 r. został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

ZE ZBIORÓW KOLEKCYJERSKICH: MIECZYSLAWA MARCZAKA, TADEUSZA CHAŃKI I JANA MURAWIEJSKIEGO

Niedzielnny spacer po Rynku Kościuszki, lata 20. XX w.

Redakcja „Tygodnika” serdecznie dziękuje za pomoc przy pracy nad dodatkiem Pani Jolancie Szczygieł-Rogowskiej, dyrektor Galerii im. Sleńdzińskich w Białymstoku, oraz Pani prof. Joannie Sadowskiej, dziekan Wydziału Historyczno-Socjologicznego Uniwersytetu w Białymstoku.

NA OKŁADCE: białostoczanie, ul. Kilińskiego, czerwiec 1938 r. Przedwojenne fotografie Bolesława Augustusa można obejrzeć na stronie www.albom.pl, którą prowadzi Stowarzyszenie WIDOK. Odnaleziona przypadkowo w 2004 r. kolekcja uchodzi dzisiaj za najciekawszy przykład tzw. polskiej fotografii ulicznej.



Transparent Solidarności przed wyborami do Sejmu (jeszcze kontraktowego) i Senatu (już wolnego). Bydgoszcz, 20 maja 1989 r.

TRZYDZIESTOLATKA BEZ WŁASNEJ HISTORII

Polska pamięć jest podzielona na dwie historyczne opowieści o ostatnich trzech dekadach. Obie są chybione i fragmentaryczne, a nade wszystko nie biorą pod uwagę tego, co najważniejsze.

MIKOŁAJ MIROWSKI, JAN ROJEWSKI

ZBLIŻA SIĘ NAJWAŻNIEJSZA DLA WSPÓŁczesnej Polski data ponownego odzyskania niepodległości: 30-lecie powstania III RP. Ale ogólnokrajowych obchodów pewnie nie będzie. A jeśli, to część uczestników życia publicznego je zbojkotuje lub urządzi alternatywne.

Przebrane rocznice

Wola wyborców zdecydowała, że to za rządów Prawa i Sprawiedliwości świętowaliśmy lub będziemy świętować mnóstwo istotnych dla naszej historii rocznic. Za nami stulecie odzyskania niepodległości i powstania II Rzeczypospolitej. Przed nami 80. rocznica wybuchu II wojny światowej, wcześniej 20. rocznica naszej obecności w NATO i 15. rocznica członkostwa w Unii Europejskiej, także 30. rocznica zawarcia porozumień Okrągłego Stołu i wyborów do Sejmu kontraktowego, a potem powstania pierwszego od 1945 r. niekomunistycznego rządu (choć komuniści trzymali w nim jeszcze przez kilka miesięcy parę ministerstw, a pierwsze w pełni wolne wybory miały się odbyć dopiero jesienią 1991 r.).

Zwłaszcza przebieg obchodów stulecia niepodległości sprawił, że należy się poważnie niepokoić o to, jak pod względem rocznic będzie wyglądał ten rok (pisał o tym niedawno na łamach „Tygodnika” Paweł Bravo).

Ponieważ rok 1918 oznaczał istotne zmiany dla wielu narodów lub/i państw Europy Środkowo-Wschodniej, łatwo porównywać, jak do setnej rocznicy zakończenia Wielkiej Wojny (i jej następstw) podchodzili nasi bliźsi i dalsi sąsiedzi, a jak my. Na przykład Finowie z okazji stulecia niepodległości postawili sobie okazałą bibliotekę, której zdjęcia obieżył cały świat. My zdecydowaliśmy się – obok, co trzeba przyznać, licznych i sensownych imprez organizowanych lokalnie – na centralną uroczystość pod postacią dwuznacznego „podwójnego” marszu, który był wydarzeniem państwowym, choć przecież wszyscy wiedzieli, że to w równej mierze impreza środowisk nacjonalistycznych.

Zamiast radości i głębszego namysłu nad istotą naszej państwowości, a także zadumy nad tym, co jako naród osiągnęliśmy przez minione sto lat – 11 listopada 2018 r. zafundowano nam kiepski serial pod tytułem „będą czy nie będą zadymy”. Doprawdy, z tej perspektywy gomulkowskie „tysiąc szkół na tysiąclecie państwa polskiego” z 1966 r. wygląda o wiele lepiej.

Być może inny rząd podszedłby do uroczystości stulecia niepodległości dojrzałej, a być może podobnie jak rząd Mateusza Morawieckiego. Tego się nie dowiemy. Możemy jednak przypuszczać, że przypadającą 4 czerwca 2019 r. rocznicę wyborów do Sejmu kontraktowego – wydarzenia przełomowego dla odbudowania naszej niepodległości i powstania III RP – każdy rząd, niezależnie od politycznego backgroundu, położyłby koncertowo.

Dwa (co najmniej) obozy

Skąd ten wniosek? Ponieważ od wielu lat mamy w Polsce do czynienia z dwiema wykluczającymi się wzajemnie narracjami na temat początków naszej obecnej niepodległości i demokracji.

Zarówno obóz konserwatywno-prawicowy, jak i liberalno-lewicowy – bardzo ten podział siłą rzeczy upraszczając na potrzeby tekstu (zapewne wielu czytelnikom „Tygodnika” trudno byłoby się w pełni odnaleźć w jednym lub drugim) – zdają się opowiadać historie o współczesnej Polsce tak, jakby na pamięć nauczone się utworu „Poczekalnia” Jacka Kaczmarskiego. Jedni twierdzą więc, że wciąż czekają na swój pociąg („to nie wasz pociąg / ogłosiły megafony”). Inni, że cały naród dojechał pierwszą klasą do mety.

Tymczasem cała ta kolejowa metafora (zapoczątkowana bon motem przypisywanym Józefowi Piłsudskiemu o wysiadaniu na przystanku niepodległość, faktycznie wymyślonym przez Adolfa Nowaczyńskiego) jest nietrafiona. Zakłada bowiem, że Polska i Polacy są teleologicznie zmuszeni do tego, żeby dotrzeć z punktu A (dla obu stron sporu oznaczającego podległość) do punktu B, będącego... no właśnie, tu definicje są zupełnie różne.

Dla jednych to Polska, w której można prowadzić własną działalność gospodarczą i trzymać paszport w kieszeni. Ta, która ma się stać drugą Irlandią (w latach 90. – w słowach Lecha Wałęsy – drugą Japonią, później w różnych wariantach: nowymi Niemcami lub Koreą), gdzie można jeździć autostradami i chodzić na mecze na nowoczesne stadiony.

Dla drugich to Polska godnościowa, regionalny lider, posiadający dużą armię, niekłękający przed Moskwą ani Brukselą, prowadzący politykę prometejską, wskrzeszający ideę Międzymorza. Kraj dumny ze swojej historii, niechowający

głowy w piasek, mogący żyć swoim własnym katolickim życiem.

Kompleksy peryferii

Czy nie używamy tu znowu czasem publicystycznych uproszczeń, do tego rażących? Tak, ale mają one na celu ujawnić dwie ważne rzeczy.

Po pierwsze, opowieść o ostatnim trzydziestolecu – niezależnie, czy opowiedana przez liberałów, czy konserwatystów – jest ufundowana na kompleksach wobec Zachodu. To kolejny syndrom „przekleństwa peryferii”, będący głównie problemem społeczno-psychologicznym. Oślawioną i postulowaną godność w rozmowie z przysłowiowym „Niemcem” ma nam dać albo autostrada, albo silna armia, ale w obu wersjach to „Niemiec” będzie dla nas punktem odniesienia i to on zostanie wyznacznikiem miary naszego sukcesu (lub porażki). Trudno, będąc zakompleksionymi peryferiami, zdobywać się na jakąś trzecią drogę, szukać własnych rozwiązań czy podążać drogą innowacyjności, o której tak często ostatnio mówił premier Morawiecki.

Po drugie, naszej debacie publicznej szkodzi binarność i traktowanie polityki jako gry o sumie zerowej. Jeśli wygra narracja liberalna o państwie „cieplej wody w kranie” – takim, które ma nie przeszkadzać i budować infrastrukturę – to siłą rzeczy przegra opowieść konserwatywna. Znowu nie ma tu miejsca dla innej drogi. W dwubiegunowej rzeczywistości nie ma przestrzeni dla poważnych społecznych przewartościowań. Nawet jeśli występuje tu i ówdzie refleksja o błędach solidarnościowych rządów lat 90. (słynne jakiś czas temu hasło „Byliśmy głupi!”), to szybko ginie ona w plemiennej wojnie „kto-kogo”. W obecnych realiach namysł może być bowiem interpretowany jako słabość, a ta w polsko-polskiej wojnie może być zabójcza.

Niestety, żyjemy w obawie, że ów binarny podział jest trwały i historycznie mocno zakorzeniony. Wynika bezpośrednio z tego, jak oba „wielkie plemiona Polaków” wyobrażają sobie przebieg wydarzeń zarówno 1989 roku, jak i pierwszych lat III RP.

Tu znowu nie pozostawiono miejsca dla zniuansowanej opowieści. III RP została albo osiągnięta w ramach historycznego kompromisu, a reformy gospodarcze i „zaskanie pasa” były niezbędne, albo też był to efekt zdrady części solidarnościowych elit w Magdalence, która doprowadziła do



→ powstania „różowego salonu” i pozwoliła na wielomilionowe przekrety oraz zbijanie fortun przez byłych esbeków.

Dodajmy, że jeśli chodzi o ocenę roku 1989, to – jak zauważał Łukasz Kamiński w tekście „Okragły Stół: jak było” [„TP” nr 5 – red.], mocno spolaryzowani byliśmy od początku, zanim to słowo zrobiło karierę w polskiej polityce.

30 lat temu

Pomysł, aby solidarnościowa opozycja mogła usiąść do jednego stołu z przedstawicielami PRL-owskich władz, kiełkował od połowy lat 80. Ówczesna sytuacja gospodarcza Polski była więcej niż fatalna – na półkach brakowało podstawowych towarów, na rynkach europejskich spadały ceny węgla i siarki, na których opierał się eksport PRL, a mimo to państwo Jaruzelskiego z maniackim uporem wydawało 9 proc. PKB na zbrojenia (dziś to ok. 2 proc., docelowo 2,5 proc.) – co było oczywiście elementem narzuconego przez Związek Sowiecki wyścigu zbrojeń z USA.

Podobne problemy targały właśnie Związkiem Sowieckim (a swoją rolę odegrała także kosztowna wojna w Afganistanie). Co miał robić Jaruzelski i jego akolici, gdy pomoc z Kremla wydawała się odleglejsza niż kiedykolwiek? (Kamiński pisze, że już w 1985 r. ówczesny nowy I sekretarz KPZR Michaił Gorbaczow mówił do przedstawicieli państw-członków Układu Warszawskiego, że dobrze by było, aby bar dziej niezależnie określali swoją politykę). Jaruzelski nie mógł sobie pozwolić na powtórkę z 1980 r., gdy strajki rozlały się po całym kraju. Taka groźba zagrażała mu w oczy w 1988 r. wraz z wiosenną falą „przerw w pracy”, spowodowanych, jakżeby inaczej, niezadowolaniem z sytuacji ekonomicznej.

Latem 1988 r. partia komunistyczna wyciągnęła dłoń do opozycji (wcześniej, mimo sygnałów z drugiej strony, zrobić tego nie chciała). Do rozmów najpierw zaproszono Lecha Wałęsę. Po latach, na kartach „Drogi do wolności” przyszedł prezydent wspominał nieufność, jaką obdarzał właściwie każdy gest wykonany w swoim kierunku. Chodzi zarówno o początkowe tajne rozmowy z Kiszczakiem, jak i późniejszą debatę z Miodowiczem czy też wcześniejsze ustalenia, po których Wałęsa zaapelował o zakończenie strajków. „Zastanawiałem się – wspominał Wałęsa – jak spojrzę w oczy zarośniętym, czekającym z nadzieją stoczniovcem czy górnikiem”.

Wyrażona w ten sposób obawa światnie antycypuje wielki rozdźwięk oceny rozmów Okragłego Stołu, który na stałe podzielił Polaków. Przewodniczący Solidarności – ten, który od 1980 r. przez dekadę miał szansę otrzaskać się w polityce, zrozumieć jej reguły, a także swoją symboliczną pozycję – był partnerem do rozmów z władzą w tym sensie, że nie pojmował ich jako gry „wszystko albo nic”.

Co innego ci działacze opozycji, zwykle młodszy wiekiem, których polityczna socjalizacja nastąpiła po 13 grudnia 1981 r. albo w drugiej połowie lat 80. I ci działacze opozycji, którzy w latach 1987-89 nie znaleźli się w bliskim otoczeniu Wałęsy (także dlatego, bo mieli inne niż on zdanie).

Dla jednych i drugich, dla ich rozumienia polityczności, sojusz z władzą komunistyczną (choćby i czasowy) godził w politykę rozumianą jako przejście od kłamstwa i niewoli do prawdy i wolności. Swoje zrobiła też mesjanistyczna kalka rozumienia polskości, która zakłada odnowę moralną narodu, a nie jakieś podejrzane zakulisowe rozmowy.

Rumunia czy Hiszpania

Właśnie dlatego dla poety Jarosława Marka Rymkiewicza to kompromis Okragłego Stołu jest grzechem pierworodnym III RP. To wtedy – odwołując się do jego alegorycznej książki „Wieszanie” – miano zaprzepaścić szansę na to, by Polacy stali się „niezlęknionym i dumnym narodem”. Popularne wtedy hasło „a na drzewach zamiast liści będą wisieć komuniści” mogło być emanacją gniewu ludu i próbą wymierzenia sprawiedliwości dziejowej. W ten sposób wspólnotowo przelana krew zdrajców miałyby tworzyć spoiwo cementujące nowe państwo i nowe społeczeństwo.

I choć „krwawą rozprawę” Rymkiewicza z „komunistycznymi sprzedawczykami” można odczytywać jako literacką kreację, to trudno jej nie podnosić. O implikacjach tego niezrealizowanego scenariusza przypominał prezydent Andrzej Duda, podczas zeszłorocznych obchodów podpisania porozumień sierpniowych, gdy mówił o cenie, którą płacimy za „bezkrwawą rewolucję”. Mają być nią różne choroby trawiące polski organizm państwowy, w tym – rzecz jasna – obecność sędziów orzekających podczas stanu wojennego w składzie Sądu Najwyższego.

Trudno powiedzieć, jak miałyby przebiegać alternatywne przejęcie władzy w 1989 r. Wszak we wszystkich krajach bloku

(poza Rumunią) do przewrotu doszło bez walki fizycznej, niemal bez ofiar (niemal, bo w 1989 r. zginęli związani z opozycją księża Niedzielak, Suchowolec i Zych). A w Rumunii za zamachem stanu nie stały zbuntowane masy czy demokratyczna opozycja, lecz Securitate: rumuńskie SB, które szykowało następcę dla Nicolae Ceaușescu.

Owszem, można było szybciej zorganizować w pełni wolne wybory parlamentarne – np. jesienią 1990 r., wraz z wolnymi wyborami prezydenckimi (tymczasem stało się tak, że choć Polska pierwsza „ruszyła bryłę świata”, to takie wolne wybory miała ostatnia, nawet po Niemczech Wschodnich, które do Jesieni Ludów dołączyły dopiero w październiku 1989 r.). Ale nawet gdyby tak się stało, nie podważyłoby to przecież samej filozofii – pokojowego przejścia władzy.

Jednak w słowach prezydenta Dudy słysząc pytanie w ogóle o sens pokojowego przejścia władzy w 1989 r., a także o brak mocnego symbolu – znaku „obalenia polskiej Bastylii”; czegoś więcej niż zburzenia w Warszawie pomnika Dzierżyńskiego na pl. Bankowym. Ot, choćby osądzenia Kiszczaka i Jaruzelskiego.

Tymczasem III Rzeczpospolita zrodziła się na bazie konsensu, a więc jej narodziny można nazwać przewrotem liberalnym – definiującym z jednej strony cel finalny (niepodległość), ale stawiającym też na kompromis i integracyjne podejście do ogółu obywateli (tj. takie, że szansę na stanie się obywatelami nowego państwa otrzymują też dawni wrogowie).

Gdybyśmy mieli porównywać do czegoś ten sposób przekazania władzy, to najbliższą byłaby Hiszpania. Tam podstawę do transformacji stanowiły dwie amnestie: pierwsza wypuszczająca z więzienia wszystkich więźniów politycznych dyktatury generała Franco i druga, która gwarantowała, że jej dygnitarze w przyszłości nie będą ścigani (o rozliczeniach zaczęto mówić, ale znacznie później).

Polska solidarna vs Polska liberalna

Również w Polsce, w początkowej fazie porozumień, niewielu bojkotowało wybory kontraktowe. Była to głównie Solidarność Walcząca, część Federacji Młodzieży Walczącej, Unia Polityki Realnej, grupa działaczy wokół Andrzeja Gwiazdy (a także... Bogdan Borusewicz i Bronisław Komorowski).

Erozja obozu solidarnościowego postępowała stopniowo – pogłębianą dopiero przez nieudolną prezydenturę Wałęsę czy nieudaną lustrację z 1992 r. Niemniej najgłębsze, ideologiczne już podziały ujrzały światło dzienne dopiero w 2005 r., gdy po wyborach Polska została podzielona trwale na dwa obozy – i także dwie wizje najnowszej historii. Podział zaproponowany wtedy przez PiS, będący świetnym hasłem wyborczym Lecha Kaczyńskiego – na „Polskę solidarną” i „Polskę liberalną” – tylko ujawnił istniejące wcześniej różnice. Hasło zadziało zaskakująco dobrze, gdyż jak się okazało, pęknięcie po tej linii było społecznie mocno zakorzenione. A przecież rok 2005 miał być czasem triumfalnego zwycięstwa koalicji PO-PiS, która miała wskrzesić ducha wielkiej Solidarności, przezwyciężyć błędy poprzedników z Akcji Wyborczej Solidarność i Unii Wolności.

Tymczasem projektowana „jedność” okazała się prelude do najbardziej destrukcyjnego podziału w dziejach III RP.

Z perspektywy 14 lat od zwycięstwa w wyborach prezydenckich Lecha Kaczyńskiego widać, jak bardzo podział ten był uśpiony, a katastrofa smoleńska była tylko silnym katalizatorem tego stanu rzeczy. Słynne powiedzenie liberałów o „braku darmowych obiadów” zadziało w drugą stronę na zasadzie wahadła.

Kwestią czasu było, kto najsukuteczniej zagospodaruje „ofiary transformacji” i nada ich resentymentowi oblicze polityczne, by dokonać „wielkiego zwrotu”. Klucze te znalazł Jarosław Kaczyński.

Miejsce dla trzeciej drogi?

Gdy pytamy, czemu 4 czerwca 1989 r. nie może pełnić takiej państwowotwórczej i tożsamościowej roli co 11 listopada 1918 r.,

Opowieść o ostatnim 30-leciu – zarówno autorstwa liberałów, jak też konserwatystów – jest ufundowana na kompleksach wobec Zachodu.

To kolejny syndrom naszego „przekleństwa peryferii”.

albo gdy bezradnie rozkładamy ręce zastanawiając się, czemu to święto nie do końca jest dla wszystkich i nie wszyscy się nim w pełni cieszą, odpowiedź wydaje się dziś oczywista. Obrazują ją takie postaci jak Stanisław Tymiński, Kazimierz Świtoń czy Andrzej Lepper. Odpowiedzią jest niemal 50-procentowa absencja w wyborach. Kiedyś opuszczone PGR-y i pokazujący tę sytuację znakomity dokument „Arizona” Ewy Borzęckiej, dziś dziedziczne enklawy biedy w wielu miastach i zapóźniona „ściana wschodnia”. Czy trzeba wymieniać dalej?

Po 30 latach można postawić tezę, że transformacja nie potoczyła się tak, jak suweren o tym marzył, a na pokojowej drodze od realnego socjalizmu do demokracji zbyt wielu z nas zostawiono na poboczu. W balcerowiczowskim skoncentrowaniu na reformach ważniejsze były PKB, inflacja i inne wskaźniki rynkowe niż konkretny człowiek. Ta krótkowzroczność musiała wreszcie dać o sobie znać. Przypomnijmy też, jak beneficjenci przemian swobodnie postponowali ludzi, którzy nie potrafili sobie w nowej rzeczywistości poradzić.

„Wolność mamy, a co z resztą?” – gorzko zaobserwował Karol Modzelewski, doda-

jąc, że „wyszła nam tylko wolność. Ale bez równości i braterstwa [także ona] jest zagrożona i może ograniczyć się do przepływu kapitału finansowego”. Po 30 latach od Okrągłego Stołu i wyborów 4 czerwca fundamentalne hasło Solidarności, podnoszone na demonstracjach w latach 80. – „nie ma wolności bez solidarności” (także pisanej z małej litery) – pozostaje w mocy. Właśnie ten fakt winien być miarą goryczy i dojmującym pytaniem o trzecią drogę, wyzwalamą nas z liberalno-konserwatywnego uścisku, a zarazem politycznego wyniszczenia.

Dlatego proponujemy inną opowieść o III RP. Taką, która mogłaby się wymknąć dychotomicznemu podziałowi. Oddajmy w niej głos zwykłym ludziom. Tym, którzy w 1992 r. organizowali okupację ministerstwa rolnictwa, strajkującym pod koniec lat 90. w zakładach radomskiego Łuczniaka, przed fabryką kabli w Ożarowie, górnikom palącym opony, zamordowanej Jolancie Brzeskiej i ruchom lokatorskim, młodzieży, która wychodziła na ulice blokując ACTA, wreszcie uczestnikom Czarnego Protestu. Tym wszystkim, których nie interesował płaski podział na Rzeczpospolitą liberalną czy solidarną, a którzy wskazywali na miejsca, gdzie państwo nie działa. Oddajmy historię nam samym. ©

MIKOŁAJ MIROWSKI pracuje w Muzeum Historii Polski, a w Muzeum Powstania Warszawskiego prowadzi cykl „Warszawa dwóch Powstań”. Ostatnio wydał tom rozmów „Piłsudski (nie)znany. Historia i popkultura”.

JAN ROJEWSKI jest poetą i dziennikarzem; autor tomu poetyckiego „Ikonoklazm”, wspólnie pracuje z „Rzeczpospolitą”. Laureat nagrody poetyckiej im. Rafała Wojaczka.

TP

Podcast Powszechny: Uchodźcy, wyparty dramat

Od 2014 r. na Morzu Śródziemnym zginęło 18 tysięcy osób, które próbowały przepłynąć do Europy.

Z **MARCINEM ŻYŁĄ**, który od początku śledzi kryzys uchodźczy, rozmawiamy o tym, dlaczego Europa wyparta problem poza swoje granice i po cichu godzi się, żeby uchodźców i migrantów powstrzymywała Libia – państwo podzielone i niestabilne. Czy europejska polityka „zamykania oczu” nie zatamie się pod własnym ciężarem?

Zapraszamy do odsłuchania najnowszego odcinka na powszech.net/podcast

(((weź, słuchaj!)))

WĘGIEL JEST WSZĘDZIE

Technika spektroskopii odsłoniła przed nami
chemiczne oblicze kosmosu.
Pozwoliła zajrzeć nawet do wnętrza
odległych gwiazd i planet.

MIROSŁAW DWORNICZAK

WIELKIM FILOZOFOM ZDARZAJĄ SIĘ wielkie pomyłki. Żyjący na przełomie XVIII i XIX w. August Comte był jednym z pierwszych uczonych, którego można określić mianem filozofa nauki. W książce „Kurs filozofii pozytywnej” z 1835 r. pisał: „Jeśli chodzi o gwiazdy, to wszelkie badania, które wykraczają poza zwykłe obserwacje są (...) dla nas siłą rzeczy niedostępne. (...) Nigdy nie będziemy w stanie w żaden sposób poznać ich składu chemicznego”.

Dziś wiemy, że w traktatach filozoficznych nie warto używać takich słów jak „nigdy”. Już półtora wieku przed wydaniem książki Comte’a Izaak Newton rozszczepił przy pomocy pryzmatu światło słoneczne na barwy składowe, uzyskując w zaciemnionym pokoju tęczę, a w 1814 r. Joseph von Fraunhofer połączył lunetę z pryzmatem i zaobserwował w widmie Słońca pasma absorpcyjne, które obecnie znamy pod nazwą linii Fraunhofera. Można je sobie wyobrazić jako ciemne paski na typowym obrazie tęczy – rezultat pochłaniania promieniowania o określonej energii przez materię. Dziś możemy powiedzieć, że właśnie w tym momencie narodziła się spektroskopia astronomiczna. Ale nawet Comte nie mógł o tym wiedzieć.

Pożar w Mannheim

Za ojców spektroskopii – techniki umożliwiającej zdalne badanie wnętrza gwiazd – uważa się Gustava Kirchhoffa oraz Roberta Bunsena. Los zetknął tych dwóch fizyków w połowie XIX w. na uniwersytecie w Heidelbergu. Wykorzystując skonstruowany przez Bunsena specjalny palnik oraz ulepszoną w ich laboratorium lunetę z pryzmatem, czyli prototyp spektroskopu, badali szereg soli, które wprowadzane do płomienia nadawały mu charakterystyczne barwy.

Jeśli do nieświecącego płomienia palnika wprowadzimy np. platynowy drucik zanurzony wcześniej w roztworze soli kuchennej, zauważymy intensywną żółtą barwę. Jeśli skierujemy lunetę z pryzmatem na taki płomień, zobaczymy dwie charakterystyczne żółte linie – świadczące o obecności sodu. W tej technice bada się więc światło wysyłane przez wzbudzone atomy pierwiastków (widmo emisyjne) – inaczej niż w przypadku techniki zastosowanej przez Fraunhofera, opartej na widmie absorpcyjnym.

Skonstruowane przez Kirchhoffa i Bunsena urządzenie, nazwane spektroskopem, pozwoliło im m.in. na odkrycie w lokalnej wodzie mineralnej dwóch nowych pierwiastków – cezju (Cs) i rubidu (Rb).



Obaj uczeni po pracy w laboratorium lubili wspólnie spacerować po okolicy, wędrując ścieżką zwaną Drogą Filozofów. I właśnie tam, pewnego letniego wieczoru 1859 r., zauważyli olbrzymi pożar, który wybuchł w odległym o 20 km Mannheim. Wpadli na pomysł, aby wrócić do pracowni i obserwować płomień przy użyciu spektroskopu. Bez trudu stwierdzili obecność w widmie m.in. wspomnianych wcześniej charakterystycznych linii pochodzących od sodu. Później Bunsen wpadł na ekscentryczny pomysł. Jeśli można obserwować i analizować płomień palnika barwiony przez rozmaite pierwiastki, oraz dokonać tego samego na odległość Heidelberg–Mannheim, to dlaczego by nie połączyć spektroskopu z teleskopem skierowanym na Słońce? To wprawdzie 150 mln km dalej, ale spróbować można.

Metoda obserwacji zdalnej stworzona przez Kirchhoffa i Bunsena wkrótce za-



Centre College, NASA, zajęcia ze studentami z użyciem spektroskopu, 2016 r.

okiem promieniowanie wodoru o długości fali 21 cm. Był to moment, który można uznać za początek radioastronomii, umożliwiającej w połączeniu ze spektroskopią badanie składu chemicznego obiektów dalekich i nieświejących. O takiej metodzie Comte nawet nie śnił.

Kosmiczny tygiel

Rozwój spektroskopii astronomicznej pozwolił odpowiedzieć na nurtujące naukowców od dawna pytanie: czy w odległych gwiazdach i planetach powstają dokładnie te same związki chemiczne, które znamy z Ziemi, czy zupełnie inne? Z jednej strony właściwości chemiczne atomów nie zależą od tego, gdzie one się znajdują, jednak z drugiej w kosmicznym tygliku możemy napotkać warunki, których próżno szukać na Ziemi. Wewnątrz gwiazd panują ekstremalnie wysokie temperatury i ciśnienia, z kolei w przestrzeni międzygwiazdowej temperatura jest zbliżona do zera absolutnego, poza tym panuje tam próżnia, jakiej nie da się uzyskać w ziemskich laboratoriach. Dlatego chemicy z dużym zaciekawieniem zaczęli współpracować z astronomami przy analizie danych otrzymywanych z przestrzeni kosmicznej.

Wyobraźnię naukowców rozbudzały analizy składu meteorytów docierających do nas z kosmosu. Wprawdzie nie znaleziono w nich żadnych egzotycznych pierwiastków, których nie ma na Ziemi, ale zdarzały się egzotyczne izotopy oraz minerały o zmienionym składzie. W ostatnich latach wykazano obecność w kosmosie związków organicznych pochodzenia pozaziemskiego, takich jak uracyl, cytozyna czy tymina (składniki DNA i RNA). W 2015 r. ładownik Philae zbadał powierzchnię komety 67/P i znalazł tam m.in. 16 innych związków organicznych.

Równolegle trwają cały czas intensywne badania odległych obszarów kosmosu. Szuka się zarówno związków chemicznych znanych z Ziemi, jak i takich, które mogą powstać wyłącznie w egzotycznych warunkach, u nas niespotykanych.

Historycznie pierwszym (1937 r.) dwuatomowym indywiduum chemicznym, które zaobserwowano w kosmosie, był metylidyn (CH). Jeśli od najprostszego →

Linie absorpcyjne – czarne paski – w spektrum światła słonecznego

triumfowała. Francuski astronom Pierre Janssen w 1868 r. zauważył w widmie słonecznym pomarańczową linię, której nie dało się przyporządkować do żadnego ze znanych pierwiastków. Tak odkryto hel – który swą nazwę zawdzięcza Heliosowi, greckiemu bogu Słońca. Początkowo sądzono, że hel nie występuje na Ziemi.

Dzięki dopasowaniu konkretnych pierwiastków do konkretnego wzorca linii widma światła emitowanego przez różne obiekty nauka do stała potężne narzędzie do ana-

lizy budowy chemicznej obiektów oddalonych o miliony czy miliardy kilometrów.

Początkowo analizy opierały się wyłącznie na pochodzącym z kosmosu świetle widzialnym. Jednak w XIX w. naukowcy zdawali sobie sprawę z tego, że światło widzialne jest tylko niewielkim wycinkiem całego zakresu częstotliwości fal elektromagnetycznych. Spektroskopia w zakresie światła widzialnego była bardzo użyteczna, ale wyniki otrzymywane tą metodą były tylko ułamkiem tego, co można było odczytać z nieba. Kolejnym wielkim krokiem było stworzenie narzędzia obserwacyjnego, które pozwalało na poszerzenie zakresu rejestrowanego promieniowania. Powstało trochę przypadkowo, podczas badania zakłóceń transatlantycznych transmisji radiowych. Inżynier z Bell Labs, Karl Jansky, na początku lat 30. XX w. skonstruował olbrzymią antenę, dzięki której zarejestrował dochodzące z kosmosu niewidzialne gołym

ROBERT BOAG / CENTRE COLLEGE / NASA

→ związku organicznego – metanu, czyli CH_4 , oderwiemy trzy atomy wodoru, otrzymamy właśnie dwuatomowy rodnik CH .

Rodnik nie jest typową cząsteczką chemiczną, ale czymś bardzo reaktywnym, ponieważ oderwanie atomów powoduje, że pozostają tam tzw. niesparowane elektrony – w chemii coś bardzo rzadkiego. Gdy próbujemy uzyskać metylidyn na Ziemi, musimy zadbać, aby w okolicy nie było niczego, z czym mógłby się związać – co jest skrajnie trudne. Zupełnie inaczej jest tam, w kosmosie, choć czasem nielato to sobie uświadomić. Gdy widzimy z daleka takie formacje jak obłoki międzygwiazdne, musimy sobie zdawać sprawę, że panuje tam próżnia, jakiej nie damy rady wytworzyć na Ziemi. Dlatego też taki rodnik nie ma w pobliżu niczego, z czym mógłby zareagować. I właśnie to pozwala mu istnieć bardzo długo. Dotyczy to oczywiście nie tylko metylidynu, ale wszystkich innych rodników oraz cząsteczek. Szacuje się, że średni czas pomiędzy zderzeniami cząsteczek w obłokach międzygwiazdnych to dwa tygodnie, w tym czasie muszą one przebyć nawet 100 tys. km.

Od 1937 r. lista związków i rodników zidentyfikowanych w przestrzeni kosmicznej systematycznie rośnie. Dość szybko znaleziono takie rodniki jak CN (cyjan) oraz OH (rodnik hydroksylowy), a także dość reaktywny związek chemiczny – formaldehyd (HCHO).

W poszukiwaniu życia

Co ciekawe, jedynym znajdującym się na tej liście związkiem nieorganicznym o pięciu atomach jest analog metanu, krzemo-

Większe związki
spotykane
we Wszechświecie
są zawsze związkami węgla.

**Wszechświat jest
po prostu organiczny.**

wodór SiH_4 . Inne większe związki są zawsze związkami węgla. Kosmos jest po prostu organiczny.

Dziś wiemy, że wbrew twierdzeniom tzw. witalistów chemia związków organicznych nie jest czymś metafizycznie odmiennym od chemii związków nieorganicznych, w jednej i drugiej obowiązują te same prawa i zasady, ale zidentyfikowanie złożonych związków organicznych w odległym kosmosie zawsze wywołuje ekscytację. Są one kluczowym składnikiem życia w tej jedynej formie, jaką znamy.

Oczywiście z faktu obecności wielu, nawet złożonych związków chemicznych, nie wynika wprost to, że wszędzie tam jest jakieś życie. W klasycznym już dziś eksperymencie Stanleya Millera z połowy XX w., w którym w warunkach laboratoryjnych zasymulowano pierwotne warunki panujące na Ziemi, pod wpływem wyładowań elektrycznych uzyskano sporo złożonych związków organicznych, m.in. aminokwasów, czyli cząstek budujących białka. Od takiej organicznej zupy do powstania życia daleka droga, a jej ko-

lejnych etapów ciągle nie znamy. Ale przecież przynajmniej raz życie ją jakoś pokonało.

Od początku XXI w. astrochemicy donoszą o coraz to nowych związkach zidentyfikowanych w rozmaitych miejscach. W 2004 r. stwierdzono, że mgławica protoplanetarna Czerwony Prostokąt w gwiazdozbiórze Jednorożca jest szczególnie bogata w wielopierścieniowe węglowodory aromatyczne (WWA), takie jak antracen i piren. W ostatniej dekadzie WWA wykryto w wielu innych miejscach, w tym w atmosferze Tytana, największego księżyca Saturna.

Wyobraźnię ludzi rozpalają czasem doniesienia o znalezieniu gigantycznych obłoków etanolu. Nie jest to jednak czysty spirytus – razem z nim zaobserwowano takie związki jak tlenek węgla (CO , czad), amoniak (NH_3) czy też cyjanowodór (HCN). Znacznie częściej obserwuje się obłoki metanolu, który jest prostszą cząsteczką. Z drugiej strony dużym zaskoczeniem było odkrycie fullerenów, czyli odmiany alotropowej węgla, składających się z 60 oraz 70 atomów.

Kosmiczne laboratorium chemiczne jest pełne odczynników. Są znacznie rozproszone (nie licząc atmosfery planet i księżyców), ale mimo to astrochemicy uważają, że wszędzie przebiegają reakcje chemiczne, czasami egzotyczne. Istotnym czynnikiem jest czas. Izolowany rodnik czy cząsteczka prędzej czy później spotka się z inną, z którą będzie mogła zareagować. Jeśli nie nastąpi to w ciągu roku, to może się zdarzyć za milion albo miliard lat. Wszechświat jest cierpliwy.

© MIROSLAW DWORNICZAK

TP

Kluby „TP” zapraszają

BERLIN

■ **czwartek, 14 lutego, godz. 19.00**
Spotkanie „Miłość do bliźniego i stosunek do obcych na tle ostatnich wydarzeń w Gdańsku”. Miejsce: klasztor oo. Dominikanów (Oldenburger Str. 46).

KOSZALIN

■ **czwartek, 14 lutego, godz. 18.00**
Spotkanie „Biblia na nowe tysiąclecie”. Gościem będzie ks. prof. Janusz

Lemański. Miejsce: Katedralny Dom Parafialny (ul. Bolesława Chrobrego 7).

RZESZÓW

■ **piątek, 22 lutego, godz. 19.00**
Spotkanie „Pustelnia w środku świata”. Gościem będzie Krystyna Lenkowska. Miejsce: antykwariat klasztoru oo. Dominikanów (ul. Dominikańska 15).

WARSZAWA

■ **czwartek, 14 lutego, godz. 18.00**
Spotkanie „W krzysie wrażliwości”. Goście: Katarzyna Toeplitz, Emilia Wesołowska, Magdalena Wolnik, Misza Tomaszewski. Miejsce: sala KIK (ul. Freta 20/24A).
■ **sobota, 23 lutego, godz. 16.00**
Kawiarenka „Czy można złamać kod kapitalizmu”. Gościem będzie Marcin Napiórkowski. Miejsce: Stacja Muranów (ul. Gen. Andersa 13).

ANDRZEJ

Stasiuk:

Ludzie 2



MIESZKAŁ NA KOŃCU WSI. MOŻE NIE JEST TO najlepsze określenie, bo w istocie wybudował sobie tam wieś oddzielną. Za ostatnim mostem, za cerkwią na wzgórzu, przed pierwszym brodem. Dalej ciągnęły się łąki z paroma kamiennymi krzyżami i zdziczałymi jabłoniami. Aż do stóp Uherca, gdzie właśnie teraz, na początku lutego, wilki zaczynają swoje gody. „Piętnaście dachów” – mówił z dumą. Stodoła, stajnie, dwa domy, jeden piętrowy, wiata dla bydła, gdzie zimą wykładał siano. I jeszcze mniejsze domki, altanki, trochę takie lalczyno-babcine, wysłicznione, ale każda z kominem, z piecem w środku. Czasem pomieszkowali tam letnicy. Nie miałem pojęcia, kiedy to wszystko zbudował. Z tymi szczygółkami, ozdobami z korzeni, gontowymi daszkami, kwietnikami wydłubanymi w pniakach.

Żył sam. Miał kilkadziesiąt sztuk bydła, a kiedyś jeszcze stado owiec. To wszystko w dzikiej, pustej dolinie na skraju lasu, i czasem musiał wypuszczać się na długie godziny, by odnaleźć stado. Towarzyszyły mu cztery czarne psy. Kosił łąki, zbierał siano, rozwoził gnój. Zwoził drewno na zimę, ciął, rąbał i miał zapas na całe lata. No i budował tę swoją małą wieś, która w każdym fragmencie zdradzała, że ma rękę do drewna, do kamieniarki. Z rzecznych kamieni wymurował ojcu surowy, piękny grób. W letnie wieczory siadał przed domem na ławce, grał na harmonii i śpiewał. Dla siebie. Echo muzyki odbijało się od gór. Któregoś dnia przejeżdżałem rowerem. Machnął ręką, żebym się zatrzymał. Niski, mocny, bez śladu brzucha. Rok albo dwa starszy ode mnie. Wtedy nosił już długą czarną brodę, bo chyba było mu szkoda czasu na golenie. Stał obok pionowo ustawionej płyty z miejscowego, jasnego piaskowca. Miała może półtora metra wysokości. Przypominała nagrobną stelę. Wieńczyła ją korona cierniowa z kolczastego drutu. „Co to jest?” – zapytałem. Spojrzał na mnie poważnie, z głębi czarnego zarostu. „Pomnik wysiedlonej Łemkowyny” – powiedział powoli, nie spuszczając ze mnie wzroku. „Ale nie wiem, co mam wyrzeć, co napisać i chciałem się ciebie zapytać”. Jeszcze pomnik wykuł – pomyślałem i kolejny raz poczułem podziw dla niego. „Wiesz, wykuj prawdę. Tak jak było”. Uśmiechnął się lekko i powiedział, „Masz rację. Prawdę”. Pojechałem dalej. To było latem. Ale nie zdążył wykuć.

Umarł jesienią. Były już przymrozki. Znaleźli go na łące, kilkadziesiąt metrów od domu. Pewnie szedł szukać bydła, które zapuściło się w głąb doliny. Umarł na serce.

ZABIERAM GO O SIÓDMEJ RANO. CHAŁUPKA STOI W ŚRODKU WSI. Jest biedna i jedna z ostatnich drewnianych. Lecz wygląda schludnie. Ubogo, ale chędogo. Wita mnie na oszklonej werandce, gdzie sypia w letnie dni. Na półce gra cicho małe radio. „Całą noc gra” – mówi. „Wtedy mogę spać”. A co – py-

tam – duchy cię straszą?” „No wiesz, jak jest” – odpowiada. Idzie do kuchni, coś tam pakuje do foliówki i wychodzi z zapalonym papierosem w ustach. Pyta, czy może z fajką do auta, a ja lekko wzdygam i tylko mówię, żeby otworzył okno. Jedziemy sobie w słoneczny poranek. To tu, to tam ktoś idzie do swoich spraw. Nie ma już krów, nie ma już kur. Jedzie pusty autobus, bo ludzie mają auta. „Stań pod sklepem, prezes” – tak do mnie mówi: prezes. Wysiąda, macha niedbale kolegom, którzy stoją w cieple poranka i czekają, aż coś się trafi. Po chwili wychodzi ze spęczniałą reklamówką. Z lekkim sykiem otwiera pierwszą puszkę, zanim w ogóle ruszymy. Wypija połowę i zaczyna mówić. Opowiada o tym, co było wczoraj, przedwczoraj, u kogo pracował, z kim kończył wieczór, co będzie jutro, a czego na pewno nie będzie. Lubię go słuchać, bo opowiada tak, jakby to wszystko akurat oglądał i tak, jakby wiedział, że to wszystko złuda, funt kłaków, że to nieważne, że trzeba mówić tylko po to, by nie słyszeć duchów. Że trzeba mówić, by w ogóle żyć. W dodatku mówił zabawnie i śmiał się z samego siebie, jakby chcąc przetrwać w świecie, który uparł się go zmiażdżyć. Za pomocą psychicznego ju-jitsu. Kiedyś niespodziewanie spowaźniał, ale nie przerwał wartkiego potoku słów i opowiedział, że zabili mu brata. Wciągnęli do jakiegoś mieszkania czy meliny i zabili dla telefonu komórkowego.

Kiedy dojeżdżamy, zaczyna od skręcenia kilkunastu papierosów, żeby mieć zapas na cały dzień. Potem zdejmuje koszulę. Ma ciemnobrązowy tors od nieustannej pracy na słońcu. Zapala piłę i zabiera się do cięcia bukowych kłoców. Pracuje w równym, nieustępliwym rytmie. Robi sobie odmierzone przerwy – tyle co na papierosa i kilka łyków piwa. Przypomina maszynę, która nie zna zmęczenia ani się nie skarży. I tak do wieczora. ©

Sąd Rejonowy w Mińsku Mazowieckim zawiadamia, że pod sygn. I Ns 810/18 toczy się postępowanie z wniosku Piotra Wąsowskiego o zasiedzenie nieruchomości – działki nr 206/1, oznaczonej w ewidencji gruntów jako grunty orne, położonej w miejscowości Wąsy, gm. Kałuszyn.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, aby zgłosili się do tutejszego Sądu w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia pod rygorem pominięcia ich praw w toczącym się postępowaniu.

W Sądzie Rejonowym w Przysusze pod sygn. akt sprawy I Ns 412/18 toczy się postępowanie z wniosku Anny Pilch z udziałem Dariusza Załęckiego i Julianny Kamińskiej, o stwierdzenie nabycia spadku po Edwardzie Stanisławie Załęckim, s. Antoniego i Genowefy, zm. 15 stycznia 2012 r. w Gdyni, a mającym ostatnie miejsce zwykłego pobytu w miejscowości Wawrzyszów, gm. Wolanów.

Wzywa się spadkobierców wskazanego powyżej zmarłego, aby w ciągu 3 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Przysusze i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

OGŁOSZENIA

CO MIESIĄC WALENTYNKI

ANDRZEJ BARAŃSKI, REŻYSER:

Do 30. roku życia nie miałem pojęcia, co to miłość.
Miewałem zaczadzenia miłosne, ale to nie było to.
Dopiero jak poznałem Alinkę,
dowiedziałem się, czym jest miłość.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: W którym miejscu Pana żona zostawiała kartki?

ANDRZEJ BARAŃSKI: Przeważnie na szafce w przedpokoju, w ten sposób, bym po przyjściu je zauważył.

Po przeczytaniu od razu Pan je chował?

Staralem się. Wkładałem je do koperty biurowej, przez 40 lat nazbierało się. A potem całą ich zawartość przełożyłem do pudełka. Żona nigdy nie zobaczyła tego zbioru.

Pisała: „Kochanie, całuję. Myślę, że wyniki są dobre”. Albo: „Andrzejku! Wróć o 13.00. Obiad będzie o 14.00. Poszłam do Realu i fryzjerki. Całuję, AB”. Lub: „Kochanie, idę do prawnika na 19.30. W piecyku mikrofalowym są naleśniki chińskie, odgrzej sobie. Jest świetna babka ze śliwką do herbaty. Całuję Twoją AB”. Cała książka „Moja Albinoczka, która potrafiła mocno kochać” składa się z kartek i listów pisanych do Pana przez żonę.

W tej chwili każda z tych kartek jest bezcenna. Kiedy pani je teraz czyta, mam ściśnięte serce. A produkcja książki odbywała się w absolutnej tajemnicy, dopiero w prezencie pod choinkę położyłem „Moją Albinoczkę” najbliższym. Wszyscy zaczęli płakać... I mimo że byłem oswo-

jony z materia, znałem te kartki, czytałem po wielokroć, ryczałem jak dziecko. One mają moc wybuchową.

Dlaczego nie pokazał Pan zbioru kartek żonie?

Nieumyślnie. Sądziłem, że jak jeszcze więcej uzbieram, to wtedy je rozłożymy i będziemy sobie to oglądać. Możliwe, że wcześniej nie chciałem krępować żony, bo przecież je cały czas pisała.

Coś innego mieliśmy wspólnego. W drewnianym, ozdobnym pudełeczku pochowane były przedmiociki intymne, czytelne wyłącznie dla nas, związane z konkretną okolicznością. To były zwykłości – guziki od koszulki, haftka, perełka, jakaś błyskotka... Alinka wielokrotnie mnie namawiała, byśmy pudełko otwarli i razem przeglądaliśmy, ale jakoś to odkładałem, nie zdążyliśmy. Do pudełka zajrzałem dopiero, kiedy żony już nie było.

Był Pan dla żony całym światem, to się czyta w każdym słowie, które napisała.

Zdawałem sobie z tego sprawę, ale w momencie, kiedy otwarłem tekturowe pudełko z kartkami, myślałem, że umrę.

Od emocji?

Wcześniej znałem treść pojedynczych kartek, ale kiedy nagle zobaczyłem je

wszystkie, taką ilość gorących wyznań miłosnych, i wiedząc, że już odeszła... Długo nie mogłem złapać tchu.

Pamięta Pan dzień, w którym się poznaliście?

Na planie filmu „Linia”, 13 kwietnia 1974 roku. Byłem wtedy asystentem reżysera, Kazimierza Kutza, a żona – dekoratorem wnętrz do tego filmu. Na ulicy Łąkowej w Łodzi, ówczesnej stolicy polskiego kinematografii, zwanej Hollylódź – to były czasy nadszereżnych zespołów filmowych i grup produkcyjnych organizu-



jących się na potrzeby konkretnego filmu. Każda ekipa dostawała biuro, w którym znajdował się gabinet szefa, kierownictwo produkcji filmu, pokój do spotkań z aktorami. Był też sekretariat, w którym akurat rozmawiałem z maszynistką. I wtedy weszła żona.

Przyszła żona.

Zwłaszcza że byłem zajęty w tym czasie. W jednym spojrzeniu między nami nastąpiło porozumienie, już na drugi dzień byłem wolnym człowiekiem; wolnym dla Alinki.

ANDRZEJ BARAŃSKI (ur. 1941 r. w Pińczowie) jest reżyserem i scenarzystą. Wyreżyserował m.in. „Kobietę z prowincji”, „Nad rzeką, której nie ma”, „Horror w Wesołych Bagniskach”, „Parę osób, mały czas”. Niedawno w wydawnictwie Ha!art ukazała się jego książka „Moja Albinoczka, która potrafiła kochać”.

Tak z dnia na dzień?

Strasznie pragnąłem być blisko niej. Sytuacja zresztą sprzyjała, bo jednym z moich obowiązków jako asystenta reżysera było dopilnowanie rekwizytów. Natychmiast poszedłem sprawdzić rekwizyty. Z Alinką zaczęliśmy rozmawiać, potem była kawiarnia na mieście... Kazimierz Kutz opowiadał, że jak mu się zdarzyło zobaczyć Alinkę albo mnie, to już wiedział, że druga połowa jest gdzieś w pobliżu.

Wkrótce produkcja przeniosła się do Sieradza, wtedy miasta wojewódzkiego. Popadłem w konflikt z kierownictwem ➔

→ produkcji i w gniewie napisałem podanie o zwolnienie. To było głupie: od momentu zwolnienia nie miałbym prawa być na planie filmowym obok Alinki. Podanie zanieśliśmy do kierownictwa produkcji, sprawę postawiłem na ostrzu noża. Za dwa dni Alinka mówi, że w produkcji pytają o mnie. Co się okazało? Kierownik produkcji nie przeczytał dokładnie tego, co napisałem. Był przekonany, że chcę się zwolnić na jeden dzień. Ja zdążyłem ochłonąć, przystałem na jego interpretację i wróciłem do ekipy.

Żeby być blisko przyszłej żony?

Ekipa mieszkała w domkach campingowych nad zalewem. Alinka i ja mieszkaliśmy w oddzielnych domkach, ale mój współlokator prawie zawsze był nieobecny – miał swoje towarzystwo. Wtedy normy tzw. „ukrętu dziennego” mierzono według scenopisu – trzeba było nakręcić 25 metrów ekranowego materiału, w dzisiejszych czasach bywa, że jest to i sto metrów taśmy. W związku z tym dawna ekipa miała dla siebie dużo czasu, spożycie trunków było wysokie, ale dzięki temu kwitło życie towarzyskie. Domek z domkiem spotykał się. A my z Alinką najchętniej izolowaliśmy się, chcieliśmy być sami. Wówczas w sklepach pojawiły się pierwsze wędzone kury – to była oznaka gierkowskiego dobrobytu. Szliśmy do miasta, delektowaliśmy się tą nowością.

Potem była wizyta u niej w domu, byłem przedstawiony Kasi, córce Alinki z pierwszego małżeństwa. I zrobiłem wstrząsające wrażenie. Mieliśmy grać w karty, w tysiąca, stanęło, że będziemy grać na pieniądze. Ograłem je, później Alinka mówiła: „Jak ty w mogłeś, przyszedłeś tutaj pierwszy raz, dziecko i mnie z pieniędzy oskubałeś”. A ja uważałem, że mimo wszystko trzeba grać serio, miałem dobrą kartę. *(śmiech)*

Albina Barańska jako dekorator wnętrz pracowała przy wszystkich Pana filmach, a także tych reżyserowanych przez Hasa, Antczaka, Hoffmana, Morgensterna, Wójcika, Królikiewicza, Kędzierzawską...

Mówimy: dekoratorka wnętrz, a przecież wiele filmów zrobiła jako kostiumograf. Pod tym względem zestresowane były kostiumografki, które z mną pracowały. Wiedziały, że żona świetnie czuje kostiumy. A Alinki pierwsza praca, jeszcze w latach 50., to było projektowanie fira-



Andrzej Barański z żoną Albina, lata 80., Łódź

nek i dywanów w łódzkiej fabryce. To, co zaprojektowano, musiała zaakceptować komisja, również sekretarz partii i inni podobni znawcy estetyki. Więc przed zgłoszeniem projektu wszyscy szli ze swoimi projektami do żony. Pytali: „Powiedz, to przejdzie czy nie przejdzie?”. I żona najczęściej trafnie wyrokowała. Brało się to z tego, że ona projektując wzór, widziała dom i jego mieszkańców, do których trafił tkanina. A jednocześnie projektowała pięknie. Jeszcze po latach, podczas poszukiwania mieszkań do filmu, spotykała swoje tkaniny. Praktycznie wszystko, co zaprojektowała, szło do produkcji, ku zadowoleniu załogi fabryki. Bywało, że po latach na ulicy w Łodzi spotykaliśmy starych majstrów, którzy mówili: „Pani Aluniu, pani to była dobra...”.

W końcu Albina Barańska trafiła do branży filmowej. Zadebiutowała w 1960 r. w „Marysi i siedmiu krasnoludkach”. Rok później pracowała już na planie „Świadectwa urodzenia” przy noweli „Kropla krwi”. Bohaterką była ukrywająca się w sierocińcu żydowska dziewczynka, u której Niemcy odkrywają typowe aryjskie cechy. Reżyser, Stanisław Różewicz, zachwycił się już pierwszym działaniem Albiny Barańskiej, która przybrudziła i postrzępiła biały kołnierzyk przy sukience dziewczynki.

A wkrótce cała garderoba dziewczynki mówiła wszystko o jej sytuacji.

Żona najpełniejszy wyraz dramatyczny budowała z rzeczy zwykłych. Wprawiała reżyserów, na czele ze mną, w zachwyt

tym, że potrafiła przy pomocy martwych przedmiotów przekazać prawdę życiową. Nigdy nie operowała oczywistościami, chodziło o drobiazgi.

Zdjęcia do mojego filmu „Dwa księżycy” kręciliśmy w Kazimierzu. Dzień zdjęciowy skończył się, ekipa pakowała sprzęt. Wcześniej kręciliśmy scenę, w której panna Walentyna, którą grała Anna Polony, przegląda album i między jego kartkami znajduje zdjęcie ukochanego sprzed lat. Żona, idąc ścieżką, znalazła piękny, zwidyły liść. I od razu wiedziała, że ten liść trzeba włożyć tam, gdzie jest zdjęcie w albumie. Wymogła na mnie, że jeszcze raz ustawiliśmy kamerę i nakręciliśmy to ujęcie. Alinka potrafiła zauważać rzeczy i małe, ale też duże. Drugi przykład: scena w kościele, kamery są już gotowe do filmowania. Nagle żona wchodzi i mówi: „Stop!”. Pytam: „O co ci chodzi?”. Ona: „Przecież barierki nie ma”. Kierownik produkcji: „Zwarowałaś? Wiesz, ile by kosztowało zrobienie tej barierki?”. Ona: „Takich rzeczy się nie wyrzuca”. I rzeczywiście, ksiądz sam nie wiedział, że ma schowaną gdzieś barierkę. Znalazł ją, wyciągnął – piękna zabytкова barierka.

Znała się na architekturze?

Wręcz organicznie odczuwała przestrzeń – kiedy czegoś w niej brakowało lub było fałszywe. Była mocno wyczulona na piękno rzeczy przed kamerą.

Dekoracje w większości filmów w olbrzymim stopniu bazują na rzeczach pożyczonych od kolekcjonerów, oni tworzą oddzielną branżę. Poprzez żonę wielu z nich poznałem.

Znałem księdza kolekcjonera. Drzwi do jego mieszkania się nie zamykały. Gdy potrzebny był różaniec, to ksiądz pokazywał ich sto. I doświadczony rekwizytor wziął nie jeden różaniec, tylko dziesięć, by reżyser mógł wybierać, a nie kaprysić.

Znałem też inżyniera, który jeździł po wsiach i skupował rozmaite rzeczy – w zdezelowanym meblu dostrzegał prawdziwą jego postać. Miał opanowaną technikę zdejmowania farb, którymi ludzie „upiększali” swoje meble. I za chwilę dekoratorzy wewnątrz w Warszawie czy w Krakowie wiedzieli, że na rynku jest coś tak fantastycznego. Doszedł do imponującego zbioru mebli. Byli i tacy, którzy mieli jeden, absolutnie unikatowy mebel, który pojawia się w dziesiątkach polskich filmów.

ANDRZEJ BARAŃSKI:

Kiedy wojna się skończyła,
Alinka wraz z rosyjską
koleżanką napisały
i wysłały list do Stalina,
że jeśli znowu będzie wojna
to one popełnią
samobójstwo.

Jeden z największych łódzkich kolekcjonerów początkowo prowadził wagon restauracyjny Wars. W pewnym momencie rozchorowała się jego jedyna córka i musiał zarobić większe pieniądze na zagraniczną operację. Zaczął kupować ciekawe przedmioty oferowane mu przez różnych podejrzanych pasażerów, a coraz więcej ich się zgłaszało. Udało się dziecko uratować, a on połknął bakcyl kolekcjonera. W końcu wynajął piętro w starej kamienicy, gdzie wszystko było zastawione wazami, półmiskami, zbrojami, przyrządami nawigacyjnymi, obrazami malowanymi w różnych stylach.

Dla filmu tacy ludzie byli niezwykle użyteczni. Żona miała z nimi świetny kontakt. Kiedy była nagła sytuacja, nawet w środku nocy, dostarczali potrzebną rzecz. Dawni dekoratorzy wewnątrz mieli grube notesy z adresami ludzi, którzy wypoczywały; notesów tych strzegł jak oka w głowie.

W Pana mieszkaniu, w którym rozmawiamy, też widzę same piękne przedmioty.

Ale na pewno jest ich mniej niż w naszym łódzkim mieszkaniu, tam rzeczy były wszędzie, i małe, i duże. Do Warszawy sprowadziliśmy się 20 lat temu z postanowieniem, by nie popełniać tego sympatycznego błędu po raz drugi. Gdy opuszczaliśmy Łódź, nasz znajomy, który urządził oryginalną kawiarnię, otrzymał od nas rzeczy do jej wystroju – więcej, niż potrzebował.

A co żona kolekcjonowała?

Koronki, miała unikatowe egzemplarze. Punktem stałym okresu przygotowawczego do produkcji filmu był tzw. skup. W wybranym mieście pojawiała się ogłoszenie, że odbywa się skup np. przedmio-

tów z początku XX wieku. Wtedy ludzie przynosili przeróżne rzeczy, niektóre interesujące dla filmu, a niektóre wyłącznie dla żony, która zawsze wypatrywała koronek. Niestety, któregoś roku pojechaliśmy na wakacje, w tym czasie nasza łazienka została zalana, a wraz nią kosz, gdzie leżały koronki. Alinka żałowała bardzo, myślała, że kiedyś przekaże ten zbiór łódzkiemu Muzeum Włókiennictwa.

Co jeszcze kupowała?

Nie da się ukryć, że była zakupoholiczką. Lubiła odwiedzać sklepy i nigdy nie wracała z pustymi rękami. Znała dziesiątki sprzedawczyń i kierowników z branży handlowej.

Rzeczami obdarowała siebie i mnie na kilka istnień do przodu. A ponieważ zawsze to, co kupiła, było naprawdę bardzo ładne, więc mój protest był słaby. Kiedy jeszcze mogła mówić, zadysponowała, żeby pozostałych po niej rzeczy nie rozdawać, tylko wszystko przekazać na cele charytatywne.

Przekazał Pan?

Nie. Ani ja, ani córka nie jesteśmy w stanie. Trzeba będzie to zrobić, ale wciąż odsuwam termin.

Wiem, że Pana żona urodziła się w 1932 r. w Taganrogu nad Morzem Azowskim.

Jej ojciec był Polakiem, pochodził z okolic Łowicza. Był człowiekiem niezwykle porywczym: jeszcze jako młodziemiec zaatakował Rosjanina w obronie godności Polaka i został zesłany na Sybir. Matka Alinki była Rosjanką – pochodziła z rodziny Kozaków dońskich. Dzieciństwo żony w Taganrogu to były lata strasznego terroru stalinowskiego. Wieczorem po mieście jeździł czornyj woron i zbierał nieszczęśników. Ledwie Albina zaczęła chodzić do szkoły, to Niemcy wywieźli jej całą rodzinę na przymusowe roboty i ulokowali na lotnisku Tempelhof w Berlinie. To był rok 1942. Żona pamiętała miesięczną podróż koleją. Poza Taganrogiem nigdzie dotąd nie była, a teraz widziała same straszne okupacyjne obrazy.

W barakach na terenie lotniska Tempelhof mieszkano od 1940 roku 3 tysiące przymusowych robotników pracujących w przemyśle zbrojeniowym.

→ To była ciężka szkoła przetrwania. Żeby przeżyć, trzeba było chwycić się różnych sposobów. Ojciec Alinki pracował w dziale foteli lotniczych, więc miał dostęp do skóry. I z niemieckim majstrom z wydziału metalowego ustalili, że tamten zrobi patelnię, a za to otrzyma kawałek skóry. Bo wojna wojną, a ludzie mieli swoje relacje. W każdym razie Niemiec dostał skórę, natomiast ojciec żony wypróbował patelnię, a ona pod wpływem ciepła cała się wygięła. Okazało się, że Niemiec zrobił ją z blachy aluminiowej. Ojciec żony w porywie gniewu pobiegł do majstra i rąbnął go patelnią w głowę. Aluminium tak dokładnie ściśnęło jego głowę, że był kłopot ze zdjęciem patelni.

Niemiec oczywiście się nie poskarżył. Gdyby sprawa wypłynęła, obydwaj byliby rozstrzelani. Niemiec zrobił porządną patelnię i dalej żyli w zgodzie.

Na Tempelhofie rodzina Alinki żyła głównie w środowisku rosyjskim, zostali tam przywiezieni transportem rosyjskim. Polacy byli w mniejszości, ale jej ojciec wykorzystywał każdą okazję, by demonstrować polskość.

Na Tempelhofie montowane były ostateczne Ju 87, wyposażone w syreny akustyczne wywołujące panikę wśród mieszkańców bombardowanych miast, także Warszawy.

A Tempelhof co chwilę bombardowali Anglicy. I dla pewności to jeszcze lali fosforem, ludzie się palili. Anglicy prawdopodobnie wiedzieli, że są tam robotnicy przymusowi, lecz to ich nie powstrzymywało – cel strategiczny był ważniejszy. Robotnicy przymusowi nie mogli korzystać ze schronów, dla nich były płytkie transzeje, w których spłonęło wiele koleżanek Alinki.

Rodzinnie żony udało się przeżyć, mimo że któregoś dnia bomba lotnicza trafiła w sztabę, gdzie mieszkali. Rozpacz była straszna, natomiast żona cieszyła się nieprawdopodobnie. Tajemnica jest taka: począwszy od najmłodszych lat u Alinki zauważono, że ma dobry słuch, dlatego musiała chodzić do szkoły muzycznej i uczyć się grać na skrzypcach. A ona szczerze tych skrzypiec nienawidziła. Stąd radość, kiedy zniszczyła je bomba. Kiedy wojna się skończyła, Alinka wraz z rosyjską koleżanką napisały i wysłały list do Stalina: że jeśli znowu będzie wojna, to one popelnia samobójstwo.



Co jeszcze opowiadała o tamtych czasach?

Że z dziećmi niemieckimi utrzymywała kontakty handlowe. Towarem, dla którego każde dziecko niemieckie gotowe było ukraść chleb z domu, były kulki z łożysk – w samolotach to one głównie się zużywały. Alinka stała w pobliżu, kiedy mechanicy je wymieniali. Miała całe składy kulek. To była waluta, za którą można było kupić chleb.

Albo taka traumatyczna, a jednocześnie optymistyczna przygoda: w końcówce transportu do Berlina, przez przypadek, Alinka z siostrą zostały rozłączone z rodzicami. Przez pierwsze miesiące musiały sobie same radzić. Siostra Nela pracowała w warsztatach, Alinka sprzątała sztabę robotników. Któregoś dnia dowiedziała się, że na bocznicę, na drugim końcu Berlina, stoi transport. Były przesłanki, że tam są rodzice. Alinka sama przedzierała się przez wojenny Berlin, odnalazła rodziców i jeszcze przyniosła im bochenek chleba.

Być może z tego, że wszystko działo się wtedy na granicy życia i śmierci, brało się nieprawdopodobne przywiązanie żony do rodziców i olbrzymi szacunek dla nich, za to że bezpiecznie przeprowadzili swoje owieczki przez piekło. Mamę Alinki zdążyłem jeszcze poznać. To była kobieta waląca prosto z mostu, prosto myśląca i oceniająca ludzi. Natomiast moja Alinka uważała, by nikogo nie zranić. Ojciec był porywczy, ale jednocześnie bardzo delikatny. Mówiło się, że Alinka to córka tatusia, a Nela – mamusi.

Chętnie wracała do tych wspomnień?

Miała ogromny sentyment do tego miejsca. Zdarzało się, że nagle słyszę tupot wielu nóg na schodach i żona wchodzi z gromadką. Na ulicy usłyszała rosyjską mowę i czasami trafiała na ludzi z Taganrogu. Przeważnie to byli młodzi ludzie, przyprawiała ich do domu, częstowała

i wypyttywała, co tam jeszcze zostało z jej czasów. Na pożegnanie zawsze obdawała. Należała do ludzi niesamowicie bezpośrednich; do każdego, nawet największego monarchy, mogła podejść i natychmiast zjednać go szczerością i prostolinijnością.

A Pana czym zjednała?

Kobietą urodą, wdziękiem. Bardzo mi się podobała, była moim ideałem. Do końca była piękna. Wszystko mi w tym mieszkaniu przypomina Alinkę. Proszę zobaczyć, to leży na moim biurku.

Miniatury odlew nagiej kobiety częściowo ostoniętej włosami. O, jest i przyklejona pod spodem kartka.

„Kochany, to 23 lata, kocham niezmienne. Taką byłam, jak mnie poznałeś, zapamiętaj właśnie taką. Kocham na wieki, AB plus AB. 1987”. Zawsze na rocznicę ślubu dawaliście sobie jakieś prezenty?

Zawsze 13 każdego miesiąca. To było absolutnie święto, minimum kwiaty.

Co miesiąc walentynki...

Żona zmarła w marcu 2018 r. Siędem lat chorowała na otępienie, rodzaj alzheimera. Nie cierpiała. Ale choroba pozbała ją tego, co najbardziej lubiła: ruchu i mowy, a uwielbiała rozmawiać.

Moje wyobrażenie raju jest takie, że ona tam jest, w tamtym pokoju, nawet chora, ale żeby była.

To zawsze trudne.

Pamiętam, strasznie przeżyłem pierwszą śmierć w najbliższej rodzinie, kiedy ojciec umarł w 1973 r. Wróciłem z pogrzebu do domu i nie mogłem pojąć, że już go nigdy nie zobaczę, nie usłyszę, nie dotknę. Podszedł do mnie przemądrzały kolega, którego ojciec umarł wcześniej od mojego, i opowiedział mi, że to

wszystko minie... W przypadku żony nie wiem, czy kiedykolwiek będę mógł komuś, kto przeżył śmierć tak ukochanej osoby, coś poradzić, ani samemu przeżyć. Nic z tego nie rozumiem.

Wszystko nam przynosiło radość, każda sytuacja. Czy jechaliśmy do Sopotu, czy do Zakopanego, czy w góry, czy nad morze. Byłe blisko siebie.

Był Pan szczęściarzem.

Do 30. roku życia nie miałem pojęcia, co to miłość. Miałem różne zauroczenia, zaczadzenia miłosne, ale to nie było to. Dopiero jak poznałem Alinkę, dowiedziałem się, czym jest miłość. W książce nieprzypadkowo umieściłem zdjęcie, na którym podpisujemy akt małżeństwa – od tej chwili przez 40 lat byliśmy jednością.

Słychać to nawet w tym zdrobieniu „Alinka”.

Tak do niej najczęściej mówiłem. W wytwórni dla wszystkich była Balbina, dla ojca również była Albionczką. Dla mnie pod każdym imieniem była miłością i mądrością. Tak, prawdziwą mądrością, która brała się z miłości.

Zawsze na zakończenie zdjęć odbywa się huczny bankiet. Obecna jest cała ekipa, zjawiają się producenci, aktorzy. Podczas jednego z takich bankietów obecny w restauracji był również koń, który towarzyszył nam przez okres zdjęciowy. Głównym momentem bankietu jest podziękowanie reżysera dla całej ekipy, imiennie. Wymieniłem kilka wyróżniających się osób, a na końcu podziękowałem żonie, której praca najbardziej na podziękowania zasługiwała. Już wtedy po reakcji żony zauważyłem, że coś powiedziałem nie tak. Po powrocie do hotelu żona odbyła ze mną poważną rozmowę. Miała pretensję, że wymieniałem ją na końcu. Tłumaczyłem się, że jest przyjęte, iż osobę najbliższą wymieniania się na końcu. Alinka była innego zdania: „Jestem twoją miłością, i z tego powodu powinnam być wymieniana pierwsza. Nie ma nic ważniejszego, zwyczajnie, procedury, tylko miłość jest ważna”. Teraz to świetnie rozumiem.

© Rozmawiała

KATARZYNA KUBISIOWSKA



KASIA CHMURA-CEGIELKOWSKA / TEATRALNA.COM

Jerzy Trela w „Wyzwoleniu”, Teatr Polski w Warszawie

Gdzieśkolwiek jest, jeśliś jest...

DARIUSZ KOŚCIŃSKI

Jerzy Trela powraca na scenę jako widmo dawnego teatru. Zrodzonego dla publiczności dzielącej wspólne kody, zasoby wiedzy, pytania i wątpliwości. Teatru myślenia i poruszenia sumień. Za takim teatrem tęskni Anna Augustynowicz.

I NTERPRETATORZY „WYZWOLENIA” Stanisława Wyspiańskiego nie są w stanie rozstrzygnąć, czym właściwie jest przedstawienie, które na scenie teatru krakowskiego inscenizuje bohater dramatu Konrad. Czy Wyspiańskiemu chodziło o premierowy spektakl z udziałem publiczności, czy też ma to być próba przeprowadzana z właściwym tej sytuacji odsłonięciem teatralnej maszyny, powtórzeniami i niepewnością? Anna Augustynowicz w warszawskim Teatrze Polskim dokonała jed-

noznacznego wyboru: jej „Wyzwolenie” to próba. Próba teatru, którego nie ma. Teatru widma.

Na świecie jeszcze, lecz już nie dla świata

Teatr współczesny zna bardzo dobrze zastosowany przez reżyserkę zestaw chwytów: techniczni jawnie wywożący zza kulis elementy dekoracji, aktorzy na oczach widzów wwożeni na wózkach, widownia oświetlana, gdy mówi do niej Konrad. ➔

→ Nie ma wątpliwości, że wszystko, co oglądamy, dzieje się w teatrze i w teatrze jest zamknięte. Może najwyraźniej pokazuje to scena ze Starcem, w oryginale mówiącym Córkom o duchu polskim zamkniętym w katedrze na Wawelu. W spektaklu warszawskim jego słowa wypowiada z offu głos dyrektora Andrzeja Seweryna, podczas gdy punktowy reflektor oświetla wnętrze teatru. Jakby ktoś wywołał ducha tego przepełnionego historią miejsca...

To „Wyzwolenie” nawiedza wiele duchów, choćby duch pierwszej inscenizacji tego samego tekstu zrealizowanej przez tę samą reżyserkę, z tym samym aktorem, Grzegorzem Falkowskim w roli Konrada, i we współpracy z tym samym scenografem, Markiem Braunem (premiera na scenie Teatru Współczesnego w Szczecinie 13 grudnia 2003 r.). Jednak najważniejszy jest duch ucieleśniony w Jerzym Treli, który powraca w przedstawieniu Augustynowicz jako Duch Ojca, przybysz z innego czasu i miejsca – Konrad z pamiętnego „Wyzwolenia” Konrada Swinarskiego w krakowskim Starym Teatrze. Na początku słowami Ojca z dramatu Wyspiańskiego obarcza aktora grającego dziś Konrada rolę mściciela. Potem pojawia się na scenie w szczególnych momentach, w chwili rozpoczęcia najbardziej znanych, pamiętanych (także w jego wspinałym wykonaniu) monologów: „Chcę, żeby w letni dzień” i tzw. Modlitwy Konrada. Wypowiada je za Falkowskiego pełnym głosem i z pewnością starożytnego mistrza mocno odbiegającymi od zmiennych i wahających się tonów dominujących w grze „syna”.

Jerzy Trela powraca na scenę jako widmo dawnego teatru, który reżyserka próbuje przywołać i ożywić: teatru myślenia i wstrząsania sumień, zrodzonego przez i dla publiczności dzielącej wspólne kody, zasoby wiedzy, pytania i wątpliwości. Wciąż pamiętanego przez wielu, ale już jakby niemożliwego, bo choć Konrad podejmuje podawany przez Ojca ton i przejmuje od niego fragmenty dwóch

słynnych monologów, to jednak się w tym tonie nie utrzymuje, szybko powracając do sposobu, w jaki prowadzi większość swojej roli, sposobu jakże znamiennego dla teatru Anny Augustynowicz

Nie widzicie myśli mojej, tylko mnie

Dla wielbicieli reżyserki jej łatwo rozpoznawalny styl sceniczny to oryginalny język, wyrastający z właściwego jej rozumienia zadań i roli teatru. Dla przeciwników – coraz trudniejsza do zniesienia maniera. Wszyscy jednak od lat zgadzają się, że istnieje takie odrębne i swoiste zjawisko jak „Teatr Anny Augustynowicz”, opisywany zazwyczaj jako ascetyczny teatr słowa i myśli, pozbawiony spektakularnych efektów, skupiony na brzmieniach, które artystka rozplata, oddziela od siebie, pozwalając każdemu wybrzmieć po swojemu obok innych.

Jak przysłało na uczennicę Józefa Tischnera, reżyserka głosi, że „dramat staje się między bytami intencjonalnymi – między ludźmi, których potrzebuję wyjąć z obrazu świata, żeby im się dokładnie przyrzec”. Mimo pozornych podobieństw teatr Augustynowicz nie jest teatrem ubogim, usuwającym wszystko, co niezwiązane z eksplorującą siebie osobą ludzką. To teatr redukcji dokonywanej w poszukiwaniu istoty, a także teatr usiłującego zgłębić tę istotę ludzkiego umysłu, którego najważniejszym narzędziem jest słowo.

Trudno się dziwić, że szczególnym partnerem tego teatru jest właśnie Stanisław Wyspiański z jego upartym dążeniem do odsłonięcia rudymenarnego dramatu. To od niego zaczynała Augustynowicz „Kłątą” (1991) pracę w Teatrze Współczesnym w Szczecinie, którego dyrektorką artystyczną jest nieprzerwanie od 1992 r. To mierząc się z jego tekstami stworzyła jedno ze swych najgoręcej dyskutowanych inscenizacji: „Wyzwolenia” (2003), „Wesela” (2007) i „Akropolis” (2015). To do niego wróciła na początku roku 2019.

Jakżeż wy to żyć chcecie?

„Wyzwolenie” z roku 2003 było czytane jako komentarz do ówczesnej polskiej rzeczywistości politycznej – w spektaklu pojawiali się zmierzający ku nacjonalizmowi kibole, marzący o władzy medialni księża i politycy identyfikowani z przedstawicielami najważniejszych partii.

W inscenizacji ponownej Augustynowicz skupia się raczej na myślącej jednostce, niekoniecznie tylko, choć także – artystcie, niekoniecznie tylko, choć w dużej mierze – teatru. Zadaje razem z Wyspiańskim pytania o miejsce człowieka myślącego niezależnie w rzeczywistości, która z jednej, scenicznej strony opanowana jest przez katarynkowo groteskowe powtarzanie tych samych zautomatyzowanych gestów i wygłaszanie pustych słów, a z drugiej – ucieleśnia się jako ściana narastającej na widowni obojętności, niezrozumienia i znużenia.

Konrad Grzegorza Falkowskiego nie jest żadnym romantycznym bohaterem. Wprawdzie nazywa się Konradem, ale unika jak ognia wszelkiego patosu i poetyzowania siebie. Przede wszystkim wydaje się poszukiwać właściwego tonu i brzmienia wypowiedzianych słów, uważnie przy tym sam siebie słuchając. Mówienie jest dla niego procesem eksperymentalnego poznawania. W sposób właściwy teatrowi Anny Augustynowicz jej ulubiony aktor, z którym tak niedawno odniosła wielki sukces w „Ślubie”, po Gombrowiczowsku nasłuchuje sposobu, w jaki głos jego się w „Wyzwoleniu” rozlega. Mocno rytmizując tekst, zaskakując intonacjami, akcentując w nieoczekiwany sposób wybrane słowa, zdaje się poprzez wymowę rozważać znaczenia, wypróbowywać je, nasłuchując także, jak brzmią przetworzone w reakcjach innych.

Z punktu widzenia sztuki aktorskiej to bardzo trudna, a zarazem niewdzięczna praca. Falkowski porusza się nieustannie między Scyllą „pięknego” mówienia a Charybdą „przeżywania”, unikając tego, co publiczność skłonna byłaby uznać za efektowne. Nie krzyczy, nie wzdycha, nie dobywa słów z jakiejś głębi doświadczenia, ale też nie układa ich w kunsztowne frazy i nie upaja się ich brzmieniem. Wręcz przeciwnie: niekiedy rozrywa zbyt już narzucające się zestroje, zmienia tempa, do których ucho się przyzwyczaiło, a nawet zakłóca rytmy, które narzuca sama kompozycja poetycka. W efekcie wypowiadany przez niego tekst niemal

Sąd Rejonowy w Słubicach w sprawie pod sygn. akt I Ns 238/18 o stwierdzenie nabycia spadku po Józefie Stanisławie Gołasiu, zm. 11 kwietnia 2018 r. w Słubicach, którego ostatnio stałe miejsce pobytu znajdowało się w Słubicach przy ul. Żeromskiego 16/2, po którym majątek nie został ustalony – wzywa spadkobierców, aby w ciągu 3 miesięcy od dnia wskazanego w ogłoszeniu zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.



KASIA CHMURA-CEGIELKOWSKA / TEATR.POLSKA.PL

Stanisław Wyspiański „Wyzwolenie”, reż. Anna Augustynowicz, Teatr Polski w Warszawie

organicznie słyszy się jako tekst cudzy, podawany (dosłownie) przez aktora wykonującego (znakomicie) swoją profesję. Wspólnie z reżyserką dąży do tego, byśmy nie tylko usłyszeli Wyspiańskiego, ale myśleli z nim.

W obrębie świata sceny ta próba się nie udaje. Konrada otaczają aktorzy zaszpunrowani swoimi rolami i skupieni wyłącznie na nich. Ich teatrem, teatrem Polski Współczesnej dyryguje młodziutki reżyser (Marcin Bubółka), który potem partneruje nawet Konradowi wypowiadając kwestie Masek, ale wydaje się nie rozumieć niczego z tego, co się do niego mówi. W scenie z Geniuszem będzie parodiował tekst „Wyzwolenia”, wykrzykując groteskowo partię chóru. I on, i jego koledzy wydają się należeć do społeczeństwa ludzi niesłyszących siebie, a nawet – mówiących w taki sposób, żeby nie dało się siebie usłyszeć. Uosobieniem tej ogłuchłej na myśl zbiorowości jest w przedstawieniu Augustynowicz Geniusz (Miroslaw Zbrojewicz). Trzymany długo pod folią malarzką jak chroniony, ale niezbyt cenny posąg, schodzi w końcu z platformy z napisem „A. Mickiewicz”, by okazać się współczesnym graczem politycznym w ciemnych okularach z kibicowskim szalikiem w narodowych barwach – prezydent lub premier przybyły na supernarodowe zawody w lotach narciarskich. Geniusz mówi tonem dzisiejszych (nie tylko polskich) aktorów politycznych – zaciera sens słów wypowiadanych potoczyście, z pewnością siebie, bez wahań. To uciekając przed taką właśnie (nie)mową Konrad eksperymentuje, szuka zaskakujących brzmień, myśli słowa wypowiadając je.

Podążanie za tym procesem wymaga skupienia i uwagi. Wymaga także – co tu krzyć – pewnej wiedzy i zaangażowania. To nie jest teatr serwowania na tacy spektakularnych scen i zachwycających obrazów, konceptów i stand-upowych potoków dowcipu. I tu właśnie Wyspiański i Augustynowicz ponownie napotykają mur społeczeństwa niesłyszących – tego samego, które wystawione zostaje na scenie. Siedzący obok mnie ludzie w większości strasznie się męczą, nawet jeśli nie okazują tego tak demonstracyjnie jak starszy pan, który – może z racji niedosłuchu – po usunięciu ze sceny ostatniego z wielu mebli mówi głośno i z ulgą: „Sprzątają – to zaraz będzie koniec”. Widzowie w Teatrze Polskim są dobrze wychowani, ładnie ubrani i dostosowani do tradycyjnego, mieszczańskiego wnętrza. Ale męczą się strasznie i widać, że Konrad przechodzi obok ich życia.

O biedny, o kochany

Augustynowicz wydaje się przewidywać te reakcje i wystawia je w finale warszawskiego „Wyzwolenia”, będącym w dużej mierze autorską kompozycją reżyserki, a zarazem bodaj najciekawszą częścią spektaklu. Po wielkim monologu Konrada Geniusz, przeganiany zaklęciami z Mickiewiczowskich „Dziadów” wykrzykiwanymi groteskowo przez Reżysera, nie znika. Stoi i uśmiecha się, spokojnie patrząc na Falkowskiego. Schodzi ze sceny dopiero, gdy Reżyser mówi ironiczne didaskalia o Geniuszu-Prospe-rze. Odchodzącego żegna Harfiarka (Eliza Borowska) słowami z jednego z moich ulubionych fragmentów polskiej litera-

tury romantycznej – chóru z tzw. „Samuela Zborowskiego” Juliusza Słowackiego: „O biedny, o kochany / Srodze ty oszukany...”. Po odejściu Geniusza Harfiarka dopiero tu, w finale, wyśpiewuje swój monolog przeniesiony z oryginalnego aktu I, z powtarzającym się jak refren słowem „Nic”. Nicość, której częścią i my jesteśmy, zastępuje Erynie. Wszyscy powoli odchodzą. Jak na początku, zostają tylko Konrad i Duch Ojca, który okazuje się Starym Aktorem. Mówiąc jego poruszający monolog, Treła żegna się z synem, z nami, z teatrem. Tuż przed wejściem w ciemność kulis prosi słowami króla Hamleta: „Pamiętaj o mnie”.

Konrad zostaje sam. Znow zapalają się światła na widowni. Patrząc nam w oczy, wypowiada swoją klęskę: „Na proch się moją myśl skruszyła”... Niespodziewanie jeszcze raz powraca Słowacki i pochodząca z tego samego chóru wróżba, że „I stworzysz świat, jak tworzy Bóg / Ale nie świat realnych scen, / Lecz nikły świat – jak ze snu – sen”. Zostaje więc tylko teatr jako los? Kłątwa? A może właśnie próba wciąż ponawiana w nadziei, że kiedyś się spełni?

Światła powoli gasną i niemal w ciemności Falkowski mówi ostatnie słowa, które są zarazem słowami pierwszymi: „Idę z daleka... nazywam się Konradem...”. Jakby był zamknięty przez nasze niesłyszanie w błędnym kole, a cała jego sceniczna podróż okazywała się daremną.

Łatwo byłoby z tego doświadczenia wyprowadzić wniosek, że wbrew uporczywym nadziejom „Wyzwolenie” można już wystawiać tylko jako niezrozumiałe i niedostępne (jak czynił to Krzysztof Garbaczewski), a Wyspiańskiemu i nam nie uda się uciec z wiecznego „Wesela”. W swoim przywiązaniu do dawnych dramatów sami jesteśmy upiorami, słusznie egzorcyzmowanymi przez poszukiwaczy nowej polskiej formy w obawie, byśmy się nie zamienili w upite narodem wampiry...

Tu jednak na szczęście ujawnia się paradoks wpisany w formułę, od której rozpocząłem. Próba z teatru, którego nie ma, odbywa się jednak w teatrze, a więc ten poszukiwany teatr myśli i sumienia pojawia się choćby jako projekt lub tęsknota. Nawet jeśli go nie ma, to nie ma go jeszcze. Jeśli jest widmem, to może jednak widmem przyszłości?

Usiłuję wyjść z Teatru Polskiego z nadzieją. Nie jest to łatwe, ale nikt nie mówił, że będzie. Podjeżdżają taksówki, pada śnieg.

© DARIUSZ KOŚCIŃSKI

Miliarder, ukochany potwór

JAKUB MAJMUREK

Nawet jeśli świat rządzony przez kilka ośrodków koncentrujących władzę i pieniądź jest nieznośny do życia, to trudno wyobrazić sobie siłę, która mogłaby rzucić im wyzwanie. O tym nam mówią seriale.

PRODUKCJA TELEWIZYJNA W OSTATNICH kilkunastu miesiącach wybrała sobie jednego ulubionego złoczyńcę – miliarda, którego bogactwo już przez samą swoją skalę fascynuje i przestrasza, zawiesza na co dzień obowiązujące prawa i reguły, stwarza problem dla państwa i społeczeństwa. Trudno się dziwić takim wyborom twórców. Od czasu protestów ruchu Occupy na początku dekady temat koncentracji bogactwa, nierówności społecznych i złowieszczonego wpływu „górnego jednego procenta najbogatszych” na współczesną demokrację nieustannie wraca w debacie publicznej.

Najciekawsze telewizyjne produkcje portretują owych najbogatszych, jednak tym napastliwym filipikom towarzyszy szczerza fascynacja. Bajeczne, skoncentrowane w rękach jednej osoby bogactwo wywołuje tyleż moralne wzburzenie, co podziw. Ta dwuznaczność w obrazie bogaczy najciekawiej artystycznie uwidacznia się w trzech dostępnych w Polsce na platformie HBO Go serialach: „Sukcesji”, „Trust” oraz „Billions”.

Jesień patriarchy

„Sukcesja” od początku wprowadza nas w iście szekspirowski klimat. Patriarcha kierujący wielkim koncernem medialnym, Logan Roy, dostaje wylewu. Przeżywa, ale nie bardzo jest w stanie mówić



Matthew Macfadyen jako Tom Wamsangs i Sarah Snook jako Siobhan „Shiv” Roy w serialu „Sukcesja”

i się poruszać. Leży przykuty do łóżka w swojej nowojorskiej rezydencji, poza pielęgniarkami i młodszą żoną nie dopuszcza do siebie praktycznie nikogo. Do walki o tytułową sukcesję ruszają jego dzieci, a zwłaszcza jeden z synów, Kendall. Ken od dawna był przekonany, że ojciec powinien ustąpić i przekazać mu władzę. Nadchodzą nowe czasy, gdzie dominującym medium nie jest już prasa i telewizja – czyli zasoby, na których opiera się biznesowa i polityczna potęga Roya. Prawdziwą władzę daje internet, którego Logan w ogóle nie rozumie.

Logan Roy przypomina króla Leara ze sztuki Szekspira. Ku zaskoczeniu własnego potomstwa okazuje się jednak o wiele bardziej odporny niż szekspirowski władca Brytanii. W jednym z pierwszych odcinków „Gry o tron” Cersei Lannister przerywa nudzący ją wykład członka Rady Królewskiej, tłumaczącego królowej, że „wiedza to władza”. Rozkazuje strażnikom przyłożyć doradcy sztylet do gardła i z zimną satysfakcją mówi: „władza to władza”. Rzucające ojcu wyzwanie dzieci Logana otrzymują podobną lekcję. Cała wiedza na temat „świata XXI wieku”, nowych mediów, gospodarki opartej na wiedzy, nowych sposobów prowadzenia biznesu, jaką wydaje się im, że mają, musi ustąpić wobec nagiętej władzy, którą ciągle – mimo

wieku i choroby – dzierży w swoich rękach Logan.

Krytycy w historii Royów dopatrywali się portretu medialnego imperium Rupert Murdocha. Podobieństwa są faktycznie liczne. Logan to mieszkający w Stanach Kanadyjczyk silnie wcześniej związany z Wielką Brytanią, Murdoch do Stanów trafił z Australii, przez Wielką Brytanię. Imperium Royów kontroluje prawicową telewizję informacyjną, oraz jedno z czołowych studiów hollywoodzkich. Imperium Murdocha – telewizję Fox News, główny składnik informacyjnej diety republikańskiej Ameryki, oraz wielkiego gracza z Hollywood, 20th Century Fox. Choć twórcy zaprzeczają – pewnie także z przyczyn prawnych – że chodzi o Murdocha, aluzje są oczywiste.

Zwłaszcza że „Sukcesja” stawia pytanie ciągle wracające w debatach nad medialnym imperium australijskiego magnata: jaki poziom koncentracji aktywów medialnych w jednym ręku zaczyna być problemem dla demokracji? Jak pogodzić wolność gospodarczą z troską o autentyczny pluralizm debaty publicznej? Twórcy „Sukcesji” nie udzielają odpowiedzi, nie mają jej też chyba współczesne demokracje. Choć ciągle czytamy długie analizy na temat negatywnego wpływu tabloidów Murdocha na brytyjską politykę czy Fox News na obecny kształt Partii Republikańskiej,

nikt nie ma pomysłu, co z tym można zrobić.

Moralna szara strefa

Twórcy „Sukcesji” rzucają nas w świat, gdzie nie ma miejsca dla sympatycznych bohaterów. Logan jest bezwzględny nawet wobec najbliższych. Kendall w niczym nie jest szlachetniejszy od ojca, tylko bardziej nieudolny. Pozostali synowie Logana w ogóle nawet nie próbują zrobić czegośkolwiek pożytecznego ze swoim życiem. Na ich tle pozytywnie wyróżnia się jedyna córka magnata, Shiv. Zamiast rodzinnego biznesu wybrała politykę. Doradza progresywnym kandydatom. Jako jedynej w rodzinie jej o coś chodzi. Trudno jednak powiedzieć, czy o wartości, czy przede wszystkim o własną karierę i pozycję polityczną. Na pewno potrafi być równie bezwzględna jak ojciec.

Jako widzowie z czasem zaczynamy się jednak przyzwyczajać do „moralnej szarej sfery”, w jakiej operują bohaterowie „Sukcesji”. Jakkolwiek na początku odrzucałyby nas ich gry i stawki, o jakie się toczą, mimowolnie wciągamy się w nie i zaczynamy komuś w nich kibicować.

W podobny sposób w sferę moralnej niejednoznaczności wciąga serial „Billions” – już od trzech sezonów. Oto historia ciągnącego się przez długie miesiące pojedynku między multimiliarderem, szefem własnego funduszu inwestycyjnego, Bobbym Axelrodem, a prokuratorem federalnym Chuckiem Rhodesem.

Axe, jak nazywają go wpatrzeni w niego współpracownicy, z pewnością ma wiele na sumieniu. Dla jak największych stóp zwrotu nie waha się naginać, a nawet przekraczać prawa, przede wszystkim jeśli chodzi o dostęp do informacji niejawnych. Jak się też szybko dowiadujemy, pierwsze wielkie pieniądze zarobił przy okazji zamachów 11 września 2001 r. Gdy cała Ameryka zamarła w przerażeniu, nie zdążyła jeszcze rozpocząć żałoby, on już uruchamiał transakcje dziko spekulujące na cenach akcji linii lotniczych. Rhodes z kolei wydaje się kimś zdeterminowanym, by nikt – niezależnie od majątku – nie stał ponad prawem.

Ten obraz z pierwszego odcinka bardzo szybko niemiłosiernie się komplikuje. Axe, choć nie zawsze uczciwy, nie doszedłby do swojej pozycji, gdyby nie wybitna wiedza o rynkach finansowych. Miliarder wychowywał się w biedzie, pra-

cował zarobkowo od dziecka, nie miał na starcie ani kapitału, ani znajomości. Jego kariera mogłaby posłużyć jako kolejna ilustracja „amerykańskiego snu”. Walijski aktor Damian Lewis (znany przede wszystkim z „Homeland”) bez większego wysiłku robi z Axe’a po prostu fajną postać, kogoś, z kim przeciętny widz chętnie wypiłby po pracy piwo.

Rhodes z kolei jest potomkiem amerykańskiej arystokracji. Jego ojciec jest kapitalistą uwikłanym w nie mniej podejrzane interesy co Axe. Rhodes może zajmować się służbą publiczną, finansowy dostatek zabezpiecza mu fundusz powierniczy. Prokurator doskonale czuje się w establishmencie. Zna wszystkich ważnych ludzi w Nowym Jorku, z dużą częścią z nich chodził do tych samych drogich, prywatnych szkół. Doskonale potrafi wykorzystać zaległe przysługi od sędziów, agentów FBI itd. Prokuratorę traktuje jak swój folwark.

Szybko podejrzewamy, że bierze on Axe’a na celownik nie tylko ze względu na troskę o praworządność. Że może chodzić raczej o rozgłos, jaki zapewni wyrok na miliardera, bardzo przydatny w planowanej od dawna przez Rhodesa karierze politycznej, albo o pokazanie „właściwego miejsca” parweniuszowi. Może też o to, że dla Axe’a jako terapeutka i coach w jego funduszu pracuje żona Rhodesa, Wendy – prokurator jest wyraźnie zazdrosny o bliskie relacje łączące małżonkę z pracodawcą.

Lekcje bezsilności

W „Billions” Ameryka jest krajem, gdzie za fasadą konstytucyjnej równości, wolności i prawa do dążenia do szczęścia toczy się brutalna walka drapieżników o pieniądze i władzę. Stawki tej gry są tak wysokie, że niemal każdy, kto trafia w jej pobliże i ma szansę się włączyć, zostaje uwiedziony. W trzecim sezonie do funduszu Axe’a dołącza Taylor Mason – młody człowiek, który nie identyfikuje się z binarnym podziałem płciowym i prosi, by zamiast on/ona zwracać się do niego „wy”. Taylor jako student/ka brał/a udział w protestach Occupy Wall Street. Gdy jednak dostaje od Axe’a możliwość obracania prawdą wielkimi pieniędzmi, błyskawicznie uwnętrznia ideologię miliarderów.

Ci, którzy nie dają się uwieść logice gry, zostają przez nią przemienieni, jak asystent Chucka, Bryan Connerty. Bryan wycho-

wował się w robotniczej rodzinie, odrzucił lukratywne oferty z prywatnego sektora, by jako prokurator stać na straży prawa. Jego idealizm wielokrotnie zostaje jednak w filmie ukarany. Dobre intencje nie są w stanie powstrzymać drapieżników – społeczeństwo może co najwyżej wybierać między ich bardziej lub mniej oświeconymi przedstawicielami. Przykładem tych ostatnich jest nowy szef Chucka w trzecim sezonie, ultrakonserwatywny prokurator generalny, Waylon Jeffcoat. Jeffcoat chroni przestępców w białych kołnierzykach, ale domaga się najwyższych wyroków dla sprawców wywodzących się z mniejszości etnicznych, religijny fundamentalizm gładko łączy z niezbyt uczciwymi biznesami.

Poczucie bezsilności wobec władzy i pieniędzy zostaje też w nas po spotkaniu z serialem „Trust”. Jest oparty na prawdziwej historii porwania przez włoską mafię wnuka naftowego magnata J. Paula Getty’ego – wówczas najbogatszego człowieka na ziemi – w 1973 r. Ten sam temat podejmował kinowy film Ridleya Scotta „Wszystkie pieniądze świata” (2017). W serialu udało się wydobyć z niego o wiele więcej.

Getty w genialnej kreacji Donalda Sutherlanda jest postacią jednocześnie śmieszną i straszną, groteskową i naznaczoną tragiczną wielkością. Mieszka w rezydencji z czasów Henryka VIII, otoczony haremem kochanek, stać go na zrealizowanie każdej zachcianki. Ma przy tym poczucie, że każdy chce okraść go z jego bogactwa, co owocuje paranoicznym skąpstwem. W swoim pałacu zakłada telefon na monety – by nikt z gości nie nabił jego kosztem rachunków telefonicznych. Getty ma trudny kontakt ze swoimi dziećmi, z żadnym z synów nie nawiązał dobrych relacji. Nie dziwimy się więc specjalnie, że gdy porwany zostaje jego wnuk, Getty oświadcza, że nie zapłaci ani centa.

Większość akcji „Trust” rozgrywa się we Włoszech. W kraju pełno jest hipisów, kwitnie kontrkultura, buzuje aktywność lewicowych i lewackich organizacji, ruchów społecznych walczących o świat, gdzie władza takich jednostek jak Getty nie miałaby już dłużej miejsca. I choć twórcy na końcu serii upokarzają starego miliardera, to nie mamy wątpliwości, że nawet jeśli on przegrał, to tym bardziej klęskę poniosły wszystkie sprzeciwiające się władzy Getty’ego tego świata plany naprawy ludzkości. Jeśli ktoś na końcu ➔

→ serialu „Trust” wychodzi z tarczą, to włoska ’ndrangheta – twórcy sugerują, że pieniądze od naftowego bogacza posłużyły jej do budowy obecnej pozycji najpotężniejszej organizacji przestępczej w Europie.

Czekając na nadzieję

Wszystkie trzy produkcje zostawiają widza z konstatacją, że nawet jeśli świat rządony przez kilka ośrodków koncentrujących władzę i pieniądź jest niezdolny do życia, to trudno w ogóle wyobrazić sobie siłę, która mogłaby rzucić im wyzwanie.

W „Sukcesji” pojawia się co prawda idealistyczny senator Gil Eavis. Głosi hasła podobne do Berniego Sandersa i toczy prywatną wojnę z medialnym imperium Royów. Doradczynią Eavisa ds. strategii zostaje córka Logana, Shiv – co jest dla niej trochę okazją do wkurzenia ojca, trochę zawodowym wyzwaniem. Szybko jednak okazuje się, że Eavis, jeśli będzie chciał zrealizować jakąkolwiek część własnego programu, będzie musiał się dogadać ze światem „górnego jednego procenta”. W świecie „Sukcesji” żaden lud – zdolny coś oddolnie wymusić na władzy – nie istnieje jako prawdziwy podmiot polityki. W sytuacji, gdy plac przed pałacem jest w zasadzie pusty, cała polityka toczy się w jego komnatach.

„Sukcesja”, „Billions”, „Trust” przynoszą głęboko odczarowany, cyniczny obraz społeczeństwa i rządzącego nim splotu polityki i pieniądza. Diagnozują trafnie, choć czasami zbyt dają się uwieść mistyce władzy i bogactwa, które próbują analizować. I choć każda z tych trzech produkcji to znakomita telewizja, w skumulowaniu męczą – jako odtrutkę aż chce się obejrzyć jakąś apologię wiary w prawdziwą demokrację, oddolną zmianę społeczną, równość i postęp w stylu „Pan Smith jedzie do Waszyngtonu” czy biografii Harveya Milk. Jakkolwiek nasza rzeczywistość byłaby odległa od nadziei zawartych w takich obrazach, potrzebujemy ich w popkulturze równie silnie, co zimnego spojrzenia za kurtynę politycznej i ekonomicznej władzy.

© JAKUB MAJMUREK

Uchodźcy z dzieciństwa

ANITA PIOTROWSKA

Nikt nie wie, ile bohater „Kafarnaum” ma lat, nigdy nie świętował swoich urodzin, nie figuruje w żadnych dokumentach. Jego pojawienie się na świecie, jak i nagłe zniknięcie mogłyby pozostać tak samo niezauważone.

CORAZ WIĘKSZĄ KARIERĘ ROBI OKRESLENIE „pornografia biedy”. Przekazom medialnym, fotografiom, filmom zarzuca się żerowanie zarówno na samym ubóstwie, jak i naszym poczuciu winy – a stąd już tylko mały krok do emocjonalnego szantażu. Podobne zarzuty stawia się oscarowym produkcjom w rodzaju „Slumdog. Milionera z ulicy” (2008) Danny’ego Boyle’a i niszowej „Ajce” (2018) Siergieja Dworcewoja. Granica bywa nader cienka i znacznie trudniej wyznaczyć ją przed kamerą niż w bezpośrednim obcowaniu z cudzym cierpieniem.

Wiedzą o tym reporterzy czy dokumentaliści uzbrojeni w profesjonalne obiektywy i dobre intencje – współczucie, dawanie świadectwa. Twórca filmu fabularnego, kiedy pracuje na „żywej tkance”, w scenarii autentycznej biedy, z udziałem opłacanych naturszczyków, też naraża się na moralne ryzyko. Historii fikcyjnej, dowolnie przetwarzającej „żywą” materię, może być nawet bliżej do eksploatacji. A widz może poczuć się niczym amator tzw. turystyki slumsowej, pielęgnujący nade wszystko bezpieczny dystans i łatwe wzruszenia. Libańska reżyserka Nadine Labaki wydaje się świadoma tych zagrożeń.

Nagrodzone w Cannes i nominowane do Oscara „Kafarnaum” wielokrotnie ociera się o taką właśnie „pornografię”. Występujące w filmie dzieciaki z bejruckich slumsów są słodkie i śliczne. Co więcej, z powodu niedożywienia i innych zaniedbań wyglądają na kilka lat młodsze. Ale dwunastoletni Zejn, który ucieka od rodziców, a następnie wytacza im proces,

dostaje od twórców filmu nie tylko status ofiary. Obok poczucia krzywdy gromadzi w sobie gniew, i tę właśnie emocję, nie zaś tanią litość, ma w nas wyzwać film Labaki.

W pierwszej scenie skazany za ciężkie przestępstwo chłopiec ponownie staje przed sądem, tym razem w charakterze powoda. Co jeszcze złego musi się przytrafić? – zastanawiamy się podczas rekonstrukcji zdarzeń. Wegetująca w nędzy wielodzietna rodzina, dziecięca praca ponad siły zamiast nauki w szkole, wszechobecna przemoc, sprzedana do małżeństwa jedenastoletnia siostra... Nic dziwnego, że Zejn więcej ciepła znajduje na ulicy, gdzie spotyka młodą etiopską emigrantkę Rahil, która przygarnia go w charakterze opiekuna dla jej rocznego synka.

Tu jednak rozpoczyna się kolejny dramat, a na wątłe barki chłopca spadają coraz większe ciężary. Coraz bliżej też do desperackiego gestu, który przypieczętowany zostanie sądowym wyrokiem. Ale największym dramatem Zejna, podobnie jak wielu innych dzieci libańskich, imigranckich, uchodźczych, jest ich formalne nieistnienie. Nikt nie wie, ile bohater „Kafarnaum” tak naprawdę ma lat, nigdy nie świętował swoich urodzin, nie figuruje w żadnych dokumentach. Zarówno jego pojawienie się na świecie, jak i nagłe zniknięcie mogłyby pozostać tak samo niezauważone.

Dopiero w tym kontekście rozpaczliwe oskarżenie rzucone przez dziecko na samym początku filmu przeciwko własnemu rodzicom – „za to, że dali mi życie” – przestaje być wykonywanym reto-





GUTEK FILM

Zain Al Rafeea w filmie „Kafarnaum”

rycznym chwytem. Albowiem wołanie Zejna to jeden wielki zarzut pod adresem dorosłych: o bezmyślne pomnażanie nieszczęścia, o seryjną, dziedziczną pokoleńowo niemilość, o swoiście rozumiane „złe urodzenie”. Można mieć do reżyserki pretensje, że wkłada w usta dziecka własne, aż tak literalnie i radykalnie brzmiące poglądy. Lecz Labaki wcale swego zaangażowania nie ukrywa, osobiście wcielając się w rolę sądowej obrończyni bohatera i dając jej własne imię.

Przedstawiona w filmie dziecięca odyseja, napędzana tyleż grozą, co zawadiackim humorem, którym twórczyni „Karmelu” nie od dziś potrafi rozładować ciężkie chwile, składa się na chwytający za serce obraz przyspieszonego dorastania. A może wypędzenia czy raczej uchodźstwa z dzieciństwa. „Kafarnaum” broni się właśnie swą niejednorodną konwencją, otwartą na różne skojarzenia. Chropawa, paradokumentalna faktura rozświetlona zostaje elementem cudowności, odsyłając do włoskiego neorealizmu albo jeszcze dalej, do prozy Dickensa – ponieważ przez dorosłych, wystawiany na rozmaite próby Zejn przypomina wszak Olivera Twista. I choć Labaki, pochodząca z rodziny chrześcijan maronickich, unika religijnych skojarzeń, tytułowe biblijne miasto, w którym Jezus miał dokonać najbardziej spektakularnych uzdrowień i wskrzeszeń, w jakimś sensie odżywa we współczesnym Bejrucie. Największym cudem wydaje się tutaj sam Zejn ze swoją siłą przetrwania, wewnętrzną busolą i poczuciem godności. Na podobny cud zakrawa fakt, że grający chłopca Zain Al Rafeea,

niepiśmienny syn syryjskich uchodźców, mógł w maju ubiegłego roku przedelfować po canneńskim czerwonym dywanie.

Chwilami Labaki zanadto szarpie nam nerwy scenami dziecięcej bezradności i bezbronności, to znów za bardzo tę historię dosładza, zwłaszcza rozbrzmiewającymi w tle smyczkami. Ryzykownie wpisuje się także w nieśmiertelny spór *pro choice* kontra *pro life*, bo przecież pytanie: czy lepiej byłoby dla Zejna, gdyby się w ogóle nie urodził, zakrawa tu na fałszywą alternatywę. Na pewno jednak inspirowane faktami „Kafarnaum”, gdzie zapach kurzu i spalin niemal wdziera się z ekranu w nozdrza, a mleko matki dosłownie miesza się z jej łzami, to coś więcej niż grająca na emocjach współczesna bajka w bardzo surowych dekoracjach. To również wezwanie do buntu przeciwko patologicznej rodzinie człowieczej, w której rządzi prawo silniejszego, a kolejna istota przychodząca na świat staje się częścią ludzkiej biomasy, pozbawionej indywidualnej tożsamości.

„Dokąd teraz?” – wypadałoby zapytać, przywołując tytuł poprzedniego filmu reżyserki, który z kobiecej perspektywy przyglądał się napięciom religijnym w dzisiejszym Libanie. Filmowcy nie są jednak od proponowania systemowych rozwiązań. Mogą jedynie, tak jak to robi Labaki, przedstawiać na ekranie różne odcienie piekła i donośnym głosem upominać się o najsłabszych. Czyli potraktować kamerę jako jedno z wielu narzędzi zmiany. ©

KAFARNAUM (*Capernaum*) – reż. Nadine Labaki. Prod. Liban/USA/Francja 2018. Dystryb. Gutek Film. W kinach od 22 lutego.

WARTO ZOBACZYĆ W TV [16 – 22 II]

1. Opowieści Hollywoodu



Teatr TV, reż. Kazimierz Kutz, Polska 1986, TVP Kultura, 19 II, 20.20

Zmarły niedawno reżyser filmowy pozostawił po sobie również znakomite spektakle. Przed nami przypomnienie sztuki Christophera Hamptona (scenarzysty „Niebezpiecznych związków” Frearsa), która traktuje o losach niemieckich imigrantów w „fabryce snów” lat 30. Występują m.in. Janusz Gajos, Anna Dymna i Jerzy Bińczycki.

2. Breslin i Hamill: mistrzowie reportażu



Dokumentalny, reż. John Block, Jonathan Alter, Stephen McCarthy, USA 2018, HBO, 21 II, 22.00, HBO2, 23 II, 00.15

Czym jest rzetelne dziennikarstwo? W odpowiedzi na to pytanie twórcy filmu sięgają po klasyków wymierającego gatunku. Nowojorscy pisarze Jimmy Breslin i Pete Hamill przez lata wyznaczali standardy i doskonalili swój warsztat, pisząc o najbardziej palących sprawach swojego miasta i kraju.

3. Pierwszy reformowany



Dramat, reż. Paul Schrader, USA 2018, Chili Scenarzysta „Taksówkarska” i „Ostatniego kuszenia Chrystusa”

nadal krąży wokół tematu zbawienia świata. Inspirując się Bressonem i Bergmanem, opowiada o zdesperowanym pastorze, który chciałby zażegnać katastrofę ekologiczną, sięgając po bardzo radykalne metody. Za ten scenariusz Schrader otrzymał właśnie nominację do Oscara. W roli głównej Ethan Hawke.

4. Period. End of Sentence

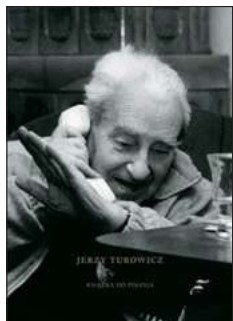


Dokumentalny, reż. Rayka Zehtabchi, USA 2018, Netflix

Kolejna oscarowa nominacja, tym razem w kategorii krótkiego dokumentu, przypadła filmowi mierzącemu się z tabu menstruacji. Bohaterkami są mieszkanki pewnej indyjskiej wioski, którym dostęp do podpasiek pomógł nie tylko w kwestiach sanitarno-zdrowotnych, ale także umożliwił edukację i rozwój własnej przedsiębiorczości.

Lektor:

Nagroda sprawiedliwych



■ JERZY TUROWICZ. KSIĄŻKA DO PISANIA

Wybór tekstów Anna Mateja
i Elżbieta Jogała. Wydawnictwo
Austeria, Kraków – Budapeszt –
Syrakuzy 2019, ss. 270.

MAM KŁOPOT Z „KSIĄŻKAMI do pisania”, wspierała serią Wydawnictwa Austeria. Portretuje się w niej postacie i miejsca poprzez teksty i fotografie, a pomiędzy nimi otrzymujemy przestrzeń dla siebie, puste strony, które możemy (powinniśmy?) wypełnić własną refleksją, komentarzem, współmyśleniem. I tu właśnie kłopot

– bo książki są zbyt piękne, by kalać je własnymi gryzmołami, bo portretowane postacie onieśmielają... Jerzy Turowicz zmarł przed dwudziestu laty, 27 stycznia 1999 r. Zdjęcie z okładki „Książki...” powstało ponad rok wcześniej, 10 grudnia 1997 r., zrobił je w mieszkaniu przy Lenartowicza Jacek Bednarczyk. Redaktor

odbiera telefon, lewą dłonią uciszając niesfornych, którzy gadają i przeszkadzają mu w rozmowie. Wśród tych niesfornych była jego żona, pani Anna, była Kasia Morstin, Bronek Mamoń, Michał Okoński i ja – przyszliśmy z życzeniami od redakcji na 85. urodziny.

Wewnątrz dalsze zdjęcia, od przedwojennych (cudowna fotografia ze ślubu Turowiczów w drewnianej kaplicy w Wilkowie!) po lata 90. No i wypowiedzi Redaktora na ważne dla niego tematy. Miejsce Kościoła w świecie współczesnym, rola chrześcijanina w życiu społecznym i przykazanie miłości jako fundament wszelkich jego działań. Polityka i Okrągły Stół. Kwestia antysemityzmu („antysemityzmu z chrześcijaństwem pogodzić się nie da”). Obrona sztuki współczesnej. Pasje czytelnicze. Zachwyt – Rzymem, świątynią w Segeście, głosem Elli Fitzgerald. Wizja przyszłości niepodległej już Polski. Niewe-

sołe proroctwa na nowy wiek, którego nie doczekał.

Oglądajcie, czytajcie, a jeśli macie odwagę – wypełniajcie puste strony. Na koniec dwie wypowiedzi, też z „Książki...”. Najpierw Wisława Szymborska: „W czasie wędrówki udzielał swojej mądrości wszystkim, których mijał. Jedni od razu wiedzieli, co z tak pięknym darem począć, drudzy z upływem własnych doświadczeń poznali się na jego wartości. Jeszcze inni do tej pory nie potrafią go sobie przyswoić. Jerzy był tego świadom, ale to go nie zrażało nigdy...”.

I Konstanty Gebert: „Powiedziane jest w talmudycznym traktacie Pirke Awot: »Nie ty winienesz ukończyć robotę całą, ale też nie możesz się uchylić od wykonania swojej części. A Panu twojej pracy zaufać możesz, że wypłaci ci twoje wynagrodzenie; i wiedz, że nagroda sprawiedliwych będzie na tamtym świecie«. Powiedziane jest o Jerzym Turowiczu”. ©©

TYGODNIK
POWSZECHNY

BANGLADESZ 2019 Pomóżmy uchodźcom z Birmy



„Tygodnik Powszechny” wraz z fundacją Dobra Fabryka Szymona Hołowni prowadzi akcję pomocy birmańskim Rohingom przebywającym w obozach na terenie Bangladeszu.

„Operacja antyterrorystyczna” – tak władze Birmy nazwały skoordynowany atak na wioski Rohingów w sierpniu i we wrześniu 2017 r., w którym – jak wynika z wyliczeń ONZ – zginęło co najmniej 25 tys. osób, a ponad 700 tys. zmuszono do ucieczki. Rok temu dzięki hojności Czytelników „TP” nasz reporter Marek Rabij pojechał do Bangladeszu relacjonować ten kryzys na miejscu.

Teraz prosimy o pomoc dla uchodźców. Nie uwolnimy ich od koszmarnych wspomnień i nie zwrócimy życia ich krewnym. Możemy jednak wzbogacić im ubogą dietę, wyposażyć szatasy w palniki gazowe, maty do spania, koce, opał. Będziemy również starali się ułatwić im dostęp do opieki medycznej. Zróbmy to razem!

Więcej informacji pod adresem: powszech.net/bangladesz
Bezpośredni link do zbiórki: powszech.net/bangladesz-zbiorka

PAWEŁ

Bravo: Jabłka z arki



PIĘĆ TYSIĘCY. TYLE PASAŻERÓW LICZY OD TYGODNIA Arka Smaku – jeden z pierwszych projektów zainicjowanych w 1996 r. przez młodzieżową wówczas rodzinę Slow Food. To były czasy, kiedy Carlo Petrini mówił jeszcze rzeczy oryginalne i świeże – dziś celebrycie każde swoje słowo jak powtarzalny do mdłości rytuał ostatniej wieczerzy mężów ekospawiedliwych. Otóż aktywistom spod znaku ślimaczka chodziło o stworzenie czegoś na wzór czerwonej księgi gatunków zagrożonych – ale o szerszym zasięgu. Nie byli bowiem naukowcami i o zawiłościach taksonomii, ewolucji oraz adaptacji mieli raczej blade pojęcie. Patrzyli na świat z perspektywy zastawionego stołu i pełnej spiżarni, a na życie społeczne jak na przedłużenie biesiady – dlatego rozumieli, iż bioróżnorodność, o jakiej rozprawia ekolog, ma zasadniczą wadę: traktuje Ziemię, jakby jej wcale ludzie nie zamieszkiwali. Tymczasem należą oni – stety lub niestety – do biosfery na równych prawach. Jesteśmy równie „bio”, jak każda zagrożona trawka czy żuczek.

Przyroda dla człowieka stanowi przede wszystkim środowisko, z którego czerpie pożywienie. O ile odrzucimy doświadczenia mistyczne, to nie ma dla nas innej perspektywy, chyba że ktoś potrafi na trwałe utożsamić się ze swoim kotem... A skoro tak, to inicjatywa mająca uchronić świat przed zubożeniem form życiowych nie może się sprowadzać do katalogowania ginących gatunków. Musi walczyć o zachowanie różnorodności tego, co powstaje na skrzyżowaniu natury i kultury.

Z tego, że ginie odmiana ananas berzeński (jeden z „polskich” pasażerów Arki Smaku), nie wynika wcale, żeby jabłoń jako gatunek była zagrożona. Przeciwnie: ilekroć mijam sady w powiecie grójeckim, gdzie po horyzont ciągną się monokultury jakże produktywnych drzewek, widzę, że gatunek ma się świetnie. Ale dla kogoś, kto lubił w dzieciństwie, kiedy babcia obierała mu właśnie jabłko tej wczesnej sierpniowej odmiany, a jego słodki smak łagodził ból końca wakacji, ważne jest, jaka to jabłoń. Z punktu widzenia przyrodnika zainteresowanego tym, jak by wyglądał świat ożywiony, gdyby w ogóle człowiek w nim nie kombinował, wszystkie dzisiejsze jabłonie są „mutantami”. Tu nie chodzi zatem o cofnięcie licznika do hipotetycznego stanu zerowego z czasów wspólnot zbieracko-łowieckich, tylko o złapanie momentu jako takiej równowagi między siłami przyrody a zapędami człowieka, który czynił ją sobie poddaną.

A kiedy to mianowicie było? Do jakiej Arkadii tęskni Slow Food? Czytam listę pasażerów Arki Smaku, wszystko tam pachnie XIX wiekiem, poza paroma wycieczkami w pierwszą ćwiartkę XX... Pozycja numer jeden to szczególna papryka ze wsi Motta w Piemontie. Z Polski np. piękny jaś z doliny Dunajca albo gruszka sapieżanka. Mnóstwo zwierząt, z samej Francji z tuzin kur i tyleż świnek, od nas owca cakiel podhalański i krowa polska czerwona. Jedne z ostatnich takich krów widziałem w gospodarstwie cystersów ze Szczyrzycy w Beskidzie, ich

mleko w serowni sławetnych serowarów Lorków zamienia się m.in. w cudowną polską wersję camemberta, którego oczywiście tak nie wolno nazywać, bo nazwę chronią unijne przepisy. Ale chronią opacznie – francuskie instytucje odpowiedzialne za normowanie produktów „oznaczonego pochodzenia” pod presją koncernów dopuściły mleko pasteryzowane na równi z surowym od krów z normandzkich łąk. Dlatego camembert również trafił do Arki Smaku (obok np. podhalańskiej bryndzy), ponoć w Normandii tylko już dwóch producentów robi ser po bożemu. Trzeci rzucił ser w diabły i uciekł na karty najnowszej powieści Michela Houellebecqa, o której powiada się, że proroctwo przepowiedziało bunt „żółtych kamizelek”.

Śmierzący ser jako powód do rewolucji? Coraz mniej zadowoleni w świecie, szukamy po omacku miejsc, gdzie jest swojsko i ciepło. Spiżarnia babci i sad pradziadka wydają się świętym symbolem takiego schronienia. Pamięć zbiorowa nie sięga dalej niż kilka pokoleń wstecz, dlatego „arkadyjska” lista Slow Food jest opowieścią o świecie nieskażonym przemianami ostatniego wieku. To, co się teraz w wielu krajach Europy odbywa, to jakby próba wzięcia tamtego stulecia w nawias. Emmanuel Macron już się przekonał, że nostalgia potrafi podpalić Paryż. A czy Warszawa zapłonie od tęsknoty za ananasem? ©



DOMENA PUBLICZNA

Znajdźcie w internecie ginącą rasę świnek cul noir z Limousin: czyż ich regularna czarna plama na tyłku to nie jest pomnik ludzkiej skłonności do piękna? Tymczasem z polskiej byle jakiej wieprzowiny robię jedną z ulubionych bomb kaloryczno-emojonalnych, wariant włoskiego spezzatino di maiale. Na kilku łyżkach oliwy dusimy 5 minut posiekane drobno cebulę, marchew i gałązkę selera naciowego. Dodajemy 3 duże ziemniaki pokrojone w dużą kostkę, dusimy jeszcze parę minut. Dodajemy ok. 3/4 kg łopatki wieprzowej pokrojonej w kostkę ok. 1 cm wielkości (nie musi być bardzo dokładnie oczyszczona), zwiększamy ogień, obsmażamy, aż mięso zmieni kolor, zalewamy ok. 100 ml białego wina, odparowujemy, dolewamy trochę wody tak, żeby prawie przykryła zawartość garnka, dajemy sól i gałązkę rozmarynu. Dusimy pod przykryciem na bardzo wolnym ogniu, co jakiś czas lekko mieszając. Po ok. godzinie ziemniaki powinny zacząć się rozpadać, w czym powinno pomagać nasze mieszanie, w miarę upływu czasu coraz bardziej energiczne. Dusimy więc dalej jeszcze z pół godziny, teraz jednak uważając, żeby potrawa w miarę gęstnienia nie przypalała się – musimy dolewać trochę wody lub bulionu, aż w końcu wszystko osiągnie konsystencję prawie papki (mięso też rozpadnie się na małe włókna). W końcowej fazie można dodać łyżkę koncentratu pomidorowego i/lub ostrej pasty paprykowej.

LAS JAK MIASTECZKO

Kiedy idę bosy,
zwierzęta nie mogą się nadziwić:
Co to za człowiek? Czego chce?
– mówi Marcin Kostrzyński,
autor filmów przyrodniczych.

ADAM ROBIŃSKI

PROSZĘ GO: – NIECH PAN OPOWIE O SWOIM LESIE. ODPOWIADA: – Jestem obsesyjnie przywiązany do tego kawałka ziemi. Tu się urodziłem, znam ludzi, znam las. Tu zawsze było pogranicze. Nawet w czasach rozbiorowych biegł tu rów rozdzielający carską Rosję od Niemiec. Tereny przygraniczne nigdy nie są w centrum zainteresowania. Może dlatego jest tu tak ładnie? A ja mam dobrą pamięć. Pamiętam dokładnie, gdzie 40 lat temu spotkałem lisa lub sarnę.

Górzno, powiat brodnicki, to pogranicze również współczesne. W sercu lasu, który Marcin Kostrzyński, internautom znany jako „Marcin z lasu”, traktuje jak swój biotop, spotykają się trzy województwa: kujawsko-pomorskie, warmińsko-mazurskie i mazowieckie. Z Warszawy to niby tylko 180 km, ale pokonanie ich zajmuje nawet trzy godziny. Szczególnie po śnieżycy. Za Sierpcem śnieg zalega na jezdni, tiry złołią w nim koleiny, kierowca jedzie z duszą na ramieniu.

Na kawę siadamy w restauracji, której budynek imituje XVIII-wieczny młyn wodny. Za oknem mamy zamrożone Jezioro Górznieńskie i trzy myśzołowy ślizgające się między koronami drzew. Rodzinny dom Kostrzyńskiego stał między tym a innym sąsiadującym z nim jeziorem. – Moi rodzice byli bardzo zajęci, więc wychowywałem się u cioci po drugiej stronie ulicy – opowiada. – Jej mąż pracował w lesie i często zabierał mnie ze sobą. Wsiadaliśmy na motor lub zaprzęg konny. Zajmował się głównie żywiciowaniem drzew. To bardzo spokojna, wyciszająca praca. Trzeba rano lub wieczorem podejść do sosny, naciąć rowek i patrzeć, jak skapują pojedyncze krople żywicy.

– To pan się wychował w tym lesie.

– Zawsze był w zasięgu ręki. Jak ktoś mieszka w dużym mieście, to nie ma takiego komfortu. A tu, w Górznie, są jeziora, jest kompleks leśny, i jeszcze niedaleko Drwęca z rozlewiskami. To taka mała Biebrza. Są bataliony i bieliki. To, że z sukcesami filmuję dziś zwierzęta, wynika głównie z tego, że znam ich zwyczaj, ale znam też teren. Wiem, gdzie je znaleźć. Wchodzę tam, gdzie mało kto wchodzi.

– Pamięta pan swojego pierwszego wilka?

– Oczywiście. Jako dziecko dużo chodziłem po lesie boso. Wtedy łatwiej niż w butach podchodzi się zwierzęta. Ma się też ekstra doznania. Coś łaskocze, coś jest ciepłe, coś mokre. Człowiek uzyskuje tyle informacji o podłożu, ile ze wzroku i słuchu. Ale jest jeszcze trzeci aspekt tej sprawy, który uświadomiłem sobie dopiero po latach. Chodząc boso, człowiek wyróżnia się z tłumu innych ludzi. Nie dość, że zostawia intensywniejszy zapach, to jeszcze intryguje zwierzęta. Nie jest grzybiarzem, myśliwym, leśnikiem. Taki wilk będzie mocno zafrapowany. Będzie próbował zrozumieć, o co temu człowiekowi chodzi. Więc kiedyś siedłem boso przez las i zobaczyłem, jak wilk idzie za mną.

Amnezja susła

W wydanej w ubiegłym roku książce „Gawędy o wilkach i innych zwierzętach” Kostrzyński tak opisuje swoje operatorskie początki: „Pracowałem w Górznieńsko-Lidzbarskim Parku Krajobrazowym, jakimś cudem namówiłem dyrektora, by kupił kamerę do dokumentowania naszych parkowych poczyną. To była pierwsza kamera, którą mogłem nagrywać przyrodę”.

Jednocześnie odwiedzał szkoły – pokazywał slajdy, opowiadał o zwierzętach. Kiedyś przyjechała do niego ekipa „Teleranka”. Zaprzyjaźnili się, więc Kostrzyński coraz częściej pojawiał się na ekranie. Przy okazji uczył się sztuki operatorskiej. Potem zapro-

sowano go do współpracy z redakcją dziecięcą Telewizji Polskiej, jeszcze później z programem „Animals”. Wreszcie trafił do Niemiec, a potem już do Puszczy Amazońskiej.

– Ale historię trzeba zacząć od podkreślenia, że kiedyś byłem myśliwym – mówi Kostrzyński. – W mojej rodzinie jest ich sporo. Wujkowie z bronią zawsze mi imponowali. Dalej się zresztą lubimy. Kształciłem się na leśnika, a łowiectwo było przedmiotem obowiązkowym. Miałem wyrzuty sumienia. Do tego stopnia, że nie jadłem mięsa. Nie tylko upolowanego. Żadnego. Wmawiałem sobie, że kto ma zabijać zwierzęta, jeśli nie ja, etyczny myśliwy? Potem rzuciłem studia i rzuciłem łowiectwo. Nie dałem rady.

Pierwszym filmem, który nakręcił na własną rękę, był dokument o susłach z lotniska w Świdniku dla niemieckiej telewizji ZDF. Nie wiedział, jak zabrać się do tematu. Słuszy siedziały pod ziemią, a kiedy wychodziły na powierzchnię, to tylko po to, żeby skubać trawę. Trudno przerobić to na 45 minut materiału. Dowiedział się jednak, że wybudzone z hibernacji cierpią na rodzaj amnezji. Nie pamiętają nic z poprzedniego sezonu. Wystarczyło pojawić się przed norą w chwili, gdy wychodzą z niej po raz pierwszy, by uznały kamerę za naturalny element krajobrazu. Film okazał się sukcesem, Kostrzyński montował go już w Ameryce Południowej, gdzie realizował kolejne zlecenie.

– Tam zrozumiałem, że większość filmów przyrodniczych może jest ładna artystycznie, ale nie ma w nich nic wspólnego z rzeczywistością. Nie pokazują normalnych zachowań zwierząt. Te filmy robi się na oswojonych lub odłowionych zwierzętach. W Amazonii trafiliśmy do wsi, w której prowadzono coś na kształt zoo. Producent kupował od Indian okazy po 20 dolarów za sztukę. Mieli cały repertuar amazońskich gatunków. Potem sprzedawano je do filmów. Zwierzęta nie wracały do natury. Eksploatowano je aż do śmierci lub po prostu zjadano. Jakby ktoś kupił parę rękawiczek, pobrudził i wyrzucił. Nie chciałem tak robić.

Czułość jelenia

Własną metodę pracy wysnuł z artykułu na temat zasad panujących w wytwórni Walta Disneya: ponad trzy czwarte ujęć w filmach dla dzieci powinno być wykonywanych z użyciem szerokiego kąta. Tak, aby widać było całe otoczenie. To dla dziecka naturalna perspektywa. A więc nie portrety zwierząt kręczone teleobiektywem, tylko szerokie ujęcia z małych, przenośnych kamer sportowych obsługiwanych zdalnie. Umieszcza je w wytrzymałych obudowach, chowa w sobie tylko znanych miejscach, a potem ustawia sterownik na automatyczne działanie. Kamery rejestrują obraz przez godzinę po wschodzie słońca. To czas największej aktywności zwierząt, z najlepszym oświetleniem. Przez resztę dnia obraz nagrywany jest tylko wtedy, kiedy czujnik zarejestruje ruch w obiektywie. Kiedy pokazuje potem w szkołach swoje filmy, pierwszą reakcją dzieciaków jest zwykle myśl, że to transmisja na żywo.

– Poza tym mogę każdą kamerę uruchomić zdalnie o dowolnej porze dnia. Dodatkowo one komunikują się ze sobą. Po dwóch latach takiej pracy okazało się, że mam nagrania dzikich zwierząt unikatowe w skali Europy.

– Ile ma pan takich kamer w terenie?

– Dzięki datkom od internautów dziewięć. Miałem dziecięć, ale jedną dopiero co rozjechał mi czołg na poligonie. ➔

→ Schowałem ją w piachu, przyjeżdżam, patrzę, a ślad gąsienicy dokładnie tam, gdzie moja kamera. Pech.

Przed spotkaniem naoglądałem się na grań „Marcina z lasu”. Hit z ostatnich miesięcy to pierwszy od wielu lat ryś w Górznińsko-Lidzbarskim Parku Krajobrazowym. Ostatni przedstawiciel tego gatunku zginął jeszcze w latach 80. XX w., zanim wpisano go na listę zwierząt chronionych. Ryś ma szczególnie ciężki żywot. O ile wilk niemal przez całą ciepłą połowę roku może żywić się tylko roślinami, o tyle użębie rysia sprzyja wyłącznie diecie mięsnej, głównie sarniej. Poza tym drapieżny kot do polowania wykorzystuje zwykle powalone pnie, których w typowym lesie gospodarczym nie ma. Taki las to dla rysia pustynia. Mimo to, gdzieś tam udaje mu się przetrwać.

W 2018 r. znajoma Kostrzyńskiego zobaczyła w podgórzyńskim lesie rysa trop. Zaczął więc odwiedzać te same miejsca, w których widywano te zwierzęta cztery dekady temu. Nie mylił się – znalazł odrapane drzewo i umieścił pod nim kamerę. Na zarejestrowanym filmie dorosły ryś najpierw obsikuje obiektyw, a potem go obwąchuje. Nie jest to ujęcie z katalogu sir Davida Attenborough.

– Jak się ogląda filmy BBC, to człowiek ma wrażenie, że antylopa nic, tylko ucieka przed lwami. Tymczasem prawdopodobieństwo, że zostanie zjedzona, jest mniejsze niż szansa, że ja albo pan zginiemy potrąceni przez samochód. Nam się wydaje, że zwierzęta w lesie są anonimowe. A tak naprawdę las to takie miasteczko. Wszyscy się w nim znają. Rozpoznają sąsiadów, rodziców, przedstawicieli innych gatunków. Widywałem kiedyś lochę, którą nazwałem Lochą Gryzącą w Tylek, bo faktycznie to robiła. Raz obserwowałem jelenie przy lizawce, które nic sobie nie robiły z towarzyszącymi im dzików. Aż tu nagle przyszła ona. Jeden rzut oka i jelenie uciekły, gdzie pieprz rośnie. Z kolei gdy dorosły byk spotka swoją bardzo starą matkę, zachowuje się odmiennie niż wobec innej łani. Podejdzie, polize, ona położy mu łeb na szyi.

– To nie tylko zwierzęta odróżniają pana od innych ludzi, ale i pan rozpoznaje poszczególne osobniki?

– Z dzikami jest o tyle trudno, że letnia szata różni się od zimowej. Ale nauczyłem się rozróżniać ich rysy. Podobnie z jeleniami. To kwestia opatrzenia. Co więcej, widzę podobieństwo wśród dzieci poszczególnych samic. Pula osobników, które rozpoznaję, zmienia się po każdym sezonie polowań. Najwięcej było w niej 40 dzików i kilkanaście jeleni.

Wolność dzika

Wsiadamy do samochodu, żeby zanurzyć się w las. Chatę w przysiółku Brzeziny kupił jako 17-latek. Pojechał do Belgii zarabiać na wymarzony aparat fotograficzny. Kiedy wrócił z 400 dolarami w kieszeni, okazało się, że chatę, którą znał ze swoich wędrówek po lesie, można kupić za połowę tej kwoty. Rodzice byli przeciwni, poprosił więc babcię, która przeżyła dwie wojny. Pomyślała: „Jak będzie kolejna wojna, to nikt cię nie znajdzie” – powiedziała, po czym wzięła na siebie formalności. Dziś Marcin Kostrzyński kręci filmy właśnie w tym lesie lub

Najdoskonalszą z konstrukcji Kostrzyńskiego jest zdalnie sterowany paśnik, w którym zimą dokarmia zwierzęta wtedy, gdy nie ma go na miejscu.

w promieniu 100 kilometrów od niego. Z przyczyn ekonomicznych rzadko zapuszcza się dalej w Polskę.

Śnieg sięga zderzaka, ale auto pewnie nie leśną drogą. Kostrzyński prowadzi i na bieżąco opisuje las:

– Tu rosły kiedyś tak grube sosny. Wujek mi opowiadał, że jak je dwie osoby piłowały, to nie widziały się nawzajem przez pień. A tu było bagienko. Kiedyś obserwowałem blisko niego rannego wilka. Leżał w jednym miejscu tak długo, aż się wyli-

zał. Wyrobiłem sobie dobrą orientację w terenie. Do lasu idę nocą, żeby nie wysłędzili mnie kłusownicy. Potem w ten sam sposób muszę znaleźć swoje kamery. Człowiek cały czas myśli o kierunkach, patrzy na gwiazdy. Moi przodkowie mieli to w małym palcu, ja próbuję nie wygasić w sobie tych umiejętności.

Aby pozostać niezauważonym, na śnieg zakłada nakładki na buty, które imitują tropy jeleni. W lesie zakopał też mnóstwo plastikowych beczek, w których chowa się nawet na całe dni. Mówi, że to czatownie idealne. Nie znajdzie jej poszukiwacz z wykrywaczem metalu, w środku jest sucho i ciepło, a na dodatek działa wi-fi, więc może tak siedzieć i obsługiwać kamery. Poza tym nie niepokoi zwierząt.

Po paru kilometrach wjazd na podwórko przegradza nam świeży śniegołom. Jest dom, jest budynek gospodarczy, dziecięca trampolina, nie ma za to płotu. W środku komfortowe warunki: prąd, łazienka, kuchnia ze zmywarką do naczyń i okno, przez które dziki zwykły podglądać, jak gospodarz je śniadanie. W kominie często gniazdują puszczyki, więc w piecu rozpala dopiero w maju, gdy go opuszczają.

20 lat temu założył w tym miejscu coś na kształt sierocińca. Pomaga chorym i rannym zwierzętom, nie trzymając ich za kratami. To rodzi problemy finansowe. Dotacje dla miejsc takich jak to wymagają prowadzenia spisu stanu zwierząt. Dzikie i jelenie, którym pomaga, pozostają na wolności. Na dowód swojej działalności ma tylko zdjęcia. Finansuje ją – razem z tą filmową – z wykładów, które prowadzi, oraz dzięki datkom internautów.

Kostrzyńskiego oburza to, że coraz częściej fotografowie nęcą zwierzęta.

– Wyrzuca się świństwo pod czatownią, przylatuje orzeł lub przychodzi wilk, fotografowie robią zdjęcia, a facet, który to organizuje, zarabia duże pieniądze. To jest łamanie prawa. Nie wolno dokarmiać dużych drapieżników. Tak samo leśniczy Kazimierz Nóżka z Baligrodu, który na filmach Lasów Państwowych woła do wilków i niedźwiedzi, narusza zasady. To są gatunki chronione prawem. Nie wolno ich płoszyć. Jak pan leśniczy krzyczy do niedźwiedzia: „Lesiu, idź spać”, to robi mu krzywdę. Zadziwiające, że Lasy Państwowe chwalą się takimi rzeczami w internecie.

Lęk kaczki

Sam, zamiast nęcić, woli zwierzęta przechytrzyć. Wyczytał kiedyś, że na widok wilka konie przyjmują bojowy szyk. Kłaczce otaczają źrebięta kołem, a ogiery próbują napastnika przepłoszyć. Bardzo chciał taką scenę nagrać, ale psy były przez konie ignorowane. Zdecydował, że wilka musi zbudować sam. Na zdalnie sterowany czołg nałożył coś na kształt bożonarodzenio-

wego turonia. Pierwszego dnia konie przeraziły się tak bardzo, że czmychnęły beładnie. Dopiero za kolejnym podejściem nagrał podręcznikową reakcję.

Innym razem skonstruował mechanicznego borsuka, którym wlaź do nory. Sztuczny bóbr okazał się z kolei porażką. Jego kształt wyciął z twardej poliuretanowej pianki, w środek wkleił kadłub sterowanej łodzi. Całość obłożył brunatną wykładziną. Ogon zrobił wycieraczki samochodowej. W głowie schował kamerę. Chciał tak nagrywać kaczkę i trzecie na bydgoskim kanale, ale ptaki reagowały na robobobra jak diabeł na widok święconej wody.

Najdoskonalszą z konstrukcji jest zdalnie sterowany paśnik, w którym zimą dokarmia zwierzęta wtedy, gdy nie ma go na miejscu. Wymyślił go, gdy zwierzęca ochronka działała pełną parą, a on sam musiał lecieć do pracy do Norwegii. Podajnik do mięsa do pieca przerobił tak, by syłać ziarno. Mechanizm może obsługiwać z dowolnego miejsca na planecie, byle mieć dostęp do internetu. System nigdy nie zawiódł.

Kiedy Kostrzyński wymienia kartę pamięci w przywierzonej do ściany szopki kamerze, obserwuję chmurę trznadli na pobliskiej sośnie. Tylko czekają, aż sobie pójdziemy. W czasie kilku minionych dob kamera nagrała sporo jeleni i trochę ptaków. Nie ma za to wcale dzików.

– Jelenie dziś też przyjdą. Pojawią się, jak tylko odjedziemy. Dawniej w ogóle nie przejmowały się moją obecnością. Leżały w śniegu i się nie podnosiły. Miały do mnie zaufanie. Ale polowania zbiorowe wytrącają je z równowagi.

– Afrykański pomór świń tu chyba jeszcze nie doszedł?

– Nie, ale dziki i tak zniknęły. Mam nadzieję, że poszły na skraj pół, tam gdzie nie ma polowań. I że potem wrócą. Wie pan, to nie jest tak, że ja nie znoszę myśliwych. Oni są potrzebni, ale nie w takiej postaci jak dziś w Polsce. Łowiectwo powinno być zawodem, a nie hobby. Nikt nie chodzi z pasji do rzeźni. Myśliwi też powinni być profesjonalistami. W tej chwili odstrzeliwane są zwierzęta z najlepszymi genami. Największe, z najładniejszym porożem. To widać w statystykach. Kilkaset lat temu dziki ważyły nawet 250 kg. Teraz jak waży połowę tego, to jest duży. Dobór naturalny premiuje największe

sze osobniki. A my robimy coś zupełnie odwrotnego. To jeden z powodów, dla których myśliwi robią wilkom taki czarny PR. Nie dość, że są ich konkurencją, to jeszcze pokazują, jak powinna wyglądać prawidłowa selekcja prowadzona przez drapieżnika.

Inteligencja wilka

Zanim wyjedziemy z lasu, musimy pomocować się z samochodem. Próbuje przepchnąć auto pod wzniesienie, zanim na dobre ruszymy z powrotem po własnych śladach.

– Pies zna znaczenie tysiąca dwustu słów. Czy to dużo? Pracowałem kiedyś z jedną telewizją, mieliśmy słowniczek 500 słów używanych przez przeciętnego widza. Nie chcę nikogo obrażać, ale najwyraźniej pies może ogarnąć dwa razy więcej słów niż normalnie funkcjonujący człowiek.

– Nie doceniamy potencjału intelektualnego zwierząt?

– A te dzikie są o wiele bardziej inteligentne od udomowionych! Sprzyja temu dobór naturalny. To absurd, że dziś dzika łatwiej spotkać w Warszawie niż w lesie, ale przy zmasowanych polowaniach z psami one doskonale wiedzą, że miasto jest dla nich najbezpieczniejszym miejscem. Mam nadzieję, że to się unormuje. Norma to znaczy, że zwierzęta żyją w dzikiej przyrodzie. W lesie.

– To co chciałby pan teraz nagrać?

– Przygotowałem kamerę, którą zainstaluję niedaleko potencjalnej wilczej nory. Schowam ją w pniaku. Przez trzy miesiące będzie pozostawać w uśpieniu. Jeżeli wilczyca uzna ją za stały element krajobrazu, potraktuje jak plastikową butelkę, to urodzi w norze młode. Kamera włączy się sama na miesiąc i sfilmuje prawdziwe relacje dzikiej wilczej rodziny. Potem wyłączę się, a kiedy nora zostanie na stałe opuszczona, odzyskam swój sprzęt. Zresztą kolega ma też zawieźć moje kamery do Malezji. Chcemy nagrać tygrysy. To trochę inny las niż ten mój.

© ADAM ROBIŃSKI

Działalność „Marcina z lasu” można wesprzeć na stronie patronite.pl/kostrzynski

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

PREMIERA

NAUKA W KUCHNI

czyli książka dla głodnych... wiedzy – już w sprzedaży!

Kiedy ludzie zaczęli gotować?

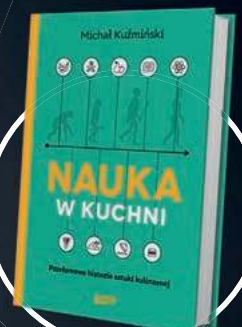
Jak wygląda gluten?

Czy da się wyhodować sałatę w kosmosie?

Skąd się biorą aromaty w winie?

Michał Kuźmiński, zastępca redaktora naczelnego „TP” i wieloletni szef działu Nauka, szuka odpowiedzi na te i inne nurtujące Was pytania w pierwszej swojej popularnonaukowej książce.

Szukajcie w dobrych księgarniach i na powszech.net/naukawkuchni



Poleca

TYGODNIK
POWSZECHNY

STANISŁAW

Mancewicz:

O fantastycznym planowaniu



A GDYBYŚMY TAK POSTANOWILI WEJŚĆ DO polityki wraz z mrowiącym się wokół otoczeniem, pośród którego mielibyśmy solidną reprezentację agentów esbecji, litych komuchów bynajmniej nie ostatniego szeregu, solidną garść oszustów, tajniaków, łapówkarzy i zawodowych kłamców. Zestaw ten uzupełniałyby bataliony koleśki bez żadnych kompetencji i chciwi członkowie rodziny, dalszej i bliższej. Nieskrępowaną niczym działalność owego zespołu osłaniałyby autorytety. Naturalnie ich pozycję my byśmy kreowali. Ich wagę wymyślilibyśmy sobie na bieżąco, ich zasługi dla kraju komponowalibyśmy bez hamulców, wbrew historii, faktom i przeciw tzw. linii czasu. Co dzień dokonywalibyśmy uroczystych pasowań, namaszczeń i udzielalibyśmy błogosławieństw do działania i gadania. Nasza fabryka przemalowań pracowałaby pełną parą. Jak w wymarzonej Hollywood. Czy byłby to projekt realny? Z potencjałem sukcesu? Zdobycia władzy? Ten zestaw założeń ma być nam dziś ćwiczeniem z nauk politycznych, planowania, z socjologii i psychologii elektoratu, z przylegania do rzeczywistości – mówiąc wprost.

Oto – popatrzmy – kolejka typów spod ciemnej gwiazdy ustawiałaby się co dzień przed śniadaniem. Przed naszą kwaterą główną. Pełna charakterystyka chętnych trwałaby do lunchu. Pierw wkraczałyby zastępy zaufanych nam makijażystek. Ślady rozpusty zasypywałyby pudrem, najlepiej pudrem inte-

ligentnym, którego na rynku jest nieco. Manikiurzystki obcinałyby oczekującym czarne pazury, rogi szłyby pod nóż pił tarczowych, potem obciera papierami wartościowymi spółek skarbu państwa różnej gradacji, na koniec polerka watą stalową produkcji zakładów zbrojeniowych. Plastyką kopyt zajmowałby się partyjny chirurg i nadworny szewc. Słomę z butów usuwałby żdźbło po żdźbło ktoś od kultury, najlepiej profesor. To jasne.

Osobna komórka wydawałaby świadectwa moralności, pałac równocześnie świadectwa niemoralności. Ciepło uzyskane z tej operacji ogrzewałoby nasze nieruchomości, nabyte w drodze typowych dla nas kombinacji i cwaniackich zabiegów wziętych z gotowej od lat – na szczęście – palety tego typu lokalnych kanonów. Grono grafologów, powziętych z obszernego katalogu skrzywdzonych przez naturę grafomanów, fabrykowałoby podpisy pod kwitami świadczącymi o wszelkich cnotach i heroizmie, ugiętość zamienialiby w nieugiętość, ciasnotę w przestrzeń, a miękkość w twardość. Literka po literce. Czysta chemia, chciałoby się rzec, z elementami kaligrafii, fizyki i geometrii – powiedzmy – nieeuklidesowej.

Idźmyż dalej. Na lancz owi ucharakteryzowani i stosownie przygotowani wkraczaliby już w odpowiednim makijażu, pozbawieni widomych znaków zła, w białych gieźlach, z liliami w dłoniach i w wieńcach laurowych na głowach. Jednoręcy bandyci – dla przykładu – przebrani byłiby za jednorożce, bowiem odpowiednie granie symboliką jest kluczem do zwycięstwa. Na obiad dzik z ziemniakami. Po południu zestaw referatów – obecność obowiązkowa. Powątpiewający, zwani też filozofującymi, byłiby kierowani od razu do aresztów wydobywczych. Narzekający na przeładowanie materiałem odsyłano by autobusami na prowincję. Prymusi szliby – z mety – do urzędów centralnych i do dalszej weryfikacji. Wieczorem narada. W nocy na front, rano wypłata.

Zastanawiamy się, czy coś takiego jest w ogóle możliwe do wykonania, czy to realny pomysł i plan? Czy to zaledwie jakiś chory pomysł, pozbawiony sensu, raczej z Marsa wzięty. Niewart papieru, na którym go wydrukowano, świadczący o gruntownym oderwaniu autora od rzeczywistości. ©P

BARTOSZ MINKIEWICZ



weźcie, czytajcie!

„Tygodnik Powszechny” dołączył do grona partnerów Karty Dużej Rodziny, preferencyjnego programu dla rodzin 3+. Posiadacze KDR mogą skorzystać z niższej ceny zakupu ekonomicznej prenumeraty krajowej – 300 złotych za rok.

Aby skorzystać z oferty, wystarczy w trakcie zamawiania prenumeraty podać numer swojej Karty:

- podczas zamówienia przez internet – w polu uwagi,
- przy przelewie tradycyjnym w tytule przelewu.

Więcej o programie na: rodzina.gov.pl

Szczegółowy regulamin prenumeraty na powszech.net/regulamin

**TYGODNIK
POWSZECHNY**



KARTA DUŻEJ RODZINY
rodzina.gov.pl

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
Bank Pekao SA
nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”,
ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku
w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę powszech.net/prenumeruj, na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa
pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075
lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	339 zł	369 zł
Półroczna (26 numerów)	209 zł	229 zł
Kwartalna (13 numerów)	109 zł	119 zł
Pokolenia*	300 zł	
Karta Dużej Rodziny**	300 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	399 zł	429 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	360 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	360 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze
na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

PARTNER MARKETINGOWY

SALES MANAGO
marketing automation



JAKA BYŁA NAPRAWDĘ?

HISTORIA NAJBARDZIEJ TAJEMNICZEJ KOBIETY W BIBLII

Maria Magdalena jest jedną z najciekawszych i zarazem najbardziej enigmatycznych postaci w Biblii. Była obecna pod krzyżem i to ona pierwsza odkryła pusty grób. Ale Ewangelie mówią o niej niewiele więcej. W ciągu wieków pojawiały się więc na jej temat różne domysły. Co spowodowało, że papież św. Grzegorz Wielki utożsamił ją z nawróconą grzesznicą? Dlaczego niektórzy współcześni autorzy chcą w niej widzieć rywalkę św. Piotra czy autorkę czwartej Ewangelii?

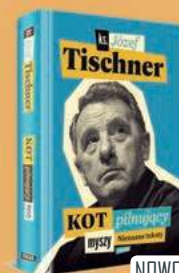
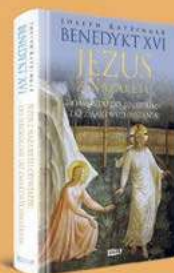
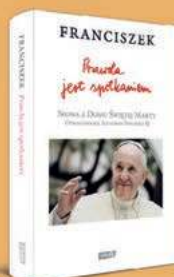
W ciągu dwóch tysięcy lat powstawało wiele jej portretów, często mieszających fakty z legendą lub z fałszem. Czy to możliwe, że mamy o niej błędne wyobrażenie? Zachęcam do przeczytania mojej książki.

Paweł F. Nowakowski



znak.com.pl
KSIĄŻKI Z DOBREJ STRONY

POLECAMY RÓWNIEŻ:



NOWOŚĆ